



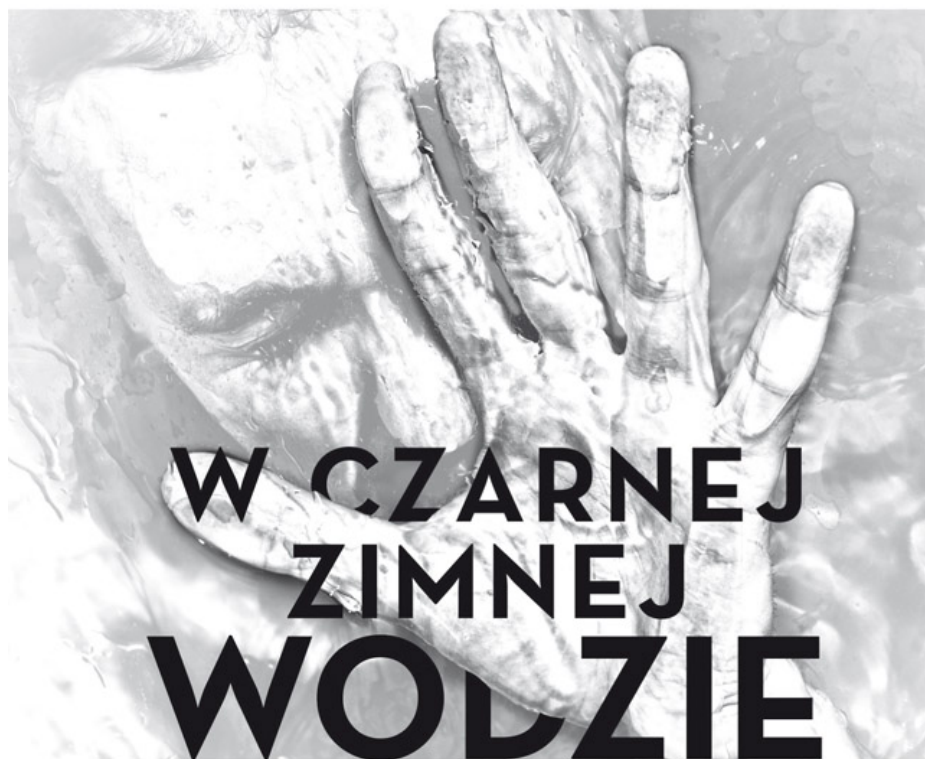
JAN GODLEWSKI

W CZARNEJ
ZIMNEJ
WODZIE



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

JAN GODLEWSKI




OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Dla Anity

*Sprawiedliwość boska i ludzka pozostają tutaj
w ścisłej zależności. Obie opierają się na wierze w ład,
który może zapanować tylko poprzez cierpienie.*

Jacqueline de Romilly, *Tragedia grecka*
(przeł. I. Sławińska)

Tracę rozum, Jezu, który wiesz na drzewie. Przyszedłem tu do Ciebie, bo tu cicho i pusto, tylko my dwaj i drzewa. Nikt nie usłyszysz. Muszę to z siebie wyrzucić, a nie powiem nikomu żywemu. Jestem samotny. To trochę Twoja wina, ale o tym opowiem potem. Ty nigdy nie narzekałeś na brak towarzystwa. Nawet kiedy pościłeś na pustyni, przychodził do Ciebie Szatan. Do mnie nikt nie zagląda. Pomyślałem, że chociaż Tobie opowiem, co mi się niezwykłego przytrafiło. Rok temu miałem sen: stoję w jeziorze, po pas w wodzie, i łowią ryby. Nic nie bierze, więc czekam. Czekam długo, bardzo długo, słońce już zachodzi, zaraz będzie ciemno, trzeba by wracać do domu. Niczego wielkiego się już nie spodziewam, ale zarzucam jeszcze raz, tak na wszelki wypadek. I nagle jak nie pociągnie! Wielka ryba, myślę sobie, Jezusie na dębie wiszący, i ciągnę z całych sił. A żyła napięta jak struna i ani drgnie. Ciągnę, szarpie w przód, w tył, na boki szarpie, nic. O milimetr się nie ruszy. Wyczuwam stopą korzeń pod wodą, zapieram się, wędka pod pachę, na prawą rękę wkładam rękawicę, bo prawą mam silniejszą. Nawijam żyłkę na dłoń i ciągnę. Ruszyło. Idzie opornie, jakbym ciągnął lokomotywę. Pęka rękawica, żyła wchodzi w skórę, krew spływa do wody, Ojczy, który do dębu przybity za nas umarłeś, zaraz urwie mi rękę! Ale żeby puścić? Nie ma mowy. Chcę zobaczyć, co za potwór siedzi tam w głębinach, że ma tyle siły. Nagle huknęło. Zabulgotało. Żyła pęka, wpadam do wody, na szczęście jest płytko, bo nie umiem pływać. Wynurzam się i patrzę. Na środku jeziora fala wysoka jak kościelna wieża. Przesuwa się wolno do brzegu, a przy tym dygocze i wije się jak wąż. Widzę, że całą wodę z jeziora zabiera, odsłania się czarne, muliste dno, a ona rośnie. Nagle chybocze się, trzęsie z dołu do góry i spada prosto na mnie. Zamykam oczy i nabieram powietrza w płuca. Teraz umrę, myślę. Przygniata mnie, dociska do dna, ruszyć się nie mogę. Chyba się modłę, ale nie jestem pewien. Nie pamiętam też, czy się bałem. Nigdy mi jakoś specjalnie nie zależało na życiu. W każdym razie nagle ciężar odpuścił, poczułem, że mogę ruszyć szyjną, podniosłem się i zobaczyłem, że fali już nie ma, a woda, która się rozlała po polach, wraca do jeziora. Siadam na mokrym piasku, rozglądam się. Szumi mi w uszach. Patrzę, ale nie wierzę. Zamykam oczy i znowu patrzę. Na brzegu stoi kobieta, goła cała, jakieś ją, Panie dobry, stworzył, a taka ładna, że byś sam taką nie pogardził. Dokoła niej gromadka dzieciaczek, też gołych, a same aniołki, jedno ładniejsze od drugiego. Stoją przy jej nogach i patrzą. „Wyjdźcie, bo wilka dostaniecie przecież”, mówię do nich, biorę z ziemi płaszcz, staję na brzegu i podaję kobiecie. Spogląda na mnie czarnymi oczami, uśmiecha się. Ma długie włosy, do pasa prawie, kołyszają się lekko na wietrze. Wychodzi, dzieci sznurem za nią, jedno za drugim, uśmiechnięte, oczka im się błyszczą, szczypią się, przepychają. Baba bierze ode mnie płaszcz, zarzuca sobie na ramiona, a brzdące odstępują od niej i teraz mnie otaczają kołem. Chwytają mnie za ręce, za spodnie, za koszulę. Prowadzą do wody. Baba mówi, a głos ma dziwny, że teraz wszystko będzie jak zapisano. Dzieciaki kładą mnie na wodzie, chłopczyk o złotych włosach mówi, żebym się nie bał, bo nie utoną. I faktycznie, nie idę na dno. Unoszę się na powierzchni jak łódka. Drobne rączki dzieci odpychają mnie od brzegu. Płynę. Jest mi dobrze i spokojnie, podnoszę głowę, widzę, jak stoją na piasku i robią się coraz mniejsze. Dopływam na środek jeziora, zerkam znowu na brzeg, a ich już nie ma. I nagle czuję jakiś taki smutek, że sobie poszli i już nie wrócą. Jest mi okropnie, duszno, smutno jak nigdy. Jakby mi kto duszę rwał na strzępy. Staję się ciężki, woda przykrywa mnie z głową, dopiero wtedy zaczynam młócić rękami, nogami... ale jest już za późno. Widzę jeszcze spod wody ptaka kołującego nade mną, ale zaraz też znika, a ja idę na dno, woda jest coraz czarniejsza i zimniejsza. Wtedy się budzę, ale chociaż nie śpię, to dalej jestem pod wodą i strasznie się

boję. Byłem z tym u lekarza. Nie tu, w miasteczku, pojechałem do innego, bo tu wszyscy gadają i by się rozniosło, że jestem wariat. Lekarz mnie obejrzał, osłuchał, zapisał coś w zeszycie i powiedział, że bym nie pił wódki. Bronię się, mówię, że nie piję dużo, a on na to: „To niech pan nie pije wcale”. I taka to z nim rozmowa. A tę wodę widzę cały czas, nawet teraz. Boję się, Panie Jezu na drzewie wiszący, boję się, że oszaleję. Powiem Ci, że chociaż nigdy nie byłeś dla mnie dobry, nie chowam do Ciebie urazy. Wybaczam Ci, że stworzyłeś mnie brzydkim i głupim, wybaczam, że się ze mnie przez to śmieją i wytykają mnie palcami, że za wcześniej mi wzięłeś matkę i ojca do siebie, że tylko patrzysz, jak cierpię w samotności. Wszystko Ci wybaczam. Tylko o to jedno Cię proszę: zabierz ode mnie tę wodę, żebym nie zwariował do reszty.

ROZDZIAŁ I

8 października 2016

Miała oliwkową skórę i oczy w kolorze morza. Przez okno wychodzące na plażę obserwowała Kacpra. Spacerował po kostki w wodzie wzdłuż brzegu. Spoglądał to na niebo, to na swoje stopy i poruszał ustami jakby mówił do siebie. Słońce wspięło się nad horyzont i błyszcząca na białych grzbietach fal. Nila założyła koszulę Kacpra i zielone szorty, wyszła z domu i zeszła kamienistą drogą. Z portu w Livadii na połów płynęły kutry. Huk silników nił na otwartej przestrzeni i dziewczynie wydawało się, że płyną w całkowitej ciszy. Kacper usłyszał jej kroki na kamiennej ścieżce. Stała za nim, objęła go w pasie i pocałowała w kark. Spuścił wzrok na jej szczupłe palce splecione na jego brzuchu i na zaręczynowy pierścionek z nieoszlifowanym ametystem.

– I co teraz będzie? – zapytała po grecku.

– Jeszcze nie wiem.

– Weźmy kredyt.

– Mamy już kredyt na dom.

– To zrezygnujmy z domu.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Zobaczył w nich swoją zmęczoną, prawie czterdziestoletnią twarz; była przedwcześnie postarzała, jego oczy były zbyt szare, a zmarszczki za głębokie. Twarz starca, pomyślał.

Oglądał ją w źrenicy Nili, śledząc jednocześnie w myślach sekwencję zdarzeń, które doprowadziły go do tego stanu.

Przypomniał sobie, jak dwadzieścia lat temu padało przez cały czerwiec, aż w nocy siódmego lipca rzeka zalała miasteczko, w którym jako dziecko mieszkał z rodzicami i młodszym bratem.

Jak tej samej nocy poszedł do sypialni mamy i znalazł list pożegnalny.

Jak wyjechał, zostawiając ojca samego w ich dużym domu na odludziu.

Jak coraz więcej pił i ćpał i jak okradł pierwsze mieszkanie. Pamiętał dokładnie rozkład pokoi, jego umeblowanie i zapach.

Przypomniał sobie pierwsze załamanie nerwowe, długi pobyt w ośrodku leczenia depresji i nerwic oraz stojącego pod bramą Jerry’ego, mówiącego: „Zawsze masz do kogo wrócić, chłopaku. Ale najpierw odzyskaj spokój i nabierz sił”.

Przypomniał sobie koniec terapii i kolejne tygodnie picia, przemoc, brud i pierścionek zaręczynowy, który włożył na palec dziewczyny o oczach pustych jak dwie wyschnięte studnie. Przypomniał sobie, jak wytrzeźwiał w drodze na ślub, zawrócił i nigdy nie dotarł do kościoła.

Przypomniał sobie Jerry’ego wyważającego drzwi do jego mieszkania, podnoszącego jego wiszące pod sufitem ciało i krzyczącego: „Pomocy!”. I kolejne miesiące w ośrodku, długie korytarze, jasne

gabinety, kwitnące bzy, a także alejkę z ławkami, przy których stały popielniczki pełne niedopałków.

Przypomniał sobie, jak po wyjściu z ośrodka wziął od Jerry'ego pieniądze i wyjechał z Polski. W wieku dwudziestu sześciu lat stał się człowiekiem bez ojczyzny, bez celu i planów na przyszłość, dryfującym między punktami na mapie, dorywczymi pracami, przypadkowymi znajomościami i krótkimi związkami.

Przypomniał sobie, jak po sześciu latach dotarł na wyspę Tilos, wynajął pokój w domu emerytowanego kapitana statku i znalazł pracę w zakładzie kamieniarskim. Jak pewnego wieczoru, spacerując plażą, zobaczył drobną dziewczynę o kruczoczarnych lokach. Ona poczęstowała go papierosem. On, pijąc piwo z butelki, opowiadał łamaną greką coś o nadchodzącym załamaniu pogody. Ona nie mówiła dużo. Miała na imię Nila. Był jedenasty września dwa tysiące dwunastego roku.

Dwa miesiące później wyszedł wcześniej z pracy i przyjechał po nią skuterem. Poprosiła go, żeby tego dnia nie pił. Posłuchał, ale nie umiał opanować drżenia rąk. Przesiedli się. Obejmował ją w pasie, kiedy dodawała gazu na szerokiej, krętej drodze wśród skał i krzewów żarnowca. Przytulał głowę do jej szyi. Pachniała migdałowym mydłem. Kiedy wziął ją w ramiona, położyła dłoń na jego piersi i powiedziała:

– Spokojnie. Wszystko jest w porządku.

Kochali się o zmierzchu, na stojąco, oparci o mur samotnej kapliczki świętej Anny.

Miesiąc później kupił na kredyt biały dom o niebieskich okiennicach, który widzieli na tle morza, kiedy dysząc i drżąc, wtulali się w siebie przy zimnym kościelnym murze. W ciągu następnych czterech lat odnalazł ten mityczny spokój, o którym mówił Jerry, kiedy pierwszy raz podwoził go do ośrodka. Przez cztery lata wyciszył się, zaczął dobrze sypiać i jeść, odstawił używki i stronił od przemocy. Wiedział, że nigdy już nie będzie tak naiwnie i beztrosko szczęśliwy jak w czasach, kiedy był małym chłopcem, ale aż tyle nawet nie przyszło mu na myśl oczekiwać. Najważniejsza była głęboka i silna świadomość, że dobił do ostatniego portu na swojej drodze i nie musi już dalej dryfować.

Aż do przedwczoraj, kiedy wszystko runęło.

Przedwczoraj Kacper jak zwykle wstał o szóstej, poszedł nad morze, popływał wzdłuż brzegu, wypił kawę i pojechał do pracy. Pamiętał, że panował upał, a autobus był przepełniony i śmierdział. O siódmej trzydzieści był już na miejscu. Szlifował właśnie wierzch płyty nagrobnej, kiedy nagle w pracowni zrobiło się osłepiająco jasno. Odłożył szlifierkę i rozejrzał się. Narzędzia, kamienie, meble i ściany iluminowały mocnym ciepłym światłem. Usłyszał muzykę i przez chwilę zastanawiał się, skąd może dobiegać. Radio było zepsute. W zeszłym tygodniu potracił je łokciem, spadło i roztrzaskało się. Nagle Kacper zachwiał się, upadł i uderzył skronią o kamienną płytę.

Kiedy następnego dnia w szpitalu na Rodos lekarz przedstawił mu diagnozę, Kacper najpierw długo milczał, a potem wstał z łóżka i bez słowa wyrzucił przez okno szpitalny telewizor.

Teraz gdy stał na plaży i bawił się pierścionkiem na palcu Nili, przepełniała go żołąć, że wszystko się wali, kiedy właśnie zaczynał wierzyć, że zasługuje na dobre życie. Przypomniał sobie jeszcze, że raz, kiedy rozmawiali o przeszłości, Nila nazwała ich historię „romansem dla gospodyń”.

– Czy to nie jest trochę infantylne? – zapytała rozbawiona, siedząc po turecku na dywaniku w kuchni. – Ty, ja i ta nieznośnie baśniowa wyspa? Niech się wreszcie wydarzy coś dramatycznego.

No i się stało. Kacper był racjonalistą i nie uważał, że Nila mogła przywołać tragedię, mówiąc o niej, lecz jednak gdzieś w głębi serca miał jej to za złe. Po co mówić takie rzeczy?

Teraz podniósł jej dłoń do ust i pocałował. Wrócili z plaży. W nocy, tuląc głowę do chłodnego brzucha Nili, nasłuchiwał szumu fal i patrzył w sufit, rozważając pewną myśl. W końcu wstał, wziął ze

stolika telefon i wyszedł na patio.

Dwa tygodnie później, dwudziestego drugiego października, do drzwi zapukał kurier. Kacper dał chłopakowi napiwek i odebrał żółtą kopertę. Zamknął drzwi, usiadł w fotelu i przeciął jej brzeg nożykiem do papieru. W środku znajdowało się zdjęcie. Żadnego listu, żadnej notatki. Ze zdjęcia patrzył na niego chudy mężczyzna z blizną pod nosem i lekko opadniętą powieką. Kacper usłyszał szmer i odwrócił się. Nila, owinięta ręcznikiem, stała za nim i również patrzyła na fotografię. Nie chciał, żeby ją zobaczyła, ale było już za późno. Wziął dziewczynę na kolana i opowiedział jej, co zamierza zrobić.

ROZDZIAŁ II

10 stycznia 2017

Szli stromym zboczem, brodząc po kolana w sybkim śniegu. Krzepki starzec, który szedł pierwszy, co jakiś czas podnosił wzrok i rozglądał się, by nie zboczyć z drogi. Słońce nie zaczęło jeszcze wschodzić. Stary zgubił gdzieś rękawice i mróz piekł go w dłonie, które kurczowo zaciskał w kieszeniach. Papieros, którego trzymał w zębach, przestał się tlić. Wypluł go w śnieg i zerknął na swojego towarzysza. Nie podobał mu się ten człowiek.

Taka błada skóra i trzęsące się ręce to nic dobrego. Pewno ćpun albo zakaźnie chory. Do tego nic nie mówi. Niech go szlag, pomyślał.

Czuł ulgę z powodu dzielącego ich dystansu i cieszył się, że niedługo się rozdzielią. Dotarł na szczyt i w skupieniu oglądał krajobraz po drugiej stronie wzniesienia. Skute lodem jezioro w kształcie półksiężyca, wysokie świerki okryte czapami śniegu i czarne góry, których wierzchołki skrywała jeszcze poranna mgła. Po chwili dołączył do niego Kacper. Na jego wąsach i brodzie zastygły nitki szronu. Przesunął zaparowane gogle na czapkę i wciągnął nosem mroźne powietrze.

– To tam. – Stary wskazał ręką jezioro. – Chata stoi na wschodnim brzegu. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, była w kiepskim stanie. Być może wiatr porozrzucił ją już po lesie. Halny potrafi połamać taką budę jak zapałkę.

Kacper zdjął rękawiczkę, wyjął z kieszeni spięty gumką plik banknotów i podał go staremu.

– Dalej pójde sam.

Mężczyzna patrzył chwilę na oddalającą się sylwetkę, po czym schował pieniądze i zawrócił.

Wiatr nie porozrzucił chatki po lesie, ale i tak jej dni zdawały się dobiegać końca. Deski popękały pod wpływem zimna i wilgoci, a przez dziurawy dach do wnętrza padał śnieg. Po ścianach wspinały się zaschnięte chwasty i zielone mchy, oplatając budynek szczelną siecią, tak jak robi to pająk przed pożarciem ofiary. Kacper przykucnął pod zwalonym dębem, wyjął z plecaka aparat z długim obiektywem i zrobił kilka zdjęć chaty oraz przylegającego do niej pomostu. Nie wychodząc na otwartą przestrzeń, okrążył dom, idąc od drzewa do drzewa. Co jakiś czas przystawał i naciskał spust migawki, tym razem penetrując obiektywem szczegóły otoczenia domu: równo ułożone szczapy drewna zalane wodą ciekącą z dachu, połyskujący haczyk od wędki wepchniętej pod ławę na pomoście, ślady butów, których nie zakryła do końca nocna zamieć. W końcu schował aparat i podkrał się do okna. Przez szybę, skutą od zewnątrz lodem i zasłoniętą dziurawą płachtą, zobaczył tylko fragment zakurzonej podłogi. Dwa metry dalej znalazł wyrwę w ścianie na wysokości pasa. Schylił się i popatrzył. W rogu ciemnej izby stało połowe łóżko. Na nim, przykryty stertą kołder i koców, leżał człowiek. Kacper podszedł do drzwi i lekko pociągnął je ku sobie. Nie spuszczać oczu z leżącej postaci, wszedł do izby. Pociągnął nosem, wchłaniając ostry fetor moczu, kału i pleśni. Przez dziury w suficie z zalegającej na dachu czapy śniegu kapła woda, tworząc na podłodze kałuże, które szybko zamarzały. Pod ścianą

naprzeciwko drzwi stały kominek i kuchenka węglowa, jedno i drugie z drzwiczkami otwartymi na oścież. Świszczący w dziurawych ścianach wiatr rozrzucał po izbie węgielny pył i szerniałe grzbiety książek, które widocznie posłużyły obecnemu lokatorowi za rozpałkę. Przy kominku leżała żółta skórzana walizka ze stalowymi okuciami na rogach. Kacper otworzył ją i zamknął. Silny podmuch przetoczył się przez pokój i zatrzasnął drzwi. Człowiek na łóżku zakaszłał. Kacper podszedł do niego. Pustelnik spał nadal, z szeroko otwartymi ustami. Oddychał płytko, a z jego płuc dochodziły szmery i gwizdy jak z popsutej maszyny. Miał długą, zmierzwioną, siwo-brązową brodę i posklejane katarem wąsy, które wchodziły mu aż do ust. Zaropiałe oczy o czarnych jak sadza obwódkach, głębokie, wypełnione brudem zmarszczki i zapadnięte policzki upodabniały go do upiornej kukły. Na jego czole błyszczał gęsty pot. Kacper wyjął z kieszeni zdjęcie przedstawiające mężczyznę z blizną pod nosem i opadniętą powieką. Twarz leżącego była teraz skorupą zlepionych włosów, krwi i brudu. Odgarnął jego wąsy i porównał blizny. Schował zdjęcie, wyciągnął z plecaka pistolet i cofnął się o krok. Przyglądał się choremu, mrużąc jedno oko, jak malarz oceniający proporcje modelu. Jego uwagę zwróciła zaschnięta, bordowa plama na prześcieradle. Uniósł róg kołdry i zobaczył ranę – czarną i cuchnącą, owiniętą brudnym bandażem. Chory ponownie zaniósł się kaszlem. Teraz atak męczył go długo, uporczywie targał ciałem, aż w końcu mężczyzna, wyrwany ze snu, rozkleił powieki i z trudem wciągnął powietrze, ostatnimi siłami odganiając zmore, która – jak mu się wydawało – próbowała zadusić go we śnie. Widok Kacpra go nie poruszył.

– Nie boję się – wyszeptał.

Kacper uniósł pistolet i strzelił mu w twarz.

Leżał w chłodnej pościeli na łóżku w hotelowym pokoju i patrzył przez okno na wyciąg narciarski. Stok oświetlały reflektory. Słyszał głosy pijanych narciarzy i dudnienie armatek śnieżnych. Usiadł po turecku, odgarnął włosy z oczu i w zamyśleniu skubał brodę. W otwartej walizce leżały pliki nowych banknotów, starannie zawinięte w foliowe torebki i poukładane w rządkach. Gładził je opuszkami palca i oglądał w wyobraźni scenę sprzed czternastu lat, kiedy tak jak dziś rano celował do człowieka z broni. Wtedy nie nacisnął spustu. Wielokrotnie powracał do fragmentu, w którym Jerry wyjął mu pistolet z dłoni i strzelił do klęczącego faceta, a jego ciało upadło z plaskiem na mokrą podłogę portowego magazynu, jakby komuś wysliznęła się z rąk wielka ryba.

– Kiedyś w końcu będziesz musiał to zrobić. To część naszej pracy – powiedział Jerry.

Z rozmyślań wytrąciło go nasilające się uczucie odrętwienia. Wiedział, że za chwilę kształty nabiorą nienaturalnej ostrości i robi się bardzo jasno, a potem rozpocznie się właściwy napad padaczki. Tego objawu gwałtownie nie lubił, który rósł na jego mózgu przy prawej skroni, Kacper szczególnie nie lubił. Usunął z łóżka walizkę oraz szklaną popielniczkę – twarde przedmioty, o które mógłby się zranić. Położył się na boku, zamknął oczy i czekał. Po chwili stracił przytomność, a jego mięśnie napięły się jak żagle na silnym wietrze. Ciało zaczęło podskakiwać na materacu. Jednocześnie pod zasłoną zamkniętych oczu odbywała się projekcja czarnego snu pozbawionego formy i treści. Obserwował tę czerń ze skupieniem, słyszał ją i czuł bijące od niej ciepło. Mógłby jej nawet dotknąć, gdyby chciał. Atak ustał po niecałych dwóch minutach. Kacper niechętnie otworzył oczy i usiadł na łóżku. Pomacał język i z ulgą stwierdził, że tym razem go nie przygryzł. Wstał i powoli zaczął wciągać spodnie. Założył białą koszulę i brązową marynarkę z łatami na łokciach. Wziął z walizki pojedynczy plik banknotów, zerwał z niego folię i włożył pieniądze do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na korytarzu grubi opaleni facci

w kombinezonach narciarskich czekali na windę, więc zszedł na parter schodami i skierował się do hotelowej restauracji. Usiadł przy barze, położył dłonie na udach i popatrzył na barmana, który obsługiwał innych gości. Dosiadła się do niego młoda szatynka w sukience z głębokim dekoltem.

– Cześć – zagaiła ze sztuczną wesołością w głosie. – Wyglądasz na niespokojnego. Czy coś się stało?

Kacper podrapał się po brodzie. W jego głowie, jak przebitka na taśmie filmowej, mignął obraz tunelu wypełnionego wodą. W mrugającym świetle neonu unosił się blady chłopczyk.

– Nie. Nic się nie stało. W każdym razie nic godnego uwagi. – Specjalnie uśmiechnął się tak samo sztucznie jak ona.

Dziewczyna odwróciła wzrok, przełykając głośno ślinę. Zaraz jednak spojrzała na niego znowu, tym razem kładąc rękę na jego dłoni.

– Myślę, że jesteś bardzo przystojny.

Kacper zdjął jej dłoń ze swojej i włożył w nią kilka banknotów.

– Idź sobie już.

Dziewczyna popatrzyła niepewnie na pieniądze, a po chwili przysiadła się do innego mężczyzny. Kacper nawiązał kontakt wzrokowy z barmanem. Gdy ten podszedł, zamówił dwie setki czystej wódki i piwo. Barman postawił przed nim dwa kieliszki i szklanę, na co Kacper skrzywił się bezwiednie. Pomyślał o Nili i o tym, że przy niej by się nie napił. Kiedy nie miał jej przy sobie, musiał się bardzo pilnować, by nie wrócić do starych nawyków. Osuszył obydwa kieliszki i zabrał się za piwo. Wypił, a potem zamówił następne. Czas mijał. Błądząc wzrokiem po półkach z alkoholem, Kacper wypatrzył swoje odbicie w lustrze nad butelką malibu.

– Jesteś z siebie zadowolony?

– Nie.

– Masz wyrzuty sumienia?

– Nie miałem wyboru.

– Nie o to pytam.

– Nie. Teraz nie mam wyrzutów sumienia. Świątuję fakt, że nie odgryzłem sobie języka.

– Czym właściwie zajmował się ten facet?

– Dziecięcą prostytutką. Tak powiedział Jerry.

– Ufasz Jerry’emu bezgranicznie?

– W siedemdziesięciu pięciu procentach. No i potrzebowałem pieniędzy.

– Życie tego brudasza z chatki za twoje?

– Prawo dżungli. Wygrał silniejszy.

– „Prawo dżungli”? To cytat z jakiegoś filmu?

Poczuł, że ktoś mu się przygląda. Zegar nad wejściem wskazywał pierwszą w nocy. Bar był prawie pusty. Przy stole siedzieli jeszcze grubi narciarze. Ubrani w golfy i białe swetry, świecili ciężkimi zegarkami na złotych bransoletach i pili wódkę. Jeden z nich zauważył, że Kacper mamrocze do siebie, uśmiechnął się pobłaźliwie i uniósł kieliszek w jego stronę. Kacper z trudem zwlókł się ze stołka. Poczuł, jak mocno jest pijany. Dopóki siedział, było w porządku. Teraz podłoga próbowała uciekać mu spod nóg. Przytrzymując się oparcia foteli, podszedł do stolika grubasów i uśmiechnął się do tego, który kiwnął mu kieliszkiem.

– Czy my się znamy? – zapytał.

– Nie, ale możemy się poznać. – Facet wyciągnął ku niemu pulchną dłoń z palcami grubymi i krótkimi jak małe kielbaski.

Kacper również wyciągnął dłoń, ale ominął rękę grubasa, podniósł stojący przed nim kieliszek i wypił jego wódkę.

– Skoro się nie znamy, to czemu się na mnie gapisz? Jesteś pedałem?

– Proszę pana – odezwał się drugi grubas – mamy tu przyjacielskie spotkanie. Nie chcemy problemów.

– Jasne – odpowiedział Kacper. – Żadnych problemów na przyjacielskim spotkaniu. – Szybkim ruchem podniósł ze stołu kufel piwa i rąbnął nim grubasa w czubek głowy.

Grubas krzyknął i złapał się rękami za krwawiącą łysinę. Kacper stracił równowagę, zatoczył się i wciąż trzymając w dłoni uchwyt kufła, wpadł między stołki. Grubasy rzuciły się na niego. Najpierw poczuł kopnięcie w brzuch, potem posypały się ciosy. Mężczyzna z krwawiącą łysiną usiadł mu na klatce piersiowej i przygniótł jego gardło przedramieniem. Kacper kłapał ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Grubas przycisnął jego grdykę jeszcze mocniej, a drugą ręką okładał go po twarzy.

– Cholerny skurwielu! Zabiję cię, słyszysz!?! Rozerwę cię na strzępy!

Czuł, jak wraz z tlenem opuszcza go świadomość. Uderzenia grubasa przestawały boleć. Wrzaski napastników i barmana zlały się w jeden cichy szmer, podobny do szumu rzeki.

Nawet przyjemnie, pomyślał.

Obraz wokół rozmył się jak farba pod zamaszystym ruchem pędzla, a potem wszystko zniknęło.

Gdy z trudem otworzył spuchnięte oko, pomagając sobie palcem, trząsł się z zimna. Zastygnięta krew mlasnęła. Leżał w śniegu, na placu prowadzącym do parkingu hotelowego. Podbiegł do niego szary pudel i polizał go po twarzy, a następnie zrobił kupę.

– Hieronim! – zawołała jakaś kobieta. – Hieronim!

– Hieronim to ty? – zwrócił się do pudła Kacper.

Pies szczeknął i zaczął przebierać nogami w śniegu.

– Tutaj! – zawołał Kacper, podnosząc się i otrzepując śnieg z marynarki. – Hieronim jest ze mną.

Usłyszał stukanie obcasów na zamrożonej kostce brukowej. Zza rogu wyszła młoda prostytutka z baru.

– Och, to pani. – Machnął do niej ręką, nie podnosząc głowy. Drugą dłonią nadal strzepywał śnieg. – Mam tu Hieronima. Zeszał się.

– Hieronim! – zawołała dziwka. – Hieronim. Nie możesz tak sobie chodzić, gdzie ci się podoba. Kręcą się tu różne podejrzone typy. – Wyjęła z torebki foliowy woreczek, zebrała kupę Hieronima i wrzuciła do kosza.

– Tam dalej jest pojemnik na psie odchody. Potem ktoś będzie segregował te śmieci i utarza ręce w gównie.

– Trudno – odparła dziwka. – Ludzie wyrzucają gorsze rzeczy. Strzykawki, zużyte prezerwatywy, tampony. Widział pan kiedyś osobny pojemnik na zużyte tampony?

– Nie. Chyba ma pani rację. Ludzie nie segregują odpadów jak należy.

– Mam na imię Vanessa.

– Naprawdę?

– Jasne, że nie.

– A ja Kacper.

– Naprawdę?

– Tak. Kacper Dawid Frydrych.

– Poważnie?

– Beczka śmiechu, prawda? Ojciec to wymyślił. Ma na nazwisko Frydrych i lubi malarzy romantycznych. Wybaczyłem mu oba te błędy.

– To jest Hieronim Bosch. – Dziewczyna wskazała na pudła, który obwąchiwał teraz spodnie Kacpra.

– A pani to Vanessa. Przepraszam, że panią zbyłem przy barze. Jest pani śliczną istotą, a ja zwyczajnym dupkiem.

– Nie szkodzi. Przywykłam do dupków. Chociaż do tej pory żaden nie dał mi szczęścia stów, żebym sobie poszła.

– Aż tyle pani dałem? – Podrapał się po brodzie. – Więc może jednak jestem niezwykłym dupkiem... Przejdźmy na „ty”, dobrze? Jesteś po pracy?

– Tak. Resztę nocy mam zarezerwowaną dla jedynego prawdziwego mężczyzny w moim życiu. – Skinęła głową na Hieronima.

Pies zamerdał ogonem.

– Co będziecie robić?

– To, co zawsze. Zapalimy jointa, obejrzymy film, zjemy paczkę chipsów, poprzytulamy się i pójdziemy spać.

– Szkoda.

– Ale... – dziewczyna uśmiechnęła się – mogę też zrobić kilka nadgodzin.

Kacper uśmiechnął się pod nosem i obejrzał dziewczynę jeszcze raz od butów po czubek głowy.

– Mam nadzieję, że jesteś pełnoletnia.

Dziewczyna uśmiechnęła się, pokazując białe zęby.

– Ja też mam taką nadzieję. A wybaczysz mi kłamstwo?

– Zależy jakie.

– Powiedziałaś ci przy barze, że jesteś przystojny. To właśnie ono.

– Tak, wiem. Używam lustra.

– Ale za to jesteś miły. Tylko pierwsze wrażenie robisz niedobre.

Dziewczyna zapięła Hieronima na smycz. Ruszyli do hotelu wzdłuż długiego rzędu migoczących latarni. Kacper, który nie wytrzymał do reszty podczas drzemki w zaspie, chwiał się na nogach. Dziewczyna objęła go w pasie i przycisnęła do siebie.

W pokoju hotelowym obmyła mu twarz z krwi i zakleiła plastrami rozciętą skórę. Kacper położył się na łóżku. Vanessa zdjęła sukienkę i rzuciła ją na podłogę. Hieronim spojrział na swoją panią z wyrzutem, poczłapał do drzwi, zwinął się w kulkę i zasnął. Dziewczyna uklękła obok Kacpra i zaczęła rozpinać guziki jego koszuli, ale powstrzymała ją.

– Po prostu połóż się obok.

Zrobiła to, o co prosił. Kacper rozebrał się sam, odszukał w telefonie Spotify i włączył *Dziesięć godzin relaksującego szumu fal*, po czym położył głowę na jej brzuchu. Skóra dziewczyny była chłodna i przyjemnie pachniała.

– Co mam teraz robić? – zapytała.

– Śpij.

Wczesnym rankiem obudziło go trzaśnięcie drzwi. Odruchowo sięgnął pod łóżko. Walizka zniknęła. Słyszał jeszcze oddalające się stukanie obcasów. Wybiegł nago i biegiem pokonał korytarz. Drzwi windy właśnie się otwierały. Dogonił Vanesę, chwycił ją mocno za odsłonięte ramię i wyrwał walizkę z ręki. Hieronim zmarszczył nos i warknął, odsłaniając kły. Kacper chciał go kopnąć, ale w ostatnim momencie pomyślał, że piesek przecież nie jest niczemu winny. Kopnął więc dziewczynę kolanem w brzuch i wepchnął ją do windy. Hieronim wbiegł za nią i drzwi się zamknęły. Kacper odwrócił się. Starsza pani pchająca wózek ze szczotką i detergentami patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami. Kacper spojrzał w dół na swoje gołe stopy, włosy łonowe, penis, jądra, wystający brzuch. Nagi, z walizką w ręku stanowił osobliwy widok.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparła sprzątaczką.

Odwrócił się i niespieszonym krokiem wrócił do pokoju, mocno ściskając rączkę walizki. Zatrzymał się przed lustrem. Jego twarz po wczorajszej bójce wyglądała jak miasto po bombardowaniu.

– Po co mówiła, że jestem przystojny, a potem, że nie jestem? – zapytał swojego odbicia. – Dziwki są jeszcze bardziej skomplikowane niż niedziwki. A może nie powinno się tak uogólniać? Niektóre dziwki są bardziej skomplikowane niż niektóre niedziwki. Kacper... – upomniał sam siebie. – Co ty wygadujesz? Wynos się stąd. Stara pewnie już wezwała ochronę.

Wycisnął z tubki pastę do zębów i żuł ją, wpychając do torby porozrzucane po pokoju rzeczy.

Po co myjesz zęby w trakcie ucieczki?, zadawał w myślach pytanie.

Marynarka była jeszcze mokra po drzemce w zaspie. I zakrwawiona.

To moja krew? Czy któregoś z grubasów?

Narzucił na ramiona płaszcz i związał włosy w kucyk, po czym z walizką w ręku i torbą na ramieniu opuścił pokój. Hall był pusty. Przy mahoniowym kontuarze siedziała młoda recepcjonistka. Podeszedł do niej i zobaczył kawałek wodorostu za jej uchem. Popatrzyła na niego bladymi oczami, po czym zapytała, w czym może pomóc. Z ust wylała jej się struga czarnej wody. Kacper zacisnął powieki, wziął głęboki wdech i spojrzał ponownie. Teraz miała już różowe, zdrowe policzki. Przyglądała mu się wystraszona. Omamy wzrokowe i słuchowe zajmowały drugie miejsce na liście irytujących objawów guza mózgu. Zaraz po napadach padaczki.

– Chciałbym się wymeldować. – Zapłacił i życzył jej miłego dnia. Kazał też absolutnie się nim nie przejmować. – To tylko kac – oświadczył, a następnie poszedł do restauracji.

Barman, który odciągał od niego grubasów, spoglądał na niego z wyrzutem. Też miał podbite oko i rozciętą brew zaklejoną plastrem.

– Połówkę orzechówki – wydyszał Kacper. – Jest źle. – Nachylił się i szepnął konfidencjonalnie: – Widzę upiory.

Barman pokręcił głową.

– Nic dla ciebie nie zrobię. Prawie mnie przez ciebie zabili.

Kacper rzucił na stół dwieście złotych.

– Zatrzymaj resztę.

– Niech cię szlag.

Barman wziął banknot z blatu i podał mu butelkę. Kacper opróżnił ją poniżej szyjki i poszedł na parking szukać samochodu.

ROZDZIAŁ III

12 stycznia 2017

– Oglądasz czasem filmy o mordercach?

Kacper siedział w fotelu na tarasie przydrożnego zajazdu. Po szosie z rykiem pędziły ciężarówki. Deszcz ze śniegiem zamieniał pobocze w brudny strumyk. Za drogą było pole, a dalej stały słupy wysokiego napięcia wyglądające jak olbrzymie krzyże. Łącząca je pięciolinia cięła niebo na równe pasy. Przed linią horyzontu majaczył komin elektrowni.

– Kacper, słuchasz mnie?

Kacper spojrział na przysadzistego mężczyznę w kowbojskim kapeluszu i skórzanej kurtce lotniczej z naszywką flagi Stanów Zjednoczonych. Facet palił papierosa, miał czarne od ziemi paznokcie i nosił ciemne okulary, chociaż nie świeciło słońce.

– Słucham, Jerry. Słucham cię.

Jerry tak naprawdę nazywał się Jerzy. Jerrym stał się po powrocie z Ameryki.

– Pytam, czy oglądasz czasem filmy o mordercach.

– Skąd takie pytanie? – Kacper całą noc walczył z nudnościami i bólem głowy: trzecim i czwartym punktem z listy objawów guza mózgu. Kiedy w końcu udało mu się zasnąć, śnił, że jest w swoim domu w Livadii i mówi coś do Nili, a ona nie widzi go ani nie słyszy. Piętnaście minut później do drzwi zapukał Jerry.

– Można się z nich wiele nauczyć. A dokładniej ty mógłbyś się z nich nauczyć, jak zachowuje się zawodowy morderca. Na przykład taki Leon Zawodowiec. Wyobrażasz sobie, że po wykonaniu zlecenia wdaje się w bójkę z grupą narciarzy albo przy świadkach wpycha kurwę do windy i paraduje nago z walizką po hotelowym korytarzu?

– Nie wyobrażam sobie tego – odparł zgodnie z prawdą.

– Ja też nie. Dlatego nie mieści mi się w głowie, że to zrobiłeś.

– Wariuję przez tego guza. Za długo czułem się dobrze. To uspiło moją czujność.

– A dalej widzisz Młodszeo?

– Widzę czasem tunel. Przez ułamek sekundy jego obraz staje mi przed oczami i znika. Jak zablakana klatka z innego filmu. On też tam jest. Unosi się na powierzchni wody pod sklepieniem. Jestem za daleko, nie widzę jego twarzy. Rozpoznaję jego ubranie, wzrost i posturę. Wiem, że to on.

Jerry nachylił się i położył mu dłoń na ramieniu.

– To nie twoja wina – zapewnił. Kacper kiwnął głową. – Opowiedz o tej klinice. Chcę usłyszeć tę nazwę z filmów szpiegowskich.

Kacper wyciągnął z paczki lucky strike'a, zapalił i zawiesił wzrok na szarym horyzoncie.

– Centrum Terapii Protonowej Rineckera. Nie śmieję się. Mają najlepsze wyniki wyleczalności nowotworów w Europie. Protonoterapia to teraz najskuteczniejsza broń przeciwko temu chujostwu. Przy użyciu maszyny zwanej cyklotronem lekarze naświetlają guza cienką wiązką promieniowania protonowego, która uszkadza albo nawet zabija DNA komórek rakowych. W przeciwieństwie do chemii i radioterapii nie niszczy przy tym zdrowych tkanek.

– Czemu akurat Niemcy?

– Zrobią to porządnie. Wiesz, jacy są dokładni. W greckich szpitalach śmierdzi biedą, a w Polsce... No cóż, w Polsce jest jeden cyklotron, w Krakowie. Ale nawet gdybym płacił składki, mój rak nie nadawałby się do leczenia. Zbyt wysoki stopień złośliwości.

– Teraz mogą ci naskoczyć. – Jerry spojrzął na wystającą spod stołu walizkę.

– Jestem już spakowany, w każdej chwili mogę wsiąść do auta i jechać do Monachium. Dobry doktor Erast nie mógł mi załatwić leczenia w Grecji, więc dla spokoju ducha, swojego i mojego, przepisał mi na drogę Sevredol.

– Co takiego?

– To morfina.

– Morfina? – Jerry skrzywił się. – Na Boga, przecież jest dwudziesty pierwszy wiek. Dobry doktor Erast nie miał niczego nowocześniejszego?

– Nie wybrzydzalem. Dostałem sześćdziesiąt tabletek. Mam brać jedną co cztery godziny. Zostało mi jeszcze pół opakowania. Wystarczy, żeby nie oszaleć z bólu.

– Można po tym prowadzić?

– Nie, ale bardzo się pilnuję. Wiesz, że dobrze jeżdżę.

– Boli cię przez cały czas?

– Jeszcze nie, ale coraz częściej. Guz szybko rośnie.

– Jak dobrze przydepniesz, dojedziesz tam w osiem godzin – powiedział Jerry. – Pokaż mi jeszcze te zdjęcia.

Kacper podał mu kopertę. Jerry przejrzał zdjęcia. Chatka, pomost, wewnątrz domu. Dwa zdjęcia pustelnika: jedno z dziurą w czole i drugie sprzed egzekucji. Jerry wyjął z kieszeni benzynę do zapalniczek i oblał kopertę. Żółtą zapalniczką podpalił jej róg, poczekał, aż się zajmie i upuścił ją. Płomień odbijał się w jego okularach. Kiedy ogień zaczął przygasać, wstał i podszedł do swojego czarnego mercedesa S 320. Frydрых patrzył, jak rozmawia z kimś przez telefon. Rozmowa trwa niecałą minutę, po czym Jerry wrócił do stolika.

– Dzięki za pomoc – powiedział. – Rozumiem, że jeśli pojawi się nowe zlecenie, mam się z tobą nie kontaktować.

– To był pierwszy i ostatni raz, Jerry. Mam u ciebie dług. Żeby zarobić taką forszę legalnie, musiałbym robić nagrobki przez czterysta lat.

– Powiedziałem ci to już wtedy, kiedy miałeś szansę. Długo musiałeś się zastanawiać. Kiedy to było?

– Czternaście lat temu.

– Właśnie. Zdecydowałeś się po czternastu latach.

– Leczenie w Niemczech jest drogie, a ja umieram. Poza tym mam raczej skromne potrzeby.

Jerry otworzył walizkę i przełożył część banknotów do czarnego neseseru. Otwierając drzwi do samochodu, zasalutował.

– Uważaj na siebie, synu. Nie rób nic głupiego.

– Znasz mnie – odpowiedział Kacper z tarasu, ale Jerry już go nie słyszał.

Czarny mercedes włączył się do ruchu i odjechał wśród huku pędzących ciężarówek. Kacper popatrzył w niebo. Deszcz przybierał na sile.

13 stycznia 2017

Między drzewami zamajaczyły jasnoszara elewacja, fragmenty pordzewiałego płotu, bryły rzeźb, spłowiła dachówka. Ruch firanek i błysk okna na poddaszu. Z garażu dochodził hałas szlifierki. Kacper zatrzymał się przed płotem. Pomyślał, że mógłby jeszcze zawrócić. Pchnął jednak furtkę i wkroczył do ogrodu. Szedł po chrupiącym, ubitym śniegu pomiędzy marmurowymi figurami geometrycznymi, pełnymi nierówności i krzywizn. Kule, sześciiany, stożki i walce, z których wychodziły ludzkie kończyny: kamienne ręce o rozczapierzonych palcach, stopy z długimi paznokciami, fragmenty głów, uszu, oczu i nosów. Pod wiatą między domem a garażem w długim rzędzie stały inne rzeźby. Klasyczne kobiece popiersia. Wszystkie przedstawiały jego mamę, Helenę. Kacper przeszedł się wzdłuż nich.

– Gościu! – Usłyszał głos za plecami. – To jest prywatny teren! Nie widziałeś tabliczki?

Ostatnio widzieli się osiem lat temu. Ojciec skurczył się na wysokość, ale rozrósł wszzer. Miał szerszą głowę i kark, grubsze ręce i łydki. Z wiotkiego, przystojnego mężczyzny przemienił się w ulanego drwala. Poglębiły mu się zmarszczki i posiwiwały włosy. Nosił grubsze okulary. Zapuścił brodę. Stał w bramie garażu, przygarbiony, z ustami na stałe ściągniętymi w dół ze zgorzknienia.

To się nie uda, stwierdził w duchu Kacper.

– Przepraszam, zgubiłem się. Już sobie idę. – Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę furtki.

– Kacper?

Zatrzymał się. Spojrzeli na siebie i od razu to wiedzieli: żaden z nich nie tęsknił za tym drugim.

Kim jest ten starzec podobny do mojego ojca?

Kim jest ten włóczęga wyglądający jak mój syn?

– Cześć, tato. Inaczej wyglądasz.

– Ty też.

Cisza.

– Napijesz się czegoś?

– Czemu nie.

– To zapraszam. – Ojciec wskazał ręką garaż.

– Nie w domu?

– Nie wchodzę tam, jeśli nie muszę.

Usiedli na wyciosanych pniakach przy jajowatym stole. Mebel miał być ozdobą w salonie nowobogackiego właściciela szwalni, ale ten ostatecznie nie zdecydował się na kupno. Michał Frydrych postawił teraz na nim dwa kubki ze różniatego szkła. Przedmiotom, którymi się otaczał, brakowało regularności w kształtach i porocjach.

– Całkiem przeniosłeś się do garażu?

– W domu korzystam z łazienki. Czasem wezmę coś z piwnicy. Niezbędne rzeczy trzymam tutaj.

W garażu brakowało miejsca. Wszędzie walały się kamienie, narzędzia i przedmioty codziennego użytku. Pod ścianą stały regał z książkami i oparty o mur materac, nocny stolik z radiem i małym przenośnym telewizorem, a w rogu szafa na ubrania i żeliwny piecyk.

– No to opowiadaj – zaczął Michał Frydrych. – Co u ciebie, synu? Gdzie mieszkasz? Pracujesz?

– Robię nagrobki. W Grecji.

– Dobry biznes. Są z nich dobre pieniądze i zawsze jest popyt. Sam je kiedyś robiłem.

– Pamiętam.

– Pamiętasz?

– Pamiętam aniołki, które robiłeś na nagrobkach dla dzieci... – Zastanowił się, czy dodać coś jeszcze. W końcu powiedział: – Aniołek na grobie Młodszego miał jego twarz.

– Nie mówmy o tym.

Jeśli ojciec nie chciał o czymś mówić, to się nie mówiło. Kacper napił się herbaty.

– A co u ciebie?

– Dobrze. Mam dużo zleceń. Podpisałem kontrakt na kilka dużych wystaw. W końcu zaczynają się na mnie poznawać.

– Gratulacje – rzucił Kacper bez entuzjazmu.

– Dzięki. – Michał Frydrych pokiwał głową i napił się herbaty.

– Czemu rzeźbisz mamę?

– Żeby nie wypaść z wprawy. Ostatnio robię same abstrakcje. Muszę pamiętać, jak się rzeźbi ze zdjęć. Na wypadek gdyby spadł popyt na moje geometrie z kończynami i musiałbym wrócić do papieży i Piłsudskich, żeby zarobić na rachunki.

– Odwiedziłeś ją? Chociaż raz?

– Tak. Osiem lat temu, kiedy znowu wyjechałeś. I wiesz co? Ten aktorzyzna ją zostawił.

– Poważnie?

– Jest sprawiedliwość na tym świecie.

– Jak to zniosła?

– Nie wiem. Mieszka teraz sama. Zaczęła kłamać, że zawsze tego chciała i teraz jest wreszcie szczęśliwa. Nie było mi jej nawet zbytnio żal.

– I co dalej? Co jeszcze mówiła?

– Nie chciałem już z nią rozmawiać. Wróciłem do domu. Zamknąłem ten rozdział.

– Nie byłeś ciekawy, dlaczego odeszła?

– Zakochała się. Nie ma tu głębszej filozofii. A facet się odkochał. Samo życie.

– A co z nami?

– Nie wiem. Nie lubię o tym myśleć.

– Myślisz, że nas kochała?

Michał Frydrych westchnął.

– Może kiedyś. Ale miłość się kończy.

– Dlaczego nic nam nie powiedziała?

– Przecież zostawiła list.

– On niczego nie wyjaśnia.

– Właśnie, że wszystko wyjaśnia.

- Nie wydaje ci się to dziwne? – upierał się Kacper. – Kochała nas i nagle jej się odwidziało?
- Może nie nagle. Myślę, że to się stało już wcześniej. Długo udawała, zanim nas zostawiła.
- Udawała, że nas kocha?
- Tak napisała, nie?
- Nie wierzę, że mogłaby to udawać.
- I dlatego sobie nie radzisz.

Mała, ledwo zauważalna iskierka złości błysnęła w oku Kacpra.

- Co masz na myśli?
 - Dryfujesz. Zmieniasz miejsca, prace, dziewczyny. Nie masz celu. Raz na osiem lat dajesz mi znak życia.
 - Jeśli stawiasz mi teraz siebie za przykład radzenia sobie w życiu, to wolę mój sposób.
- Michał Frydrych dokończył herbatę i westchnął.

- Zauważyłeś, że bez względu na to, jak długo byśmy się nie widzieli, zawsze błyskawicznie przechodzimy do kłótni?
- Pojadę ją odwiedzić.
- Jak chcesz. Jesteś dorosły.
- Ty też mógłbyś w końcu dorosnąć.
- Dobrze. Zrobię, jak zechcesz.
- To ja będę się już zbierał.
- Miło cię było zobaczyć. Rozumiem, że do zobaczenia za osiem lat, tak?

Gdybyś wiedział, że już się nie spotkamy... – Kacper zwrócił się do ojca w myślach – Czy to by coś zmieniło? Rozmawialibyśmy inaczej? Bylibyśmy dla siebie serdeczniejsi?

Wstał i ruszył w stronę furtki.

– Kacper! – Mina ojca wypogodziła się nieco w niezdanym uśmiechu człowieka, który wie, że nie zachował się w porządku, ale duma nie pozwala mu tego przyznać. – Ty się dobrze czujesz, chłopaku?

Przystanął.

- A co?
- Strasznie jesteś blady.
- Przeziębilem się.
- Bo chodzisz bez czapki. Zawsze ci powtarzałem, że przeziębienie zaczyna się od głowy. Gównu mi powtarzałeś.
- Pamiętam, tato. Mam czapkę w aucie.

Kiedy minął furtkę, las wypełnił się znowu hałasem szlifierki, a z drzew poderwały się ptaki.

7 lipca 1997

W Krzewaniu, małym miasteczku na południu Polski, rzeka przerwała w nocy nasyp przeciwpowodziowy i wdarła się na ulice. Ludzi mieszkających w najniższej położonych częściach miasta obudziła woda wlewająca się do łóżek. Chwilę później ciszę rozdarło wycie syreny. Mieszkańcy, którzy wyszli wtedy z domów, byli świadkami tego, jak ulice mieszczące się wzdłuż rzeki przykryła rozpędzona masa czarnej wody, wyrrywając i unosząc ze sobą drzewa, słupy telegraficzne, kontenery na

śmiec i samochody. W zalanych do pierwszego piętra kamienicach otwierały się okna, z których wśród ryku fal dochodziło wołanie o pomoc.

Dom rodziny Frydrychów stał w jednym z wyższych punktów miasteczka, na zboczu wzgórza, oddalony od rzeki. Osiemnastoletni Kacper spał w ubraniu. W dłoni ścisnął decyzję komisji egzaminacyjnej ze szkoły teatralnej. Godzinę wcześniej w jasnej kuchni on, mama i Młodszy wznosili toast. Młodszy pił sok jabłkowy i cieszył się szczęściem brata, chociaż nie rozumiał jeszcze, że Starszy wyjedzie, a on zostanie sam z wiecznie skłóconymi rodzicami. Ojca nie było. Wystawiał swoje prace w Warszawie. Mama próbowała się uśmiechać, chociaż Kacper wiedział, że jest z nią gorzej niż zwykle. Widział, jak wcześniej płakała w łazience. W kuchni pogratulowała mu, przytuliła mocniej niż kiedykolwiek wcześniej i długo nie puszczała. Wypili po kieliszku szampana, a mama nalała sobie następny. Odstawiła butelkę do szafki. Kiedy później Kacper wyrzucał resztki ciasta, butelka spoczywała w koszu, pusta, przykryta papierkami.

Obudził go niesiony echem dźwięk syreny. Przetarł oczy, schował list do szuflady i wyjrzał przez okno. Małe domki w dole, których ułożenie znał na pamięć, wyglądały, jakby nagle się rozdwójły. W poświęcacie księżycy odbijały się od czarnej tafli wody, która przykrywała je do połowy. Otworzył okno. Sygnał syreny stał się wyraźniejszy. Do pokoju wpadł wiatr i zacinający deszcz. Kacper zszedł po skrzypiących schodach i przeszedł przez salon skąpany w półmroku. Zegar z wahadłem tykał głośno. Zapukał do jej drzwi. Przyłożył ucho, ale usłyszał tylko szmer deszczu. Nacisnął klamkę i jeszcze zanim wszedł do środka, poczuł ciepłe, wilgotne powietrze wiejące przez szparę w drzwiach. Pokój był pusty. Deszcz kapał na podłogę przez otwarte okna. Łóżko było zaścielone. Szafa na ubrania otwarta i w połowie opróżniona. Na białym stoliku obok łóżka leżał list. Wiatr próbował poderwać go do góry, ale arkusz papieru trzymał się mocno, przyciśnięty grubą książką. Kacper wziął go do ręki i przeczytał niezrozumiałe słowa:

Dzieci, Michale,

nie jestem szczęśliwa. Nie umiem już udawać kogoś innego. Nie szukajcie mnie. Zaczniście od nowa.

Helena

Przeczytał je jeszcze kilka razy; Nie jestem szczęśliwa. Nie umiem udawać.

Wybiegł przed dom i wodził wzrokiem po drzewach wyginających się na wietrze.

– Mamo! – krzyknął, zwijając dłonie w tubę, a echo odbijało się od konarów i wracało do niego, zniekształcone przez wicher i deszcz.

Zaczął biec przez ogród, zapadając się po kostki w rozmięklej ziemi.

– Starszy!

W drzwiach stał jego brat w żółtych kaloszach i przezroczyściej pelerynie przeciwdeszczowej, przez którą przebijają światło z przedsionka. Wyglądał jak kosmiczny karzeł z filmu science fiction.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Mama... gdzieś poszła... – zawołał Kacper, próbując przekrzyczeć wiatr, ulewę i syrenę. – Idę jej poszukać. Zostań w domu!

Młodszy pobiegł ku niemu, rozchlapując błoto.

– Idę z tobą!

Kacper spojrział w jego uparte oczy.

– Dobra, chodź. Ale trzymaj się mnie.

Usłyszeli huk helikoptera lecącego nad lasem. Dobięli do drogi. Sto metrów przed nimi woda wdzierała się do ogródków i w uliczki. Dalej, przez skrzyżowanie, płynęła już wzburzona rzeka, miażdżąc ogrodzenia. Podmyte mury domów pękały i fragmenty ścian waliły się do wody z głośnym młaśnięciem. Kacper wziął Młodsze go na barana. Okrążyli podtopioną ulicę i weszli na kładkę, pod którą płynęła teraz woda, choć jeszcze chwilę temu prowadziła tamtędy przelotowa droga przez miasto. Zobaczyli olbrzymie jezioro, rozlewające się po ulicach jak bluszcz oplatający ścianę domu. Woda wciskała się w każdy zakamarek i zabierała wszystko, co stało na jej drodze. Kacper widział, jak środkiem dryfuje budka z kwiatami, w której kupił kiedyś róże dla swojej pierwszej dziewczyny. Ludzie gorączkowo wnosili sprzęty i meble na dachy domów.

– Widzisz ją?! – krzyknął Kacper do Młodsze go.

– Nie!

– Dzieciaki!

Do kładki zbliżał się wojskowy ponton. Przy wiosłach siedział Mokrycz, właściciel zakładu pogrzebowego. Miał na sobie czarny garnitur, koszulę i krawat. Surowa, kanciasta twarz nie zdradzała śladów paniki. Mokrycz był kiedyś zawodowym żołnierzem i był świadkiem rzeczy o wiele gorszych niż powódzie. Na widok chłopców zmarszczył brwi na znak, że ich obecność w tym miejscu i o tej porze jest sprzeczna z prawami Zdrowego Rozsądku. Zdrowy Rozsądek był dla Mokrycza bogiem.

– Co tu robicie? Jazda do domu! – podniósł głos, żeby przekrzyczeć wiatr.

– Szukamy naszej mamy! – odkrzyknął Młodszy z ramion Kacpra.

Mokrycz podrapał się po mokrych włosach.

– Widziałem ją na nasypie. Co ona tam robi?

Kacper wyjął z kieszeni list i pokazał Mokryczowi. Ten przeczytał go, jeszcze mocniej marszcząc brwi. Papier był mocno przemoczony. Gdy mężczyzna oddał list, Kacper złożył go na cztery części i schował do papierońnicy, w której trzymał niedopałki na czarną godzinę.

– Czekajcie tu. Popłynę po nią – oświadczył Mokrycz.

– Popłyniemy z panem.

Skupiona twarz byłego żołnierza dawała do zrozumienia, że rozważa właśnie, czy obecność chłopców w pontonie będzie zgodna ze Zdrowym Rozsądkiem.

– Niech pan spojrzy. – Kacper wskazał ręką na wodę, która wspinała się coraz wyżej, pochłaniając kolejne centymetry kładki. – Przy panu będziemy bezpieczniejsi.

Mokrycz przyjrzał mu się podejrzliwie, zastanawiając się, czy chłopiec nie wykorzystuje właśnie jego chwili zawahania, ale w końcu kiwnął ręką na znak, żeby zajęli miejsca obok niego.

Chłopcy zeszli do połowy kładki, przeleźli przez barierkę i wskoczyli do pontonu. Przedsiębiorca pogrzebowy poprawił krawat i chwycił za wiosła. Płynął szybko, meandrując zwinnie między przeszkodami. Na nasypie ujrzeli tłumy ludzi.

– Co tam się dzieje? – zapytał Kacper.

Mokrycz wskazał ręką skład osobowy odbijający się w wodzie.

– Chcą odjechać, zanim zaleje nasyp. Ale pociąg nie ruszy, dopóki będą się tam tak tłoczył. A wszyscy się nie zmieszczą, to pewne.

Ludzie oblegli pociąg jak szarańcza. Przy drzwiach i oknach trwała bitwa. Szarpali się i okładali torbami. Dwóch mężczyzn próbowało wnieść do wagonu sofę. Ktoś zepchnął ze schodów ciężarną kobietę, która upadła twarzą na kamienie i rozcięła sobie wargę.

– Moje dziecko! – krzyczała, plując krwią i trzymając się za brzuch. – Zabiliście moje dziecko!

Kacper i Młodszy wyszli z pontonu. Na torowisku siedziała para staruszków. Trzymali się za ręce. Mokrycz uśmiechnął się do nich. Niedawno zamówili u niego dwie trumny, balsamowanie, kosmetykę zwłok i zlecili wykonanie formalności związanych z ich pochówkiem. Zapłacili za wszystko z góry. Cenił ludzi, którzy nie tracili Zdrowego Rozsądku i zachowywali pragmatyzm nawet w obliczu śmierci, również własnej.

– Państwo Dąbkowscy!

– Panie, cholera! – zawołał starzec. – Spadłeś nam z nieba. Podrzuc nas pan do domu. Zdążymy może uratować trochę gratów.

Mokrycz popatrzył na niego pytająco, a pytanie zawarte w tym spojrzeniu mogłoby z pewnością obrazić staruszkę.

Ten jednak domyślił się, o co chodzi, i odpowiedział z rozbrajającą szczerością:

– Wypadałoby coś zapisać dzieciakom.

– Muszę pilnować tych chłopców... – zaczął przedsiębiorca.

– Niech pan im pomoże – wtrącił Kacper. – Damy sobie radę.

– Dobrze. Niedługo wrócę i zaczekam na was.

Państwo Dąbrowscy weszli do pontonu, a chłopcy ruszyli w stronę pociągu. Szczęśliwcy, którym udało się dostać do środka, rzucali w napierający tłum wszystkim, co było ręką. Kopali tych, którzy podchodzili pod schodki. Tarasowali wejście własnym ciałem. Kacper i Młodszy, osuwając się po zboczu usypiska, przedostali się na przód pociągu.

– Musi być w środku – stwierdził Młodszy.

Na schodkach za czerwonymi drzwiczkami lokomotywy siedział maszynista z twarzą nabiegłą krwią. Mętym wzrokiem patrzył na wodę płynącą ulicami. Na widok chłopców uśmiechnął się łzawo.

– Oni nie wiedzą, że ten pociąg nie pojedzie. Mówiłem im, ale nie słuchają.

Kacper i Młodszy zerknęli na bitwę toczącą się przy wagonach.

– Nie pojedzie?

– Oczywiście, że nie. Elektrownia odcięła zasilanie, kiedy woda na rzece przekroczyła próg alarmowy. To standardowa procedura.

– No jasne... – odparł Kacper. – Czy może mnie pan przepuścić?

Maszynista zszedł ze schodków, zapalił papierosa i oparł się o bok lokomotywy.

– Jaka piękna noc – powiedział sam do siebie, obserwując ludzi kołujących się w czarnej, zimnej wodzie.

– Młodszy! – zawołał Kacper, wchodząc do ciemnego wnętrza. – Zostań tu z panem i wypatruj mamy. Jeśli ją zobaczysz, krzycz, ile sił w płucach. – Spojrzał niepewnie na maszynistę. – Popilnuje pan mojego brata?

– Nie ma problemu – odparł mężczyzna. Wypuścił kółko z dymu, po czym zwrócił się do Młodszego: – No i co tam u ciebie słyhać, młody człowieku?

Ludzie deptali się nawzajem, krzyczeli, wołali imiona swoich bliskich. Ktoś się rozplakał. Staruszką siedzącą na kolanach młodego mężczyzny odmawiała głośno różaniec. Ktoś próbował podać młodej kobiecie przez okno yorka, a pies szczekał irytująco jak zepsuta zabawka na baterie.

– Mamo! – zawołał Kacper.

Nikt nie zwracał na nikogo uwagi. Nikomu nie przeszkadzało, gdy chłopak czołgał się ludziom po nogach albo wspinał komuś na plecy. W końcu dotarł do ostatniego przedziału, który był wypchany ludźmi prawie po sam sufit.

– Helena Frydrych! – zawołał. – Czy jest tutaj Helena Frydrych?!

Zobaczył panią Fredę, pracownicę stacji benzynowej. Miała polar z firmowym logo, rozczochrane włosy i podrapaną twarz.

– Nie ma tu twojej mamy... Ale jest kawałek wolnego miejsca. – Wskazała na odcinek między swoim udem a ścianą przedziału. – Możesz się tu schować, jeśli chcesz.

Kacper wdrapał się na kolana starszego człowieka, który ścisnął w rękę ociekający wodą „Tygodnik Łowiecki”, złapał za krawędź opuszczonej szyby i zaczął przeciskać się przez okno. Gdy wisiał na zewnątrz wagonu i szykował do skoku na skarpę, zobaczył, że woda zakrywa już tory, i usłyszał wrzask. Młodszy. Zeskoczył wprost do mętnej wody i zaczął na pół iść, a na pół płynąć w miejscach, gdzie kamieniste zbocze zupełnie osuwało się już spod nóg. Okrążył lokomotywę i dopłynął do czerwonych drzwiczek. Maszynista siedział na dachu wagonu i patrzył na wodę.

– Miałeś pilnować mojego brata!

– Nie będziesz mi rozkazywał, gówniarzu! Ja mam godność! – odparł, po czym zaczął powtarzać pod nosem: – Jaka piękna noc. Piękna noc.

– Młodszy!

Kacper brodził wzdłuż pociągu między ludźmi, którzy próbowali jeszcze wywalczyć sobie miejsce, chociaż woda zakrywała ich już po pas. Zobaczył sunący po wodzie złoty kalosz.

– Młodszy! – krzyknął znowu, rozglądając się dookoła.

Nagle usłyszał trzask i poczuł rozlewające się w głowie ciepło. Ktoś uderzył go w skroń kantem walizki. Kacper przewrócił się i zniknął pod wodą.

Czuł, że jest w ruchu. Potężna siła pchała go naprzód. Wziął głęboki wdech i do płuc dostała się woda. Wypuścił ustami sznur bąbelków. Otworzył oczy. Woda wciągała ludzi do tunelu płynącego pod nasypem i wypełniała go po samo sklepienie. Neonowa lampa oświetlała tunel drżącym światłem, jakby wahała się, czy zepsuć się w tej chwili, czy za moment. Kiedy światło gasło, chłopca otaczała nieprzenikniona, gęsta czerń. Czuł, jak wpływa mu do żołądka i wypełnia nos, uszy i oczy. Kiedy neon mrugał, rozświetlał wodę przydymioną żółcią. Tunel z drugiej strony był zawalony stertą kamieni, które osunęły się z nasypu. Kacpra mijały dryfujące ciała o bladych twarzach, powykręcanych rękach, z rozczapierzonymi palcami. Chciał krzyczeć, ale usta wypełniała mu woda. Nie mógł oddychać ani się poruszyć. Stał się kukłą i mógł teraz jedynie obserwować. Na górze pod sufitem zauważył małą, bosą stopę. To był Młodszy. Unosił się twarzą do góry. Miał na sobie szarą bluzę z żółtymi ninja. Kacper patrzył, jak stopa brata oddala się i znika w ciemności. Wypuścił resztę powietrza.

Teraz umrę.

14 stycznia 2017

Dojechał do Orłówka późną nocą, ułożył się na tylnym siedzeniu i momentalnie zasnął. Obudził się o pierwszym brzasku, nagle. W panice chwycił ustami powietrze, dotykał rękami fotela, zagłówka, klamek. Jeszcze śnił. Tonął. Znajome kształty samochodu, które czuł pod palcami, powiedziały mu, że jest już bezpieczny. Przestał się trząść i opadł na oparcie fotela. Za przednią szybą, w bladym świetle

mroźnego poranka, rozciągała się droga usłana szyszkami i igliwem. Biegła zygzakiem pod górkę, na której rósł sosnowy lasek. Kacper wyszedł z auta i oddał mocz na trawę. Przez wydmy i las wiał zimny wiatr, przynosząc ze sobą zapach soli i żywicy. Mężczyzna wspiął się na pagórek. Pomijając lekki ruch fal przy brzegu, morze zdawało się zupełnie nieruchome, jak ciągnąca się po horyzont płyta szarego asfaltu. Na szklistym niebie wstawało właśnie słońce. Kacper poczuł jego promienie na twarzy i zmrużył oczy. Słuchał, jak poruszana wiatrem woda z szelestem przesuwając kamyki przy brzegu. Pomyślał o Nili, o ich białym domu na skale u wyjścia z zatoki, o żaglówkach z nagimi masztami, kiwających się na falach przy molo w Agios Stefanos. Przypomniał sobie życie na wyspie, godziny spędzone w porcie, grę w kości, zapach skręcanych papierosów, słodkawy smak *ouzo*, czerwone od alkoholu twarze kolegów z pracy, ciepłe wieczory i zachody słońca. I kiedy nocą, zupełnie pijani, próbowali poderwać Greczynki o włosach czarnych jak węgiel, a te ze śmiechem wołały do nich: *Átakta agória!*¹ i kiwały palcem. Tylko Nila nie śmiała się na głos. Śmiała się oczami, stojąc pod palmą. Kiedy się zaciągała, żar z papierosa rozjaśniał jej twarz.

Na końcu piaszczystej ścieżki przez wydmy, na drewnianej platformie stał parterowy dom ze ścianami w kolorze wyblakłej trawy i dużymi oknami z zaciągniętymi zasłonami. Ostatni raz Kacper stał przed tymi drzwiami siedemnaście lat temu. Obszedł wtedy dom i zobaczył ich przez okno. Ją i jej kochanka. Siedzieli na kanapie i patrzyli na siebie. Nie chcieli go wpuścić. Krzyknął, że wybije szybę. Nie zwracali na niego uwagi. Silne słońce odbite w szkle przysłaśniało ich twarze. Usiadł pod drzwiami i czekał. Nastął zmrok. A potem poranek. W końcu matka albo jej gach zadzwonili na policję. Funkcjonariusze kazali Kacprowi się wynosić. Teraz gdy szedł po kamienistej drodze, zdał sobie sprawę, że nie za bardzo wie, co mógłby jej powiedzieć. Przez lata jego złość przestała mieć znaczenie. Żał wysechł i rozwiął się na wietrze. Kacper rozmienił go na drobne w barach, burdelach, okradzionych domach, przelotnych romansach i pobytach w ośrodku. Przeczynał, że kiedy ją wreszcie spotka, nie wzruszy nawet ramionami. Próbował wykrzesać z siebie chociaż cień tamtego gniewu, ale w głowie miał tylko wiatr, słońce i absolutną ciszę. Stał pod drzwiami i zapukał, przyglądając się wieńcowi uschniętych polnych kwiatów na kołatce. Zapukał jeszcze raz, odczekał chwilę i tak samo jak wtedy, gdy miał dwadzieścia jeden lat, obszedł dom dookoła. Zaciągnięte zasłony nie pozwoliły mu tym razem zajrzeć do środka. Wrócił, rozejrzał się i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. W miarę jak wzrok przyzwyczajał się do ciemności, zaczął dostrzegać otwartą na oścież szafę i nagie wieszaki, opróżnioną skrzynię na buty i ciemne kwadraty na ścianie w miejscach, gdzie wisały zdjęcia albo obrazy. Zajrzał do dużego pokoju. Rozsunął zasłony. W dole rozpościerała się plaża. Przejechał palcem po parapecie i po szybie. Na opuszkach nie została ani odrobina kurzu. Meble ustawiono równo jak pod liniijkę. Podłogi odkurzone i umyte. Nie rzuciły mu się w oczy żadne przedmioty osobiste. Żadnych kluczy, okularów, torebki, telefonu. Dom wyglądał, jakby dopiero czekał na pierwszych lokatorów. Kacper otwierał kolejno szafki i szuflady, przeglądał regały, ale nie znalazł najmniejszego choćby śladu ludzkiej obecności. Matka czekała na niego w sypialni. Uśmiechała się smutno, tak jak w dniu, w którym uciekła. Jej siwiejące już, niegdyś słoneczne blond loki migotały w blasku słońca wpadającego do pokoju zza jego pleców. Na stole w smukłej zielonej butelce z wysoką szyjką stał jej ulubiony kwiat – biały tulipan, a oprócz niego leżało kilka książek, czarno-białe zdjęcie, staromodny telefon z tarczą. Zdażył jeszcze powiedzieć do niej „cześć”, zanim zauważył brzytwę i brunatną kałużę na podłodze.

Wyszedł z domu, zszedł drewnianymi schodami na plażę i usiadł na brzegu. W oddali morze przecinał piętrowy liniowiec. Sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę, w której przechowywał list. Przeczytał go jeszcze raz, schował w papierośnicy i cisnął w morską toń.

Zaczynjcie od nowa.

Fale unosiły papierośnicę coraz dalej od brzegu. Kiedy zniknęła, opuścił plażę i wrócił do samochodu. Włożył klucz do stacyjki. Jego dłoń zaczęła drżeć. Zbliżał się napad padaczki, ale aura² była teraz inna. Nie wyostrzyły się kształty ani barwy. Odchylił głowę do tyłu, a jego gałki oczne wywróciły się do góry i zniknęły pod powiekami. Czuł i słyszał, że mlaska głośno i drapie się po udzie. Nie mógł przestać. Chociaż nie miał władzy nad ciałem, pozostawał świadomy. Czekał na utratę świadomości, ale nie nadchodziła. Poczul czyjąś obecność. Poczucie graniczące z pewnością. Na tylnym siedzeniu. Nie mógł się obrócić ani spojrzeć w lusterko. Pomyślał o beretcie. Leżała w walizce w bagażniku. Był jeszcze nóż myśliwski w schowku. Gdyby napad minął, mógłby szybko po niego sięgnąć. Wśród szumu wiatru jego nadwrażliwy podczas ataków słuch wyłowił przytłumione słowa i melodię piosenki. Słyszał ją już przy pierwszym ataku, na Tilos. Jaka to piosenka? Nie potrafił powiedzieć. Po kilkunastu sekundach atak minął, umilkła melodia, zniknęła też tajemniczy pasażer. Kacper zapalił papierosa i długo patrzył na drogę wyjazdową znikającą za zakrętem.

Zbliżał się wieczór, kiedy wrócił do domu na wydmach. Napił się wody z kranu, obmył twarz i przeczesał włosy. Zabrał krzesło od stołu kuchennego i usiadł naprzeciwko matki. Odcisnął we krwi ślad podeszwy. W głowie nadal miał tylko wiatr, światło i ciszę. Patrzył na czarno-białe zdjęcie, które trzymała w dłoni. Na krawędziach widniały krwawe ślady palców. Ostrożnie oderwał fotografię od zakrzepłej krwi. Drewniana scena, kurtyna i światło reflektora. Sześcioro młodych ludzi: cztery dziewczyny i dwóch chłopaków. Pośrodku ona. Na dole spod zaschniętej smugi krwi przebiegały litery wypisane białym cienkopisem. Kacper zdrapał skrzep paznokciem. *Dni teatru, Biała, 1978*. Delikatnie obrócił zdjęcie w palcach i znalazł tam wiadomość, napisaną już innym atramentem.

Nie myśl, tylko to zrób.

Przeczytał ją kilka razy, po czym schował zdjęcie do kieszeni. Dotknął lekko ramienia matki. Jej ciało było twarde i chłodne jak święta figurka w nieogrzewanym kościele. Delikatnie musnął wargami jej policzek i wyszedł. Kiedy zauważył swój samochód w bładym świetle księżycy na pustym parkingu, poczuł ulgę. Zatrzymał się w przydrożnym hotelu i zapłacił za tydzień z góry.

Gdy miał sześć lat, obejrzał z ojcem film dokumentalny o himalaistach. Zapadł mu w pamięć namiot w głębokim śniegu i huk wiatru uderzającego w jego ścianki. Wewnątrz, przy świetle latarki, spał spokojnie himalaista okutany w gruby śpiwór. Kacper zasłonił okna i zamknął drzwi na klucz. Ściągnął częściowo z łóżka kołdrę i prześcieradło, tak by dotykały podłogi. Usiadł na parapecie i wybrał w telefonie numer Nili. Po chwili usłyszał jej miękki, kojący głos.

– Kacper... Odchodziłam od zmysłów. Tak długo nie dzwoniłeś. Co się z tobą działo?

– Już po wszystkim. Zrobiłem to.

Cisza.

– Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też. Jesteś już w Monachium?

– Nie. Musiałem coś jeszcze zrobić. Moja mama umarła.

– Boże...!

– Musiałem ochłonąć.

– Nigdy mi o niej nie opowiadałeś.

– Sam niewiele o niej wiem. Niedługo wyruszam. Znowu nie będę do Ciebie dzwonił przez jakiś czas. Nie martw się o mnie. Muszę pobyc z swoimi myśłami.

– Tylko nie zostań tam z nimi na zawsze. Czekam na Ciebie.

– Nila?

– Tak?

– Myślisz, że jesteśmy razem szczęśliwi?

– Ja jestem szczęśliwa. Ty mało mówisz o tym, co czujesz. Ale wierzę, że tak. Czasem uśmieciasz się przez sen.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Kocham Cię.

– Wiem.

Kacper wyłączył telefon. Przyniósł z łazienki suszarkę do włosów, wyłączył na najwyższe obroty i położył na podłodze, a sam wczułgał się pod łóżko. Słuchał szumu przez materiałowe ściany. W siatce, którą zabrał ze sobą, miał wódkę i Sevredol. Wrzucił do ust trzy tabletki, popił je i położył się prosto z rękami wzdłuż ciała. Minęło trochę czasu. Poczul, jak przyjemny dreszcz spływa od głowy przez ramiona do łędźwi i nóg, raz po raz. Na zewnątrz namiotu szalała nawałnica.

Kiedy wyszedł spod łóżka trzy doby później, ledwo poznał się w lustrze. Policzył, że zostało mu dziesięć tabletek Sevredolu. Zaplanował, że będzie brał je doraźnie, tylko kiedy ból stanie się nie do zniesienia. Wykąpał się i przyciął brodę. Poszedł na długi spacer. Zrobił zakupy. W aptece nabył środek na zaparcia, które męczyły go po morfinie. Przespał się, tym razem w łóżku. Rankiem obudził się z poczuciem panicznego lęku i stwierdził, że nie jest jeszcze gotowy wyjść. Oglądał więc telewizję, czytał czasopisma, które pożyczył z hotelowej poczekalni, robił pompki i bezskutecznie szukał w swoim odbiciu w lustrze choćby krztyny sensu. Siódmego dnia opuścił hotel i wjechał na drogę ekspresową do Monachium. Zignorował tablicę zjazdową na Białą, ale przy ostatnim słupku odmierzającym sto metrów do zjazdu szarpnął kierownicą i – pewny, że popełnia bład – zjechał z autostrady.

1959

Strasznie szpetnego mnie stworzyłeś i cichego, w ogóle się do ludzi nie nadaję, Panie Boże. Jak tacy jak ja mają się mnożyć i zaludniać ziemię?³ Jestem młodym chłopakiem, a czuję się jak starzec. Jeśli moje życie to miał być żart, to patrz – ja się nie śmieję. Czasem myślę, że jesteś nie tylko głupi, lecz także głuchy. Przepraszam, ale naprawdę mnie wkurzyłeś. Rok temu błagałem Cię, żebyś zabrał ode mnie wodę, którą miałem przed oczami we śnie i na jawie, pamiętasz? Może powinieneś umyć sobie uszy albo coś, chociaż niby jak, skoro masz obie ręce przybite do krzyża. Błagałem, a Ty nic nie zrobiłeś. Nie mam zwyczaju o nic prosić, a Ciebie błagałem. Pozostawiłeś mnie samemu sobie. Człowiek sam jak palec siedzi w chałupie. Rodzina albo umarła, albo wyjechała nie wiadomo dokąd. Przyjaciół nigdy nie miałem. Do niedawna jeszcze stary Bogumił, ten co ma gołębce, zachodził czasem na kielicha, ale i on odszedł do Ciebie i teraz tylko pustka. Zaczynam mówić do siebie, żeby nie zapomnieć, jak się to robi. Nie pamiętam, kiedy rozmawiałem z drugim człowiekiem, ale chyba właśnie z Bogumiłem, zanim umarł – będzie już ponad dwa lata. I jeszcze ta woda! Wszystko pod wodą: dom, las, pole, wszystko.

Umierałem ze strachu, Panie Boże. Przystałem pracować, przestałem spać i jeść, piłem tylko wódkę, ale nie było mi od tego lepiej. Czekałem, aż woda opadnie, ale nie opadała. Mijały dni. Długie, straszne dni bez końca. Jednej nocy wziąłem sznur z piwnicy, zawiązałem na belce pod sufitem i wszedłem na krzesło. Wtedy ktoś zapukał. Ale to nie byłeś Ty.

¹ Niegrzeczni chłopcy (gr.).

² Aura w medycynie to zjawisko przednapadowe, dotyczące epilepsji i migren. Jest swoistą zapowiedzią, zwiastunem napadu i charakteryzuje się doznaniem sensorycznymi, często powiązanych z pierwotną lokalizacją zbliżającego się epizodu.

³ Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań 1983, (Rodz. 9, 1): *Po czym Bóg pobłogosławił Noego i jego synów, mówiąc do nich: „Bądźcie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię”.j*

ROZDZIAŁ IV

20 stycznia 2017

Samochód toczył się po górskich serpentynach. Gałęzie sosen zbiegały się nad drogą, tworząc coś w rodzaju stropu w długim, biało-zielonym tunelu. Kiedy Kacper wyjechał z lasu, zobaczył pokryte śniegiem stoki opadające łagodnie na dno kotliny. W dole leżało miasteczko. Zabudowa koncentrowała się wokół dwóch wzgórz. Na bliższym stały kościół, ratusz z zegarem i czarna bryła starej twierdzy. Na drugim wzgórzu znajdowało się posępne, toporne blokowisko. Między pierwszym wzgórzem a przedmieściami ciągnęła się wstęga rzeki, spięta łukami mostów i kładek. Budynki skupiały się ciasno wokół twierdzy, ratusza i kościoła, czyli starego miasta i centrum. Im dalej od środka miasta, tym domki były niższe i bardziej oddalone od siebie. Radio zaczęło szumieć. Kacper pokręcił gałką. Na kolejnej częstotliwości znalazł lokalną stację. Grupa historyków odkryła w studni w twierdzy ludzki szkielet, należący najprawdopodobniej do jeńca z czasów II wojny światowej, kiedy twierdza stanowiła filię obozu Gross-Rosen. Mijał tablicę z nazwą „Biała”, kiedy silnik nagle zakaszłał i zawył. Kacper zjechał na pobocze. Wyszedł na mróz, zajrzał pod maskę, sprawdził poziom płynów i spróbował odpalić samochód ponownie. Bez skutku. Otworzył drzwi, zapalił papierosa i zaczął masować sobie czoło. Spojrzał na komórkę. Ani kreski zasięgu. Pośrodku zaszypanego śniegiem pola stał jelen. Kacper znowu spojrział na wyświetlacz telefonu i kiedy podniósł wzrok, jelenia już nie było. Mijały godziny. Siedział w samochodzie, chuchał w zmarznięte ręce i co jakiś czas wypalał papierosa.

To jest znak, żeby się tu nie pchać.

Nie wierzył w to, ale tak pomyślał. Teraz mocniej bolała go głowa. Sięgnął na tylne siedzenie, wyjął z plecaka gruby koc, owinął się nim i usiłował zasnąć, opierając skroń o zimną szybę. Mimo zmęczenia sen nie przychodził. Kacper zaklął, wyszedł z auta, wyciągnął z bagażnika torbę i walizkę, po czym ruszył poboczem w stronę miasta.

Daleko przed nim pojawiły się zarysy pierwszych zabudowań. Szedł niepewnie, ślizgając się po zmarzniętej ziemi. Oddychał ciężko i nierówno pod naporem bagaży. Kiedy mijał wbity w pobocze krzyż z zawieszonym na ramieniu kaskiem motocyklowym, z nieba spadł rześisty deszcz. Kacper przystanął i wraził sobie paznokieć palca serdecznego pod paznokieć kciuka prawej dłoni. Kiedyś przed pierwszą operacją odkrył, że w ten sposób może odróżniać przywidzenia wywołane przez guz od rzeczywistości. A że jego mózg miał słabość do deszczu i pod naciskiem glejaka często pokazywał mu spektakularne ulewę albo drobne mżawki – Kacper nabrał nawyku sprawdzania, jak jest naprawdę. Pod wpływem bólu deszcz jednak nie ustał. Był prawdziwy. Wreszcie mężczyzna dotarł do rozpadającego się przystanku autobusowego z drewna i falistej blachy. Usiadł na ławeczce i ziewnął. Poczuł, że robi się śpiący.

Obudziły go ostre światła reflektora. Była już noc, a deszcz ciągle padał. Kierowca nie wychodził. Kacper przez ulewę i rytmicznie pracujące, skrzypiące wycieraczki nie mógł zobaczyć jego twarzy.

Zasłonił oczy ramieniem i zawołał:

– Zgaś to, człowieku!

Drzwi samochodu otworzyły się. Wyłoniła się z nich niewyraźna postać. W deszczu i otaczającym ją nimbie ksenonowego światła zdawała się nie być człowiekiem, a żywym konturem wypełnionym czernią. Wysoką i szeroką plamą atramentu o ludzkich kształtach.

– Ma pan elegancką walizkę – przemówiła plama.

Z auta wysiadł ktoś jeszcze.

– Dziękuję – odparł Kacper. – Naprawdę, wiele to dla mnie znaczy, że ci się podoba. A teraz zgaś, proszę, światła.

– Mogę jej dotknąć?

– Sam się dotknij.

Cienie ruszyły w jego stronę. Na dnie walizki pod banknotami leżał pistolet. Kacper otworzył ją i szukał po omacku. Dopiero przebudzony, na wpół zamroczony snem, nie zdawał sobie sprawy jak wolno i niezgrabnie się porusza. Kątem oka zauważył błysk noża i poczuł lodowate ukłucie w lewym boku. Patrzył na migoczące krople deszczu. Usłyszał strzał dochodzący z daleka i podniesiony głos, a następnie kroki, trzaśnięcie drzwi, warkot silnika i szum opon na mokrej jezdni. Kiedy umierał, pomyślał o domu w Livadii. W swoim hotelowym namiocie wyobrażał sobie siebie jako staruszka. Chciał umrzeć ze starości i za dnia. Koniecznie za dnia. Teraz też miał przed oczami ten obraz. Zanim zamknął oczy, przez głowę przeszła mu myśl, że los nigdy nie dał mu wybierać między dobrem a złem, zawsze tylko między różnymi rodzajami zła. Jakby dobre rzeczy nie były dla niego stworzone.

ROZDZIAŁ V

21 stycznia 2017

Anioł obserwował miasto. W opuszczonej ręce trzymał trąbę, którą miał zwiastować dobrą nowinę. Nie użył jej ani razu, od kiedy w siedemnastym wieku budowniczy posadził go na wieży kościoła. *Hosanna in excelsis* – głosił napis na wstędze wychodzącej z trąby. Cherubin trzymał ją bez przekonania. Jego ciało zzieleniało i pokruszyło się od deszczu oraz wiatru. Gdyby był prawdziwym aniołem, a nie tylko kawałkiem kamienia, z pewnością rozważyłby opuszczenie swojego stanowiska i podjęcie jakiejś innej pracy.

Kacper nie umarł. Ostrze przeszło mięsień obły pleców poniżej pachy. Teraz leżał na rozkładanej sofie w niskim pokoju z drewnianą belą pod sufitem. Po otwarciu oczu zobaczył brodatą twarz w prostokątnych okularach. Należała do krępego mężczyzny ubranego w spodnie ze sztruksu i flanelową koszulę w kratę. Obcy nachylił się nad nim, odciągnął bandaż i przyjrzał się ranie. Na ścianach wisiały myśliwskie obrazy, strzelba i wypchane głowy dzików. Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie spod gęstej brody.

– Odstawiłem dla pana niezły western.

– Przepraszam?

Rana w plecach mocno rwała. Ból pozwalał Kacprowi uporządkować myśli.

– Został pan napadnięty. Szedłem akurat z lasu. Teraz jest sezon na daniela. Zobaczyłem, jak facet idzie na pana z nożem. Strzeliłem w powietrze. Krzyknąłem, żeby spierdalali. Nie pomyślałem, że oni też mogą mieć broń palną. Mogło być nieciekawie. Na szczęście uciekli.

– Kim pan jest?

– Z zawodu jestem weterynarzem. Na imię mam Wiktor. Ale kim jestem tak filozoficznie, tak? O to pan pyta?

Kacper jeszcze raz spojrział na wypchane głowy, strzelbę i myśliwskie obrazy.

– Weterynarz?

Wiktor kiwnął głową.

– Skąd pan się wziął tam przy drodze w środku nocy? – zapytał, poprawiając okulary.

– Jestem... Sam nie wiem. Moja matka stąd pochodzi. Pochodziła. Niedawno odeszła. Chciałem zobaczyć, gdzie dorastała, wie pan. Gdzie chodziła do szkoły, gdzie się bawiła jako dziecko. Za lasem zepsuł mi się samochód. Poszedłem poszukać pomocy i zasłałem. Resztę pan zna. À propos, widział pan mój samochód?

– Nie. Myślałem, że podróżuje pan pieszo.

Kacper położył głowę na poduszce i przewrócił oczami. Poderwał się jednak pod wpływem kolejnej myśli.

– A moją walizkę?

– Stoi w drugim pokoju.

– Zaglądał pan do środka?

– Tak. Była otwarta. Nie moja sprawa, skąd pan ma tyle forsy i broń. Swoją drogą 92FS to bardzo dobry pistolet – stwierdził tonem znawcy. – Proszę się nie martwić. Nie donoszę na swoich gości. A pan jest teraz moim gościem. Proszę coś zjeść. – Wskazał miskę z owocami i termos stojące na stoliku. – Proszę mi wybaczyć. Wrócę teraz do pracy. Zajrzę do pana później.

Wiktor Sasnal wyszedł, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

22 stycznia 2017

Kacper przespał resztę dnia i całą noc. Obudził się na chwilę przed wschodem słońca. Rana pod pachą wciąż bolała, ale dał radę wstać i wykonać krótki spacer. Posesja Wiktora leżała na uboczu. Do domu prowadziła długa, żwirowa droga przez sad. Dom był skromny, lecz ładny, wykonany z drewna, z kamienną podmurówką. Na lekko spadzistym dachu błyszczała w roztopiającym się śniegu ruda dachówka. Przed drzwiami znajdował się półokrągły plac wyłożony gładkimi kamieniami. Do domu przylegał drugi budynek, prostszy i starszy, do połowy ceglany, a wyżej zbudowany z desek. Nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem „LEKARZ WETERYNARII WIKTOR SASNAL”. Przez uchylone okno Kacper usłyszał ciche popiskiwanie. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w białej, wykafelkowanej sali. Ujrzał lampę zwisającą z sufitu na długim ramieniu i masywny, regulowany stół. Wiktor trzymał za łapy dużego wilczura. Kiedy usłyszał szcęk zamykanych drzwi, spojrzął na Kacpra i uśmiechnął się.

– Przepraszam – powiedział Kacper. – Już sobie idę.

– Niech pan zostanie. Pomoże mi pan.

– Na pewno?

– Jak najbardziej. Proszę tu podejść.

Kacper zbliżył się do stołu i położył na nim rękę. Poczuł chłód metalu. Wilczur cofnął się. Z rozwartego pyska zwiślał różowy jęzor. Grube krople śliny kapały na stół.

– Co mu jest?

– Wściekliwość. Postępujący paraliż. Uśpimy go, zanim wirus rzuci się na mięśnie oddechowe. Żeby się nie udusił. Widzi pan, jak patrzy? Jest wystraszony. Proszę go pogłaskać. Może pan do niego mówić.

– Co mam mówić?

– Cokolwiek.

Kacper przesunął dłonią po drżącym karku psa. Zwierzę najpierw usiłowało cofnąć szyję, ale po chwili poddało się pieszczocie.

– Opowiadaj, kolego. Co nawywijałeś?

Pies dyszał i cuchnęło mu z pyska. Spuścił wzrok, jakby zrozumiał pytanie.

– Pogryzł dzieciaka – rzucił przez ramię Wikotr, szukając czegoś w szafce.

Kacper patrzył, jak lekarz napełnia strzykawkę przezroczystym płynem z ampułki.

– Pewnie sobie zastrzyżył. Jak się wabisz?

– Nie ma imienia.

– Nazwiemy cię... Jerry. Chcesz być Jerrym?

Włczur niemrawo zamerdał ogonem. Sapał coraz szybciej. Wiktor wymacał żyłę w jego boku i wbił igłę. Zastrzyk trwał krótką chwilę i zdawał się bezbolesny.

– Połóżmy go.

Delikatnie położyli Jerry'ego na boku. Sapał ciszej i wolniej. Łapy się rozluźniły. Zamknął oczy. Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała cisza.

– To już? – wyszeptał Kacper.

– Teraz śpi. Podam mu barbiturany w większej dawce. To będzie jak guzik *off* dla jego kory mózgowej. Po prostu się wyłączy. Potem nastąpi bezdech i zatrzyma się serce.

Kacper popatrzył na Jerry'ego. Dotknął ręką piersi psa i poczuł powolne bicie serca.

– Co będzie z tym ugryzionym dzieckiem?

– Pies go uzał w nogę, kiedy tamten próbował go kopnąć. Smarkacz ma szczęście, że ugryzienie jest daleko od głowy. Im bliżej, tym wirus szybciej się rozwija. Od razu wzięli go do szpitala i zaszczepili. Przy tak szybkiej interwencji szanse zakażenia są zerowe.

– A psa trzeba zabić.

– Wścieklny się nie leczy. To nawet dobrze się złożyło, że pogryzł gówniarza. Szybko go dorwali i przywieźli do mnie. Lepiej, żeby odszedł w ten sposób, niż zdychał w bólach Bóg wie jak długo. Albo roznosił wirusa.

Kacper milczał.

– Widzę, że czuje się pan lepiej. Wstał pan wcześniej, pospacerował... To dobrze.

– Tak. Chociaż rana bardzo boli.

– Długo jeszcze będzie boleć. Ostrze weszło głęboko. – Wiktor zdjął folię zabezpieczającą z drugiej igły i wyjął z szafki fiolkę z napisem „Morbital”. Przezroczysta ciecz wypełniła strzykawkę. – Czy jadł pan już śniadanie?

– Jeszcze nie – odpowiedział Kacper, patrząc na Jerry'ego, który oddychał cicho przez rozchyłone szczęki. Bok zwierzęcia podnosił się i opadał w powolnym rytmie.

Wiktor podał mu kolejny zastrzyk. Bok falował coraz słabiej, aż w końcu znieruchomiał.

– W takim razie zapraszam. Zaniosę Jerry'ego do zamrażarki i zaraz dołączę.

Kacper kiwnął głową. Kiedy wyszedł na dwór, pociągnął nosem i powoli wypuścił powietrze przez usta.

Jedli na parterze, w dużym pokoju z widokiem na plac i sad. Z nieba padały grube płaty śniegu. Na stole przykrytym białym obrusem stały półmiski z mięsem, chlebem i warzywami, słoiki z konfiturą oraz masło. W imbryku parowała kawa. Kacper przeżuł ostatni kęs, wyciągnął się na krześle i jęknął głośniej, niż zamierzał.

– Nie spróbował pan karczku – powiedział Sasnal. – Sam go zrobiłem. Wytropiłem, zabiłem, oskórowałem, zamarynowałem i upiekłem.

– Chyba nie zmieszczę już niczego.

– Mam coś na trawienie. – Wiktor postawił na stole butelkę z grubego szkła.

– Wódka? – spytał Kacper.

– Bimber. Także własnej roboty.

Kacper zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta rano.

– Nie uchlejemy się przecież jak świnie. Czy pan może niealkoholowy?

– Tak bym tego nie nazwał.

Późnym popołudniem Kacper i Sasnał stali przy ognisku za domem, chwiejąc się na nogach. Wiktor pociągnął z butelki, podniósł opartą o ścianę strzelbę i przeładował.

– No, ciekawe – stwierdził Kacper. – Stawiam stówę, że nie trafisz nawet w głowę.

Dwadzieścia metrów dalej na pniu, oparty o pustą butelkę, stał obrazek z podobizną Jana Pawła II. Weterynarz przyłożył kolbę do ramienia, wycelował i wystrzelił. Kacper z papierosem w ustach podszedł do obrazka.

– Nic! Nie trafiłeś nawet w tło!

– Kurwa! Jedną ręką strzelała, a inna kierowała kulę⁴.

– Daj to.

Sasnał podał mu strzelbę.

– To drugie.

Kacper wziął butelkę i napił się. Zauważył obrączkę na palcu weterynarza – była nierówna i mocno zarysowana, w jednym miejscu pęknięta.

– Co się stało z twoją obrączką?

– Moja żona uderzyła w nią młotkiem. Chociaż może czasownik „napierdalać” jest tu bardziej na miejscu. Taka pokazówka, żeby coś mi uzmysłowić. Ale nie dała rady. Stop jest za twardy. Noszę ją, żeby pamiętać o dobrych i złych latach. To ważne, by pamiętać też o tym, co było złe.

– Gdzie ona teraz jest?

– W Warszawie. Razem z naszą córką.

– Widujecie się?

– Anielka, moja córka, odwiedza mnie czasem. Lubi mnie. Teresy nie widziałem, odkąd wyjechały. Będzie już dziesięć lat, jak nie rozmawiamy.

– Musiałeś nieźle nawywijać.

Pogodne oczy weterynarza przestały się uśmiechać.

– Przepraszam – chrząknął Kacper. – To nie moja sprawa.

– I tak ci powiem. – Samotny mężczyzna w końcu mógł się komuś wygadać. – Kochałem je obie za mocno. Tak mocno, że nie mogły oddychać.

– To znaczy jak?

– Byłem chorobliwie zazdrosny. Wystarczyło, że jakiś facet spojrział na Teresę nie tak, jak trzeba, a od razu tłukłem po pysku. Albo mnie tłukli. Bywało różnie. Ubzdurałem sobie, że coś im grozi. Że muszę nad nimi czuwać. Byłem pewien, że świat nie robi nic innego, tylko czai się na moje dziewczyny. Z czasem Teresa coraz częściej wymykała się sama. Uciekała, żeby ode mnie odetchnąć. Robiłem jej przez to sceny, ale nigdy jej nie uderzyłem. Długo to ciągnęliśmy. A potem Anielka stała się nastolatką i też polubiła wolność. Zaczęło mi odbijać. Jednej nocy zamknąłem je w domu. Darłem się, że będą wychodzić albo ze mną, albo wcale. Wystraszyłem je na śmierć. Odeszły. Wtedy się wściekałem, ale teraz je rozumiem. Nie chciałbym być swoim ojcem ani mężem. Umieję zoperować kręgosłup kotu, ale nie potrafię być głową rodziny.

– Nie każdy potrafi unieść małżeństwo i dzieciaki.

– Może nawet nikt, tylko jedni maskują to lepiej, a inni gorzej. A ja tak tu sobie siedzę od dziesięciu lat, mając za towarzystwo tylko zwierzęta. Dlatego też doceniam każdego gościa z gatunku *homo sapiens*. Twoje zdrowie.

Wypili. W butelce zaświtało dno.

– A ty? – zapytał Sasnal. – Mówiłeś, że twoja mama pochodzi stąd, z Białej.

– Jestem ciekaw tego miejsca. Nigdy mnie tu nie zabrała.

– Kiedy odeszła?

– Dwa tygodnie temu. Słabo ją znałem. Zostawiła nas, kiedy miałem osiemnaście lat.

– Kiepska sprawa. – Sasnal zapalił papierosa. Zajęło się przy tym kilka włosów z jego brody i zgasił je rękawiczką. W powietrzu rozszedł się zapach siarki. Weterynarz wyjął zza pazuchy następną butelkę, usiadł na ławie przy ognisku, pociągnął łyk i podał Kacprowi.

– Ciekawi mnie, jak w sobie mieścisz te dwie sprawy, którymi się zajmujesz.

– Myślistwo i weterynarię? To prosta kwestia. Równowaga. Balans w przyrodzie. Zabijanie chorych czy zanadto rozmnażających się gatunków to też forma leczenia. Chodzi o szerszą... – Wiktor wstał, zatoczył się i upadł na ziemię. – Szerszą perspektywę. Chyba przegiąłem pałę – wysapał, kiedy Kacper pomógł mu się podnieść. – Pójdę się położyć.

– Ja też.

Wtoczyli się do domu. Kacper przewrócił wieszak.

– Posłuchaj. A co ty o niej wiesz? Znasz jej adres? Wiesz, gdzie chodziła do szkoły?

– Nie. Nic nie wiem.

– Pomogę ci. – Wiktor zaczął bełkotać. Położył Kacprowi dłoń na ramieniu, tak jak robił to Jerry.

– Mieszkam tu ponad pięćdziesiąt lat. Znam tu wszystkich. Jak miała na imię?

– Nazywała się Helena Baczevska. – Kacper pokazał mu zdjęcie, które wyciągnął z dłoni matki. – To ta dziewczyna w środku.

Wiktor odwrócił fotografię, przejeżdżając palcami po zaschniętej krwi. W ciemnym świetle przedpokoju wyglądała jak plamy po herbacie.

– Dziwne. Jesteśmy chyba w podobnym wieku, a jej nie kojarzę. Wydawało mi się, że znam tu każdego. Popytam.

– Będę wdzięczny.

Na niebie świecił księżyc. Kacper zasnął, trzymając zdjęcie na piersi.

23 stycznia 2017

Wiatr rozwiął chmury, a słońce stało już wysoko. Kacper czuł narastający ból w skroniach i pulsowanie rany pod pachą. Zwiesił głowę za łóżko i zwymiotował. Usłyszał stukanie w szybę. Po parapecie chodziła papużka amazonka. Chwiejąc się, podszedł do okna, mimo silnego mrowienia w rękach i nogach.

Zostaw to i jedź do Monachium. Szybka myśl zapaliła się i zgasła.

Otworzył okno i wpuścił papużkę do środka. Usiadła na stoliku, po czym zaczęła dziobać nadgryzione jabłko.

– A kuku, panie kuku – zaskrzeczała.

– A kuku – odparł.

Miała zabandażowaną nóżkę. Kacper dokończył po niej jabłko, znalazł w torbie ostatni blister Sevredolu, połknął tabletkę i poszedł pod prysznic. Zrobiło mu się lepiej. Wracając, poczuł na wilgotnej skórze zimny powiew. Wzdrygnął się. Musieli zapomnieć zamknąć drzwi, kiedy wrócili pijani. Założył świeże rzeczy i poszedł do sieni. Na kamienistym placu przed domem siedział duży kudłaty pies. Miał przekrwione oczy. Jego wielki łeb co chwilę opadał na pierś, po czym zwierzę z trudem znów go podnosiło.

– Nie powinienes być w klatce, kolego? – zdziwił się Kacper.

Zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na dwór. Drzwi do lecznicy były otwarte. Między nogami przebiegł mu rudy kot. Mężczyzna zobaczył puste klatki otwarte na oścież, dokumenty porozrzucone po podłodze przez przeciąg, wybebeszone szafy i szuflady. Wrócił do domu i skierował się do pokoju Wiktora. Pusto.

Czekał do zmierzchu, a potem do rana. Kiedy minęło czterdzieści osiem godzin, dwie sprawy stały się dla niego jasne. Pierwsza: Wiktor zaginął. Druga: nie mógł zostać w jego domu. Powiadomienie policji nie wchodziło w grę. Musiały tłumaczyć się, kim jest i jak znalazł się w tym domu, a gdyby policjant okazał się wystarczająco dociekliwy – także z walizki pełnej pieniędzy, posiadanej broni i rany pod pachą.

26 stycznia 2017

Rankiem Kacper opuścił dom Sasnala i dźwigając torbę oraz walizkę, ruszył w stronę wyjazdu z Białej. Na polu, na którym zostawił samochód, widniał tylko prostokątny ślad na śniegu. Kacper zaklął i zawrócił. Biała majaczyła przed nim jak fatamorgana.

Porównanie dosyć trafne, jeśli mówimy o pokonywaniu dalekich dystansów tylko po to, żeby dowiedzieć się, że to, czego szukamy, nie istnieje.

Powietrze pachniało dymem z kominów. Słońce zniknęło za chmurami. Mężczyzna dyszał ciężko, maszerując teraz między parterowymi domkami o brudnych pastelowych elewacjach. Nie spotkał ani jednego człowieka. Dotarł do nasypu kolejowego, pod którym wiódł tunel prowadzący do dalszej części miasta. Niczym obraz w okragłej oprawie zobaczył po drugiej stronie płaczące wierzby pochylone nad rzeką, stare kamienice w kolorze piasku i wieżę kościoła. W cieniu tunelu siedział żebrak owinięty kocem i czytał książkę. Na widok Kacpra podniósł zaropiałe oczy i przeczytał, sepleniąc przez braki w ubięzieniu:

– „Podróżować jest bardzo pożytecznie, to wprawia w ruch wyobraźnię. Reszta to tylko zawód i mordęga. Nasza podróż...”⁵

– Szukam pokoju do wynajęcia.

Żebrak opuścił wzrok i podrapał się po głowie.

– A cze... cze... czego ja szu... szukam? – wyjąkał.

Kacper machnął ręką i ruszył wąskim chodnikiem wzdłuż wiaduktu.

Zielona furтка z tabliczką WOLNE POKOJE otwierała się na wąski trawnik. Na jego końcu stał domek z czerwonej cegły. Po ścianie piął się bluszcz. Kacper zadzwonił i czekał. W drzwiach ukazała się młoda kobieta na wózku inwalidzkim. Miała duże oczy jak u wystraszonej sarny.

Jak Niła.

Kobieta uśmiechała się serdecznie, ale z rezerwą, jakby kąciki jej ust blokowały się na pewnej wysokości.

– Chciałbym wynająć pokój.

– Już nie wynajmuję pokoi – zdziwiła się.

– W takim razie przepraszam. Zmyliła mnie tabliczka.

Popatrzyła na niego z ukosa.

– Wie pan co... To znaczy nie wynajmuję od dawna... ale kiedyś wynajmowałam. Pokój jest w kiepskim stanie. Turyści niechętnie już tu zaglądają. Ale wynajmę, jeśli zapłaci pan część z góry. Każdy grosz się przyda – dodała, widząc jego zdziwienie z powodu tak nagłej zmiany decyzji.

Kacper myślał przez chwilę, po czym skinął głową. Kobieta cofnęła się do sieni. Ciepło, półmrok, zapach lakieru do drewna, kurzu i starych książek. W jednym z pokoi regał sięgający sufitu.

– Królik! – zawołała kobieta.

Na schodach pojawiły się białe skarpety i szczupłe nogi, potem zielona spódniczka, podkoszulek, w końcu piegowata głowa o rudych włosach i uśmiech odsłaniający duże jedynki.

– Przygotuj panu pokój na piętrze.

Królik ukloniła się i zniknęła. Kacper wszedł za kobietą do pokoju z książkami.

– Czasami za oknem przejeżdża pociąg i wtedy szyby trochę drżą.

– Nie szkodzi.

– Na długo pan przyjechał?

– Jeszcze nie wiem.

– Nie boi się pan pożarów?

– Jakich pożarów?

– W ciągu tygodnia już dwa razy palił się las. A wszystko tam jest przecież mokre. Nie ma oficjalnego stanowiska policji, ale wygląda na to, że ktoś podkłada ogień.

– Nie wiedziałem. Przyjechałem nagle. Sprawy rodzinne.

Przechyliła głowę z zainteresowaniem, jak wróbel czekający na okruszek.

– Niedawno odeszła moja mama. Chciałem zobaczyć, gdzie mieszkała. Może porozmawiać z kimś, kto ją znał. Nazywała się Helena Baczeńska. Wyjechała stąd w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym.

– Urodziłam się wtedy.

– Ja też.

Zamilkli. Za oknem przejechał pociąg i zadrżały szyby.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego szuka.

W drzwiach zjawiła się Królik.

– Zapraszam – rzuciła wesoło.

Pokój był długi i wąski, z dużym oknem wychodzącym na pole przecięte w połowie nasypem kolejowym. Dalej była rzeka, a za nią mały stadion miejski. Nad drzwiami Kacper ujrzał jasny ślad po zdjętym krzyżu.

– Doba kosztuje czterdzieści złotych – oznajmiła Królik i wyciągnęła otwartą dłoń.

– Drogo.

– Nie ma turystów.

– Zaczekaj na zewnątrz.

Kacper otworzył walizkę i wysupłał dwie setki. Królik czekała pod drzwiami, nucąc piosenkę.

– Na razie za pięć dni.

Dziewczyna dygnęła, unosząc rąbek spódniczki, a potem zbiegła po schodach. Kacper przekreślił klucz w zamku i położył na łóżku. Sięgnął ręką do torby, wymacał zdjęcie mamy i oglądał je w zamyśleniu. Podłączył telefon do ładowarki. Odczekał godzinę, na zmianę drzemiąc i rozmyślając, po czym wstał i wyszedł z domu. Mijając furtkę, kiwnął głową przyglądającej mu się przez okno Elizie.

Powinnaś poćwiczyć uśmiechanie, pomyślał.

Miała jeden z tych uśmiechów, który się przybiera, kiedy mówi się bliskiemu zmarłej osoby, że wszystko się jakoś ułoży. Mimo to wydawała mu się ładna i miła. W młodości powiedzenie o kimś, że jest ładny i miły, było czymś w rodzaju zniewagi. Ładny i miły znaczyło tyle co nudny, a nie było gorszego grzechu niż bycie nudnym. Teraz kiedy miał trzydzieści osiem lat, uważał, że nie ma niczego złego w byciu ładnym, miłym i nudnym. Ból głowy zatrzymał go w pół kroku. Złapał się za skronie. Wydawało mu się, że słyszy plusk wody.

Helena odeszła po raz drugi i po raz drugi czuł, że wydarzy się coś złego. Dzieci cierpiące przez rodziców. Od początku ludzkości powtarza się ta sama historia. „Ojcowie jedli kwaśne winogrona, a synom zęby cierpną”⁶. Osiemnastolatek nadal jest przeciwieństwem dzieckiem. Bez matki zaczyna błądzić i ginie w świecie pozbawionym miłości i ciepła⁷. Nie poszedł do szkoły aktorskiej. Po jej odejściu na kilka tygodni zamknął się w pokoju. Nie jadł, nie mówił i nie spał. A kiedy w końcu wyszedł, nie był już tym samym chłopcem. Stał się opryskliwy i agresywny. Prowokował bójkę. Po maturze i przeprowadzce do większego miasta dokonał pierwszej kradzieży z włamaniem. Za każdym razem, gdy robił krzywdę komuś albo sobie, marzył, żeby matka stała za rogiem, patrzyła i nie mogła nic zrobić. Zerwał kontakt z ojcem. Nie było go, kiedy był potrzebny, więc droga wolna. Nie potrzebował już nikogo. Znowu pomyślał, że dobre rzeczy nie są dla niego. Kto tak postanowił? Kto wydał na niego wyrok? Jedyne dobre, jakie go spotkało, była Nila. Zabiła dla niej człowieka i zabiłby jeszcze stu, gdyby to oznaczało, że będzie mógł się przy niej zestarzeć i umrzeć wtulony w jej ciepłe ramię. W jasny, upalny dzień.

1959

Wtedy ktoś zapukał. Ale to nie byłeś Ty. To była młoda kobieta, naga, jak ją stworzyłeś, mówi ci to coś? Z mokrych włosów po jej ciele płynęła woda, pod stopami miała kałużę. Zobaczyłem w świetle księżycy, bo była pełnia, Panie Jezu, mokre ślady na ziemi od strony lasu. Przypomniał mi się mój sen o kobiecie i dzieciach z jeziora i strach mnie zdjął, aż się przeżegnałem, choć nie mam takiego zwyczaju. „Ratuj”, powiedziała i pokazała ręką, żebym ją wpuścił do środka. Co miałem zrobić? Przepędzić ją? Weszła. Woda z niej kapiała, to dałem jej ręcznik, a że nie miałem babskich ubrań, bo skąd, dałem jej swoje. Posadziłem ją przy kominku. Nalałem jej wódki, ale zasłoniła się ręką, jakby się bała alkoholu, więc zaparzyłem herbaty, to owszem, wypila, ale ciągle się trzęsła i wiedziałem już, że to nie z zimna, a ze strachu. „Co tobie?”, pytam ją i próbuję złapać jej wzrok, ale mi ucieka, gapi się a to na ścianę, a to w podłogę, a oczy ma takie wielkie i czarne jak u kota. Trzęsie się ciągle jak osika. Po chwili Suka, który ma dobry słuch i węch, uniosła głowę i nadstawiła uszu. Aż dziw, pomyślałem, że kobiety nie wyczuła. Nawet kiedy zapukała do drzwi, Suka nie ruszyła się z legowiska. Jakby wiedziała, że nie ma się czego bać. Ale teraz kręci łbem i podnosi fafle, do warczenia się zbiera. Mówię: „Cicho, Suka”, i sam

nasłuchuję, ale nic nie słyszę z dworu, tylko drzewa lekko szumią. I ona wtedy się odzywa i pierwszy raz patrzy prosto na mnie. „Ukryj mnie”. No ładnie, myślę sobie, może kurwa uciekła od sutenera albo żona od męża, albo jakiś zazdrosny gach jej szuka po nocy i teraz to i mój problem, kurwa mać, i myślę sobie, że jak Ci się, Boże, żaliłem na samotność i błagałem o towarzystwo, to niekoniecznie takie i w sumie to dziękuję bardzo za takie przygody. Mam w chacie taki stary piec, między nim a ścianą jest wnęka szeroka na pół metra. „Tam się schowaj”, mówię do niej, ona posłusznie siada między ścianą a piecem. „I nie szczękaj tak zębami”, szepczę już poważnie, zły na tę całą sytuację. Biorę z pakamery siatkę na ryby, plandekę i jakieś szmaty, rzucam wszystko na nią i każę jej się nie ruszać. Nasłuchuję jeszcze raz, tylko szum, jak poprzednio. A może to wariatka, może uciekła ze szpitala i jej się zdaje, że kto ją ściga, a to tylko w jej dużej makówce. I tu akurat jesteśmy podobni, ja też mam przecież zwidy, nawet teraz mi się widzi, że wszystko jakby lekko przymglone od zielonej wody i mułu, który się wzbija z dna, ale macham ręką, odganiam to, patrzę, że Suka wyszła z legowiska, jeży się pod drzwiami i teraz słyszę wyraźnie trzask gałęzi, a po chwili drugi. Tak chodzi człowiek, który się nie skrada, nie zastanawia się, czy go usłyszą, czy nie. W oknie miga światło latarki. Już jest na podwórzu. Kroki na żywirze, na schodkach, na tarasie. Pukanie.

⁴ Słowa Jana Pawła II dotyczące zamachu na niego, dokonanego 13 maja 1981 roku.

⁵ L.-F. Céline, *Podróż do kresu nocy*, przeł. O. Hedemann, Warszawa: Czuły Barbarzyńca 2005.

⁶ Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań 1983, (Ez, 18, 2): *Dlaczego powtarzacie między sobą takie przysłówie o ziemi Izraela, mówiąc: „Ojcowie jedli kwaśne winogrona, a synom zęby cierpną?”*.

⁷ Tadeusz Różewicz, *Matka odchodzi*, Wrocław 1999: *Kiedy matka odwróci oczy od swojego dziecka, dziecko zaczyna błądzić i ginie w świecie pozbawionym miłości i ciepła.*

ROZDZIAŁ VI

26 stycznia 2017, popołudnie

Szkoła mieściła się w siedemnastowiecznym budynku przyłączonym do kościoła. Jej długi mur z przejściem pod arkadami ciągnął się wzdłuż deptaka prowadzącego do rynku. Po przeciwnej stronie w poczeriałych kamienicach mieściły się sklepy, kwaciarnia i cukiernia. Na drzwiach szkoły wisiała kartka z napisem: „W okresie ferii zimowych 23.01–05.02.2017 szkoła nieczynna”. Z tyłu budynek łączył się z boiskiem ogrodzonym siatką. Kacper wspiął się i zeskoczył po drugiej stronie. Popękany asfalt, zdezelowane kosze i bramki, potłuczone butelki. Podeszedł do tylnych drzwi. Naklejka na szybie. OBIEKT MONITOROWANY. Poniżej napis flamastrem: „Chuja tam monitorowany”. Przyjrzał się wiszącej nad drzwiami kamerze. Czerwona lampka świeciła, chociaż kabel zasilający wisiał wyrwany ze ściany. Atrapa. Kacper rozejrzał się, wyjął z muru obluźowaną cegłówkę i rzucił nią w szybę. Niezbrojone szkło rozsypało się jak cukier. Uważając, by nie przeciąć się tkwiącymi w ramie resztkami szyby, wszedł do środka.

Światło sączyło się z trudem przez okna zasłonięte grubymi firankami. Sale były otwarte na oścież. Rzędy równo ustawionych ławek i krzeseł, niezapisane tablice, czyste i zielone, jakby nikt nigdy ich nie używał. Podobnie jak w domu, w którym zabiła się Helena. Czysto. Pusto. Obszedł wszystkie piętra, aż w końcu na trzecim, ostatnim, znalazł szkolne archiwum. Zamknięte. Spojrzał przez dziurkę od klucza. Zobaczył długi regał, szeroki stół, stopy segregatorów i pudła z papierami. Okno wychodzące na boczną ulicę było uchylone. Wszedł do sąsiedniej sali. Otworzył okno, które ustąpiło z głośnym zgrzytem, i poczuł na twarzy zimne powietrze. Uśmiechnął się do wspomnienia, kiedy to jako dzieciak chodził po gymzisie. Szkolny zakład o to, kto jest najodważniejszy. Gapie niemal mdleli ze strachu, a on świetnie się bawił. Teraz też wspiął się na parapet i ostrożnie opuścił nogi na wąski występ. Trzymając się kantu wnęki okiennej, zaczął powoli przemieszczać się w stronę sąsiedniego okna. Uważnie stawiał stopy jedna obok drugiej. Nie patrzył w dół. Przeszedł już tyle, że ręka przestała dosięgać kantu. Za plecami miał teraz tylko gładką ścianę. Zrobił kilka kroków, balansując ostrożnie ciałem. Wymacał kant wnęki archiwum. Nagle stary mur ukruszył się pod jego ciężarem. Kacper chwycił się parapetu i zawisł nad ulicą. Sapiąc, podciągnął się, złapał za ramę okienną, wciągnął na parapet najpierw klatkę piersiową, potem brzuch. Pchnął okienne skrzydło, przechylił się do przodu, podkurczył nogi i wlał cały do środka. Odetchnął z ulgą i wciągnął nosem zapach kurzu, drewna i starych papierów. Z obrazka na ścianie spoglądał na niego Jan Paweł II. Kacper zdjął go i położył na stole twarzą w dół.

– Przepraszam za to strzelanie. To nie był mój pomysł.

Zaczął otwierać szuflady. Jedne były zupełnie puste, podczas gdy inne ugiwały się pod stertami dokumentów. Nic nie było w porządku, ani alfabetycznym, ani chronologicznym. Wertował kolejne pliki papieru, a w przerwach rozciągał się, palił papierosy, robił pompki albo nucił *Wyśnitam sen* z musicalu *Nędznicy*. Było późne popołudnie, kiedy wreszcie znalazł coś o Helenie. Klasa licealna A,

rocznik siedemdziesiąty siódmy. Dziennik ocen, dyplomy, zdjęcia, wycinki z gazet. Dużo zdjęć mamy. Zauważył, że na każdym się uśmiecha. Wziął do ręki wycięty artykuł. Obok czarno-białej fotografii była krótka recenzja spektaklu. Autor tekstu ocenił występ Heleny jako „urzekający” i „obiecujący”. Był też dyplom za udział w konkursie recytatorskim i list od przeora zakonu franciszkanów. Zakonnik dziękował szkole, a w szczególności Helenie, która była przewodniczącą samorządu uczniowskiego, za pomoc w zbiórce dla najuboższych. Kacper przejrzał zawartość ostatniej szuflady i zabrał się za pudła stojące na podłodze. Klasa A, rocznik siedemdziesiąty ósmy. Helena Baczevska: wzorowe zachowanie, dobre oceny, pochwały, gratulacje, dyplomy, wyróżnienia, pierwsze miejsca. Na dworze zapadał już zmrok. Zmęczone powieki Kacpra zaczynały bezwiednie opadać, kiedy dotarł do dokumentów z klasy maturalnej i spojrzął w dziennik uwag.

02.12.1978. Helena Baczevska uderzyła Monikę Biernacką. Sprawa u dyrekcji. Możliwe wydalenie ze szkoły.

07.01.1979. H. Baczevska. Zatrucie. Szpital.

14.01.1979. Helena Baczevska nie pojawia się w szkole. Dopisek na marginesie: Porozmawiaj z nią, kiedy się pojawi. Podpis: Danuta Jarska.

Odnalazł informację, że Danuta Jarska była wychowawczynią klasy A. Wyjął z kartonu dziennik ocen w czerwonej obwolucie. Na przełomie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego i siedemdziesiątego dziewiątego Helena opuściła się w nauce i jej oceny z bardzo dobrych i dobrych spadły na dostateczne i niedostateczne. Dalej widniał ciąg zer i nieobecności. Od połowy lutego przy rubryce z jej nazwiskiem widniały puste kratki. Nie przystąpiła do matury. Przeprowadziła się z ojcem do jego Krzewania i urodziła Kacpra.

Dlaczego nie po maturze? Skąd ten pośpiech?

Włożył dokumenty do teczki i schował ją do skórzanej torby. Przekręcił gałkę w drzwiach, po czym wyszedł na korytarz. Teraz jednak ten korytarz wyglądał inaczej. Poruszała się. Na ścianach i suficie falowało rdzawe, brudne światło. Cienie kwiatów na parapetach wiły się i drżały. Kacper podszedł do okna. Słyszał swój przyspieszony oddech i krew dudniącą w skroniach.

Zdawało mu się, że droga nie ma końca. Gubił się w gęstym labiryncie ulic. Co jakiś czas zabudowa stawała się niższa i wtedy mógł dojrzeć lunę i skorygować trasę. Rozpoznał, że idzie wzdłuż ogrodzenia okalającego stadion. Minął długą aleję drzew, zobaczył po lewej stronie rzekę, a za nią nasyp kolejowy. Któryś z ciemnych domów na pagórku za nasypem należał do Elizy. Kacper zbliżał się do ściany ognia. Rozgrzane powietrze gęstniało i dławilo go. Ogrodzenie stadionu uciekało w prawo, a przed nim rozwijała się polana, na której końcu stał las. Drzewa trzeszczały. Kora wystrzeliwała w niebo zwęglonymi płatkami i opadała na ziemię jak czarny śnieg. W podrygującej lunie stały ciemne sylwetki ludzi. Na polanę wjechały wozy strażackie. Jeden ze strażaków odszedł na bok i przez krótkofalówkę prosił o przysłanie helikoptera z proszkiem gaśniczym. Kacper zapatrzył się w ogień. Oderwał wzrok dopiero na widok drobnej, zgarbionej sylwetki, która weszła w jego pole widzenia i szybko zbliżała się w stronę lasu. Starsza kobieta, z włosami prawie do łokci, gęstymi i posklejanymi, w kaloszach, starej sukni i puchowej kurtce z dziurami na łokciach. Kacper obejrzał się za siebie. Żaden z gapiów nie palił się, by zawrócić staruszkę z samobójczego toru.

– Proszę pani!

Babcia parła energicznie przed siebie, na nic nie zważając. Kacper zaklął pod nosem i niechętnie zaczął biec w jej stronę. Powietrze parzyło. Dobiegł do baby i złapał ją za kaptur. Zobaczył

pomarszczoną twarz i orli nos, żółte plamy na gałkach ocznych i krzywe zęby. Z ust cuchnęło jej przetrawionym alkoholem.

– Proszę się cofnąć – zażądał.

Starucha uderzyła go otwartą ręką w twarz. Tego się nie spodziewał. Kiedy podniósł głowę, kobieta zamachnęła się znowu. Kacper zrobił unik, po czym uderzył ją prawym sierpowym. Jęknęła i upadła na ziemię. Podniósł ją, objął mocno w pasie i odciągnął na środek polany. Wyrwała się. Usiłowała uderzyć go ponownie, ale zrobił krok w tył i wystawił przed siebie uniesioną dłoń jak przy szkoleniu psa, gdy się pokazuje, że czegoś mu nie wolno. Baba warknęła. Jak pies.

– Olga!

Zbliżał się do nich nienaturalnie wysoki, siwy i pomarszczony mężczyzna w kamizelce oraz czapce zimowej.

– Gdzie ty byłaś?

Kacper chrząknął i się cofnął.

– A pan to kto? – zapytał go olbrzym.

– Ten skurwysyn mnie uderzył! – wrzasnęła baba.

Kacper nigdy nie bił się z kimś takiej postury, jaką miał ten facet. Pomyślał, że trzeba będzie szybko się poruszać i zadawać niskie ciosy w brzuch i krocze.

– Pani chciała wejść w ogień – powiedział, mierząc olbrzymia wzrokiem i planując taktykę obrony i ataku. Nie dawał sobie zbyt wielkich szans.

Iskra w oku wielkoluda przygasła. Patrzył teraz na Olgę.

– To prawda?

– Szłam do domu.

– Kurwa!

– Próbowałem ją powstrzymać. Zamachnęła się na mnie, więc jej odwinąłem. Odruchowo. Nie zrobiłem tego dla przyjemności.

Olbrzym zadumał się i znowu powiedział „kurwa”, po czym zwrócił się do Kacpra:

– Pozwoli pan?

Ten wyjął ręce z kieszeni i postanowił, że spróbuje przewrócić olbrzymia, łapiąc go pod kolanami i przyciągając do siebie. Zastanawiał się, czy będzie miał na tyle siły, żeby go unieść na ten niezbędny ułamek sekundy.

– Dziękuję – powiedział tymczasem olbrzym, kiedy odeszli na bok.

Nie tego się spodziewał.

– Moja żona dużo pije. Miała złe życie. Nasz dom naprawdę stoi w tym lesie. Widocznie była myślami gdzie indziej.

– Przykro mi, że musiałem ją uderzyć.

– Dobrze, żeś pan jej przypierdolił – rzucił ktoś głośno za ich plecami.

Stał tam strażak z krótkofalówką.

– Idź sobie, Majorze – warknął olbrzym.

– Uratowaliśmy wasz dom. Trochę wdzięczności by cię nie zabiło.

Ktoś zawołał Majora i ten odszedł, puszczając Kacprowi oko.

– O co chodziło? – zapytał Kacper.

– Majorowi? Nie wiem, czy jemu kiedykolwiek o coś chodzi. To dziwny człowiek. Działa jakby na dwóch biegunach, raz jest gadatliwy i wtedy z jego ust może wytoczyć się dosłownie wszystko, a czasem całymi tygodniami nic nie mówi. Z jakiegoś powodu nie lubi mojej żony. Najlepsza broń na takich to nie zwracać na nich uwagi.

Kacper nic nie odpowiedział. Olbrzym wyciągnął do niego rękę.

– Stanisław. Stach. Porębski.

Dłoń Kacpra wyglądała jak dziecięca, kiedy ścisnął ogromną łapę Stacha.

– Niech pan nas kiedyś odwiedzi. Olga coś ugotuje. Napijemy się.

– Chętnie – skłamał.

Stanisław wziął żonę za rękę i odeszli. Kacper patrzył, jak oddalają się w stronę rzeki i znikają w ciemności. Czuł, że kleją mu się powieki, a ciało błaga o łóżko, nie umiał jednak oderwać oczu od pożaru. Płonące drzewa łamały się z suchym trzaskiem. Jedno wpadło w ścianę ognia i płomień w tym miejscu wystrzeliły w górę, jakby chciały dosięgnąć nieba. Kacper siedział w kucki na mokrej trawie i obserwował. Nad łąką przeleciał śmigłowiec. Z jego otwartego brzucha na las opadła hałda proszku i przyduśiła ogień. Strażacy uwijali się przy wozach. Pożar zaczął słabnąć, odsłaniając czarne, zadymione fragmenty lasu. Za linią drzew złamał się kolejny pień i znów runęło drzewo. Rozległ się krzyk. Kacper, na poły już śpiący, wstał z kucek i lekkim krokiem człowieka, który śpi już prawie całym sobą, podszedł w stronę wozów. Z ciemnego tunelu między drzewami wyszli dwaj strażacy, niosąc trzeciego na „siodełku” ze splecionych rąk. Ranny oddychał głęboko jak zmęczony pies i kłął pod nosem. Kacper podszedł bliżej. Był to strażak, którego Stach nazwał Majorem. Z pękniętej nogi poniżej kolana wystawała biała kość. Spodnie mężczyzny utyłane były w lepkiej, czarnej krwi, która lśniła w ogniu dogasających drzew. Jego koledzy dzwonili po karetkę.

– Pierdole was, tych sanitariuszy i tych skurwiałych wieśniaków... – Fragmenty tego, co mówił do kolegów, docierały do Kacpra wśród syku wody strzelającej z węży. – Długo mamy czekać na tych skurwysynów?

Jeden ze strażaków owinał Majorowi nogę bandażem, poczym dołączył do swojego kolegi. Odeszli na stronę i rozmawiali o czymś półszepem.

– Słyszę was, gnoje, co pierdolicie. Załatwcie mi tu ten ambulans, bo zejść z bólu, wy śmiecie!

Popatrzył na pożar i pociągnął nosem.

Strażacy odeszli dalej. Kacper podszedł do rannego i długo patrzył na wystającą z ciała kość.

– A ty, kurwa, co? – Major podniósł wzrok. Był siny i pocił się mocno.

Kacper ukląkł obok i podał mu Sevreol.

– Pigułka gwałtu? – zapytał Major, szczerząc zęby w uśmiechu, który przypominał raczej grymas człowieka torturowanego.

Nie czekając na odpowiedź, połknął tabletkę. Położył się na ziemi i przymknął oczy. Kacper usiadł obok i patrzył na pożar. Minęło dziesięć minut. Kwadrans. Pół godziny. Oddech majora wyrównywał się. W końcu strażak rozchylił powieki. Na jego twarzy malował się wyraz błogiej ulgi. Po chwili podszedł jeden z jego kolegów i oznajmił:

– Karetka wpadła w poślizg i wjechała do rowu. Wysyłają drugą, ale trzeba czekać. Może i godzinę.

Major westchnął i przeciągnął się na śniegu.

– A teraz to się pierdolicie wszyscy – szepnął, po czym zwrócił się do Kacpra: – Nie wiem, co tam ćpasz, człowieku, ale dobre to jest. – Jego oczy błyszczały. Dotknął palcem wystającej spod bandaża

kości. Zebrał z niej krew i wytarł o kurtkę. – Załamać nogę w pożarze to jakby szczęście, co nie? – zapytał, patrząc na Kacpra rozgorączkowanymi oczami. – Mogłem się spalić jak ten dzieciak, a tu proszę. – Z rozbawieniem pstryknął w kość paznokciem. – Nawet ładnie to wygląda.

– Dzieciak? – zapytał Kacper.

Ale Major nie odpowiadał. Leżał w śniegu, głaszcząc się po udzie, i mruczał jak kot.

Kacper chwilę na niego patrzył, po czym odszedł przez pole w stronę wzgórza, na którym stał dom Elizy.

Tego samego dnia rano Aniela Sasnal, garbiąc się pod ciężarem turystycznego plecaka, szła zwirową drogą wzdłuż sadu. Nie uprzedziła ojca, że przyjedzie. Już z daleka zobaczyła wielkiego, kudłatego psa leżącego pod drzwiami. Przyspieszyła kroku, zrzuciła plecak i kucnęła przy zwierzęciu. Drzwi do domu zastała otwarte. Pies był chory i z trudem chwycił powietrze. Aniela weszła do środka, wyciągnęła z lodówki dziczyznę, po czym nalała wody do miski i pomogła psu ułożyć się w ten sposób, by mógł jeść i pić na leżąco. Głaskała go, kiedy jadł. Na dłoni miała wytatuowanego kundla, który mówił FUCK PEOPLE, a na przedramieniu sentencję: *Nie człowieka kocham mniej, lecz Naturę bardziej.*⁸

Darzyła ojca szacunkiem za to, co robił dla zwierząt, i tym bardziej nie potrafiła pojąć jego słabości do polowania. Ojciec, o wiele bardziej elokwentny i lepiej wykształcony niż ona, nigdy jej się nie podkładał, kiedy próbowała negocjować jego moralność. Bezwzględnie odpierał każdy argument i wygrywał każdą kłótnię. Jego miłość do polowania była dla niej odpychająca i to uczucie do człowieka, którego przecież jednocześnie kochała, drażniło ją jak niewidzialna drzazga. Kiedy oddech wielkiego psa się wyrównał, poszła rozejrzeć się po gospodarstwie. Wkrótce weszła do lecznicy i zobaczyła otwarte klatki.

W tym czasie na jednym z niedostępnych dziedzińców grodzieńskiej twierdzy Wiktor Sasnal otworzył oczy. Miał związane nogi i nadgarstki oraz knebel w ustach. Za grubą kratą krążyły psy. Naliczył dziesięć. Niektóre warczały bez wyraźnego powodu, jakby na niewidzialnego intruza, inne nerwowo gryzły wszystko, co wpadło im w szczęki.

Wścieklizna. Faza podrażnienia, pomyślał.

Wciąż jeszcze miał przed oczami zdjęcie, które pokazał mu syn Heleny. Pamiętał, jak bardzo musiał się wysilić, żeby nie dać po sobie poznać przerażenia, kiedy oglądał fotografię przy słabym świetle lampy w przedpokoju. Pamiętał szybkie bicie serca, które towarzyszyło mu, kiedy w pośpiechu wrzucił swoje rzeczy do torby podróźnej, pamiętał, jak wbiegł do garażu, gorączkowo szukając kluczyków, a potem głucho uderzenie, ból w potylicy i gasnący, wirujący obraz.

Rozległy się kroki i skrzywienie żelaznej bramy. Na dziedzińcu wszedł człowiek w czarnej bluzie z kapturem. Usta i nos miał zasłonięte szalikiem. Zbliżył się do Wiktora, wyjął nóż, po czym uwolnił jego nogi i ręce. Były sine i pozbawione czucia. Napastnik nie zabrał knebla. Sasnal spróbował wstać, podpierając się łokciem, ale mężczyzna przytrzymał go butem. Wiktor zaczął szybko oddychać, z oczu popłynęły mu łzy. Mężczyzna opuścił dziedzińiec i zamknął za sobą bramę. Po chwili pojawił się na murze i podniósł z ziemi gruby zwój sznura. Kiedy za niego pociągnął, krata oddzielająca Wiktora od psów podniosła się.

⁸ G. G. Byron, *Wędrówki Childe Harolda*, przeł. J. Kasprzewicz, J. Paszkowski, Warszawa: PIW 1985.

ROZDZIAŁ VII

27 stycznia 2017

O szóstej rano za oknem przejechał pociąg i dzwoniąca w ramie szyba wyrwała Kacpra ze snu. Otworzył oczy, a potem sprawdził ręką, czy walizka jest pod łóżkiem. Dotyk gładkiej skóry uspokoił go.

– *Bueno*⁹ – rzucił na głos, po czym poszedł pod prysznic.

Mył się długo, nucąc *Do you hear the people sing*. Obejrzał dokładnie swoją twarz w lustrze i zobaczył, że limo nabite przez grubasów już prawie zniknęło. Zmienił opatrunek na ranie pod pachą, przyciął brodę, włożył czarne spodnie, sportową bluzę i zszedł na parter. W kuchni zobaczył Królik myjącą naczynia. Dziewczyna przywitała go uśmiechem.

– Zostawiliśmy panu dwa omelety i trochę chleba. – Wskazała patelnię. – Są jeszcze ciepłe.

Podziękował skinieniem głowy, przerzucił omelety na talerz i siadł przy stole. Jadł pomału, od czasu do czasu zerkając na nastolatkę.

– Twoje imię się odmienia, Króliku? – zagaił.

– Jak komu wygodnie – odparła, wzruszając ramionami, chociaż naprawdę zrobiło jej się miło, że ją zagadnął. Uśmiechnęła się pod nosem.

– Mam nadzieję, że to nie jest twoje prawdziwe imię.

– Jasne, że nie. – Odwróciła się do niego i postukała brudną łyżką w czoło.

– Wolałem zapytać. Ludzie różnie nazywają dzieci. Sporo teraz małych Kewinów i Palomek. Aktorka, która grała Tereskę w filmie *Cześć, Tereska!*, chciała dać synowi na imię Pretorian. Więc skoro nie Królik, to jak się nazywasz?

– Grażyna. Ale proszę do mnie tak nie mówić.

– Dlaczego?

– Bo to imię dla starej baby. Może zacznę go używać po sześćdziesiątce. Mama uważa, że jest piękne. Nie kłóć się z nią. Nie może chodzić, więc nie chcę jej dokładać zmartwień.

Kacper kiwnął głową i wrócił do jedzenia. Królik gapiała się na niego.

– Co? – zapytał z pełnymi ustami.

– Podoba się pan mojej mamie.

Zakaszła.

– Skąd ten pomysł?

– Ona patrzyła na pana tak, jak na swojego poprzedniego chłopaka. Wyszczrzyła się i wysunęła czubek języka przez zęby.

Kacper wiedział, że dziewczyna z jakiegoś powodu próbuje go sprowokować i postanowił nie dać jej tej satysfakcji.

– A gdzie jest teraz ten były chłopak?

Królik spojrziała na wiszący nad drzwiami zegar.

– Teraz nie żyje.

Kacper czekał, aż powie coś więcej.

– Mieli z mamą wypadek na motocyklu pięć lat temu.

– Ale dlaczego popatrzyłaś na zegarek?

– Zapytał pan, gdzie on teraz jest. Staralam się być zabawna. Nie zawsze mi to wychodzi. Mama jest o wiele zabawniejsza. Teraz jest na tarasie, może pan do niej pójść. Chyba próbuje pisać, ale jej nie idzie. Co chwila mruczy pod nosem: „No kurwa, no”, kiedy myśli, że nie słyszę.

Dziwne dziecko.

– Co pisze twoja mama?

– Książkę. Z marnym skutkiem.

– Nie jest jej zimno na tarasie?

– Na pewno nie w nogi. To co, pogada pan z nią?

– Teraz nie mogę. Muszę coś załatwić. Posłuchaj... – Zamyślił się, celując w Królik widelcem. – Chodzisz do gimnazjum, prawda? Do szkoły przylegającej do kościoła?

– Skąd pan wie?

– Zgaduję. Nie ma zbyt wielu szkół w Białej.

– Bystrzak z pana. W sam raz dla mamy. Lubi bystrych chłopców.

– Skończ już z tym, rany boskie.

– No dobra... – Królik wyduła wargi, a jej oczy nie skrywały radości, że udało jej się go trochę rozdrażnić.

– Szukam kobiety, która tam uczy. Albo uczyła. Nazywa się Danuta Jarska.

– Pewnie, że ją znam. Moja babka od polskiego.

– Nadal tam pracuje?

– Nie. Zwolnili ją dwa lata temu. Jest bardzo stara i poprzestawiały jej się klepki. Mama mówi, że to uwiad starczy.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– No jasne. Kiedyś obrzucałam jej dom jajkami.

– Nie lubisz jej?

– Ależ skąd. Uwielbiam. To przemiła staruszka. Po prostu czasem wariuje, jak się nudzę.

Bardzo dziwne dziecko.

– Zaprowadzisz mnie do niej? Gubię się w tych uliczkach. Wczoraj w nocy prawie godzinę szedłem z rynku na stadion.

– Wczoraj w nocy? Oglądał pan pożar?

– Oglądałem.

– Ja też, przez okno. Piękny był, co?

– W pewnym sensie.

– Niech mi pan da dziesięć minut.

Szli wzdłuż zaniedbanych poniemieckich kamienic. Na jednym ze skrzyżowań za rogiem znajdował się wysoki mur więzienia zwieńczony drutem kolczastym. Odbili w ulicę po prawej, która biegła

wzdłuż tego muru, pnąc się stromo do góry. Na tarasie narożnej wieżyczki strażnik palił papierosa i kaszlał.

– Okropne miejsce – szepnęła Królik. – Mama mówi, że jak nadal będę rozrabiać, to mnie tu zamkną.

Kacper spojrział na nią z ukosa.

– Nie jesteś taka niegrzeczna, jak twierdzisz.

– Nie zna mnie pan. Jestem bardzo niegrzeczna! Mogę panu opowiedzieć takie rzeczy, że się panu zrobi niedobrze.

– Mam mocny żołądek.

Dziewczynka pociągnęła go za rękaw. Kiedy się nachylił, wyszeptała mu coś do ucha. Wyprostował się i popatrzył na nią zdumiony.

– A co na to twoja mama?

– Mówi, żebym kazała chłopcom się zabezpieczać. I żebym robiła to tylko z tymi, których naprawdę lubię. Teraz pana kolej.

– Na co?

– Na sekret! Ja powiedziałam panu coś o sobie. Nie zna pan tej gry? Prawda albo wyzwanie.

– Znam.

– No właśnie! To jak? Ma pan jakiś fajny sekret?

Przypomniał sobie górę obsypaną śniegiem, jezioro, chatę. Człowieka z blizną pod nosem. Huk. Królik patrzyła na niego niepewnie.

– Wszystko w porządku?

– Sam nie wiem.

– Mówiłam, że się panu zrobi niedobrze.

Siedli na murku przed zamkniętym sklepem. Kacper zapalił papierosa.

– Poczęstuje mnie pan?

Podał jej fajkę i ogień.

– Masz czternaście lat, uprawiasz seks i palisz papierosy. Chyba naprawdę jesteś niegrzeczna.

– Myślał pan, że tylko się przechwalam?

– Tak.

– Pan też nie jest aniołkiem.

– Nikt nie jest.

– A papież?

– Papież też nie.

– Szkoda. Myślałam, że chociaż on. – Królik westchnęła i wypuściła nosem wstęgę dymu.

Stroma ulica się skończyła. Na szczycie wzgórza, na rozległych trawnikach stały wieżowce z płyty, upstrzone antenami telewizyjnymi i zwiędłymi kwiatami wiszącymi z doniczek jak martwi ludzie przewieszeni przez burtę statku. U stóp wieżowców leżało osiedle domków szeregowych.

– To tu. – Królik zdeptała obcasem niedopałek rzucony pod bramę z numerem osiem.

– Poczekaj tu na mnie.

– Na tym mrozie?

– Na tym mrozie.

Kacper nacisnął przycisk domofonu. Po dłuższej chwili zabręczczała otwierana bramka. Kiedy szedł ścieżką z różowego kamienia, zobaczył w oknie zgarbioną sylwetkę, a niedługo potem usłyszał chrobotanie klucza w zamku i w drzwiach pojawiła się drobna, siwa kobieta o poplamionej skórze i jasnych oczach. Na widok opartej o płot dziewczyny uśmiechnęła się i pomachała do niej, jakby były koleżankami. Kacper odwrócił się i zobaczył, że Królik, lekko zawstydzona, ukloniła się nauczycielce grzecznie, uciekając wzrokiem na bok.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry. Jest pan kolegą Grażynki Szustak?

– Królik? Tak. Mieszkam z jej matką. To znaczy wynajmuję u niej pokój.

– Przypomina mi pan kogoś. – Staruszka wytrzymała wzrok, oglądając twarz Kacpra pod światło. – Spotkaliśmy się już?

– Raczej nie. Ale była pani wychowawczynią mojej mamy pod koniec lat siedemdziesiątych. Jestem synem Heleny Baczewskiej.

Brwi pani Danuty uniosły się, a usta rozchyliły, gdy uciekło z nich zaskoczone: „Och...”.

– Już zatem wiem, skąd pana znam. Te pana oczy... Dokładnie takie same jak jej. Niech pan wejdzie. Nie, proszę nie zdejmować butów, broń Boże!

Kacper wszedł głębiej do sieni wyłożonej boazerią. W powietrzu unosiły się zapachy starości: starej skóry, taniego kremu, gotującego się bigosu, zakurzonych dywaników, zawieszek na mole. Weszli do jasnej kuchni, gdzie na stole przykrytym kraciastą ceratą stało plastikowe radyjko Sanyo. Danuta wyciągnęła z kredensu dwa kubki i nastawiła wodę na herbatę. W radyjku nadawano audycję ze starymi piosenkami, Mieczysław Fogg śpiewał *Mały biały domek*. Kacper uśmiechnął się kwaśno. Danuta, myśląc, że to do niej, odwzajemniła uśmiech, pokazując drobne, pożółkłe ząbki. Siedli po przeciwnych stronach stolika. Staruszka zaczęła skubać rękaw swetra.

– Nasza Helenka. Ostatnio widziałam ją w gazecie z okazji jakiegoś spektaklu. Ledwo ją poznałam. To był chyba musical *Nędznicy*. Kiedy to mogło być?

– W dziewięćdziesiątym czwartym roku.

– Och! – Staruszka zaczerwieniła się. – To... – zaczęła liczyć na palcach – ...dwadzieścia trzy lata temu. A ja powiedziałam, że ostatnio. Widzi pan, sporo jeszcze pamiętam, tylko że nie umiem sobie tych wydarzeń poukładać. No to niech pan mówi. Co u Helenki?

– Umarła – odparł. Żałował, że nie umie tego przekazać delikatniej.

Staruszka zasłoniła sobie usta ręką.

– Chciałem zapytać o waszą rozmowę w lutym siedemdziesiątego dziewiątego. Helena zatrula się i została odwieziona do szpitala. Niedługo później zapisała sobie pani, że koniecznie musi z nią porozmawiać.

– Skąd pan o tym wie?

– Byłem w archiwum szkolnym. Czytałem dzienniki.

– Kto pana tam wpuścił? – Danuta poczerwieniała. Coraz mocniej skubała rękaw.

– Włamałem się.

– Włamał... włamał się pan? – Staruszka poczerwieniała jeszcze bardziej i wstała z krzesła. – Będę musiała zawiadomić policję. Niech pan wie, że nie toleruję...

– Helena się zabiła – przerwał jej.

Danuta zastygła w miejscu, po czym usiadła z powrotem.

– Uciekła ode mnie, mojego ojca i brata. Zamieszkała z jakimś człowiekiem na drugim końcu kraju. Po dwunastu latach się rozstali, a po dwudziestu, czyli kilka dni temu, znalazłem ją z podciętymi żyłami. Jeśli mama powiedziała pani wtedy coś, co rozjaśni tę historię, chciałbym to usłyszeć.

Staruszka słuchała, nie odrywając dłoni od ust. Gwizdek w czajniku zaświszczał, wypływając kłęby pary. Była nauczycielką podniosła się, załapała dwie herbaty i postawiła je na stole.

– Znalazłam ją w szatni. Trzymałam za rękę w karetkce. To nie było przypadkowe zatrucie. Połknęła opakowanie tabletek nasennych. Nie wiem, skąd je wzięła. Nie chciałam wywoływać paniki w szkole. Powiedziałam o tym tylko jej rodzicom. Po tym zdarzeniu Helena przestała pojawiać się na lekcjach. Miałam wyrzuty sumienia, jako człowiek i pedagog, że przeoczyłam coś ważnego. Nie zauważyłam, kiedy coś złego zaczęło się dziać z tym pogodnym dzieckiem. Zapiisałam sobie w dzienniku, że koniecznie muszę z nią porozmawiać, ale po próbie samobójczej rodzice bali się wypuścić ją z domu. Może obawiali się, że znów to zrobi. Gdy nalegałam, zgodzili się, żebym ją odwiedziła. Pamiętam, że siedziałam na krześle przy łóżku, a ona mówiła do mnie, leżąc twarzą do ściany. Zbliżała się matura. Helena miała takie zaległości, że nie miała szans zdać egzaminów. Zaproponowałam jej korepetycje. Odmówiła. Była w drugim miesiącu ciąży. Bardzo źle ją znosiła. Męczyły ją mdłości i straszne bóle. Ciągle wymiotowała. Może nie powinnam była jej o to pytać, ale nie dawało mi to spokoju. Zapytałam, czy chciała popełnić samobójstwo ze strachu przed rodzicielstwem. Wtedy na mnie spojrzała. Powiedziała, że marzy o dziecku. I rozplakała się. Była rozpalona i blada, ale mówiła pewnie. Działo się z nią coś niedobrego, ale nie chodziło o ciążę.

– Domyśla się pani, o co więc mogło chodzić?

– Nie. Kazałam jej przysiąc, że już nigdy nie zrobi czegoś tak głupiego. Obiecała mi to.

– Uwierzyła jej pani?

– Bardzo żałowała, że próbowała się zabić. Dostała drugą szansę. Dotrzymała danej mi obietnicy. Urodziła pana. Nie zabiła się.

– Zabiła się dwadzieścia lat później – rzekł trochę do niej, a trochę do siebie.

– Co pan chce powiedzieć?

– Po prostu głośno myślę. – Kacper wyciągnął z kieszeni zdjęcie i podał staruszce.

– Czy to...? – zapytała, ostrożnie dotykając krawędzi palcami.

– Krew.

– Po co mi pan to pokazuje?

– Z tyłu jest napisane...

– Nie mam okularów. Przyniosę, proszę zaczekać.

– Nie trzeba. Na odwrocie jest napisane: „Nie myśl, tylko to zrób”. Co to może znaczyć?

– Nie mam pojęcia. – Staruszka pokręciła głową.

– Nie domyśla się pani, czego moja matka się wtedy bała? Dlaczego wzięła tabletki?

– Nie udało mi się o nic więcej zapytać. Chwilę później zadzwoniła do niej Monika i Helena bardzo się zdenerwowała. Nie chciałam jej już dłużej męczyć. Była w kiepskim stanie.

– Monika Biernacka?

– Tak. Jej przyjaciółka.

– Przeczytałam w dzienniku, że Helena ją pobiła.

– Pokłóciły się o coś, jak to dziewczynki w tym wieku. Nie wiem, o co dokładnie.

– Telefon Moniki ją zdenerwował?

– Popadła w takie dziwne odrętwienie. Najpierw skuliła się i długo milczała, a potem zaczęła strasznie zawodzić. Trochę się wtedy wystraszyłam. Do pokoju weszli jej rodzice. Wezwali lekarza i poprosili, żeby wyszła.

– Czy Monika Biernacka nadal mieszka w Białej?

– Tak. Jest aktorką w teatrze, jak pana mama. Prowadzi też w Miejskim Ośrodku Kultury koło teatralne dla dzieci.

– Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

Kacper wstał i skierował się do wyjścia.

– Myśli pan... – głos Danuty zatrzymał go przed drzwiami – ...że gdybym była bardziej dociekliwa, mogłabym jej pomóc?

– Jest pani dobrą kobietą i nie powinna pani nad tym zbyt długo rozmyślać. Nie ma potrzeby się zadreżać.

Zamknął za sobą drzwi. Królik siedziała na murku, bawiąc się telefonem.

– I co? Fajnie było? – zapytała.

– Bardzo fajnie.

– Wymyśliłam dla pana wyzwanie.

– Wyzwanie?

– Nie chciał pan zdradzić sekretu, więc musi pan podjąć wyzwanie. Postawi mi pan piwo.

– Piwo? Piwo to dobry pomysł. Twoja mama oczywiście nie będzie miała nic przeciwko?

– Oczywiście.

– Myślałem, że znajdziemy coś bliżej. – Kacper sapał, kiedy wreszcie usiedli przy stoliku w ogródku restauracji Rynkowej. Parasol grzewczy pozwalał siedzieć na dworze w ciepło.

– Ale pan jest drętwy! – Królik przewróciła oczami. – Przecież pokazałam panu kawał miasta. Powinien pan być zachwycony!

Rynek mieścił się na wzgórzu, był wyłożony grantową i czarną kostką brukową. Na wzniesieniu, do którego prowadziły kamienne schody, stał ratusz. Za schodami znajdowała się wysoka kolumna morowa postawiona ku chwale Matki Boskiej, która w siedemnastym wieku uratowała miasto przed dżumą. Nad ratuszem teren nadal się wypiętrzał. Szczyt wzgórza zajmowała potężna bryła twierdzy o murach wychodzących prosto ze skały.

Po kilku chwilach przy ich stoliku zjawiała się kelnerka o mysich włosach związanych w kitkę.

– Co będzie?

– Dwa lagery. – Kacper wskazał palcem pozycję w karcie. – Do tego paczka orzeszków i popielniczka.

Kelnerka spojrzała na Królik. Dziewczyna bawiła się klipsem na serwetki.

– Coś nie tak? – zapytał Kacper.

Kelnerka posłała mu wymuszony uśmiech i odeszła. Po chwili wróciła z zamówieniem, gdy Kacper i Królik obserwowali parę gołębi szukającą okruchów między kostkami bruku.

– Zawsze tu jest tak pusto? – zapytał nastolatkę.

– Zawsze.

Gołębie podfrunęły i usiadły na głowie Matki Boskiej.

– Masz tu jakichś znajomych albo rodzinę? Kogoś oprócz mamy?

– Mam kolegów i koleżanki ze szkoły. Ale niewiele. Większości dzieci nie wolno się ze mną zadawać.

– Niech zgadnę dlaczego.

Królik beknęła głośno.

– Jestem źle wychowana, bo matka kaleka nie potrafi mnie krótko trzymać.

– Kto tak mówi?

– Rodzice moich kolegów i nauczyciele. Mają trochę racji.

– A mama?

– Co mama?

– Ma tu kogoś? Jakichś bliskich?

– Już nie. Kiedyś często zmieniała chłopaków. Każdy z nich starał się zaskarbić moją sympatię. To było miłe. Jeden zabierał mnie w góry, drugi uczył mnie robić zdjęcia, trzeci woził na motocyklu. Woził też mamę. Ten był ostatni. Od wypadku pies z kulawą nogą do niej nie zajrzy. Zabawnie to powiedziałam, nie? Pies z kulawą nogą. Poza tym mama pisze książkę i lubi wtedy być sama. Są jeszcze dziadek i babcia, ale nie widzimy się z nimi.

– Dlaczego?

– Bo nas nie lubią. Mówią, że gdyby mama ich słuchała, nie byłaby teraz kaleką. Są na nią źli, chcieli, żeby została zakonnicą, a ona ich nie posłuchała. Dziadek czasem mówi o niej kurwa. I że ja też będę kurwą.

– Niezbyt miły człowiek.

– Niezbyt, jak to staruchy. Po prostu jesteśmy z mamą takie, że lubimy się zabawić. Nikt go na siłę przy nas nie trzyma. Ja też za nim nie przepadam.

– A babcia?

– Ona jest zła na mamę, ale jej tego nie mówi. W ogóle nic nie mówi, nawet do dziadka. Ma jakiś problem z głową. Trochę się jej boję.

Późne popołudnie powoli przechodziło w wieczór. Pomarańczowe światło zachodu słońca mieszało się z szarością, przez kilkadziesiąt minut barwy i kształty były mocniejsze i ostrzejsze. Kacper zamówił trzecią kolejkę i patrzył bezmyślnie na zwietrzałe pastele murów, na smugi ostatnich błysków słońca w czarnych oknach szczelnie skrywających sekrety domów, na opadającą wzdłuż ciała rękę Matki Boskiej, jej smukłe, długie palce. Pojedynczy dzwon na wieży ratuszowej wybił osiemnastą. Lekki wiatr poruszył wierzbnami stojącymi wzdłuż schodów. Środkiem rynku szedł chłopak z plecakiem. Zatrzymał się, wyciągnął z niego czapkę z dzwoneczkami i kręgle. Podzwaniając czapkę kiwającą się na czubku głowy, zaczął żonglować. Połał kręgle benzyną, podpalił i żonglował dalej, wykonując coraz bardziej skomplikowane sekwencje. Po chwili podszedł do niego gruby, łysy facet w spodniach na szelkach i uderzył go w twarz. Kręgle upadły na ziemię. Chłopak zgasił płomień kocem, spakował plecak i powłókł się za grubasem. Kacper patrzył, jak odchodzą. Gruby szedł energicznie, chociaż utykała na prawą nogę. Chłopak podążał za nim zgarbiony, z plecakiem przerzuconym przez jedno ramię. Kacper poczuł dotyk dłoni na swoim udzie. Królik patrzyła mu prosto w twarz. Jej oczy lśniły. Dłoń wędrowała coraz wyżej.

– Co robisz?

– Zastanawiam się.

– Nie rób tak.

– Zastawiam się, czy nie chciałbyś się ze mną kochać.

Przysunęła się bliżej. Poczł jej ciepły, piwny oddech, zapach skóry, drobne palce zaciskające się na jego kroczu. Odrącił jej dłoń i odsunął się. Królik przysunęła się znowu i położyła rękę na jego rozporku.

– Nie podobam ci się?

– Nie gustuję w dzieciach.

Spróbował ją odepchnąć, ale jej zwinne ciało wśliznęło się między jego ramiona. Przyłgnęła ustami do jego warg, chwyciła go lewą dłonią za nadgarstek i położyła sobie jego dłoń na pośladku.

– To żadna tajemnica, że chłopaki lubią młode pupy – szepnęła. – Starsze dziewczyny już nie mają takiego ciała. Wszystko im rośnie i mięknie.

Kacper zrzucił ją z siebie.

– Dobry wieczór. – Głos należał do młodego policjanta.

Mysia kelnerka schowała się za zastoną.

– Kurwa.

– Słucham? – powiedział policjant.

– Nic – odparł Kacper i napił się piwa. – Zupełnie nic. W czym możemy panu pomóc?

Policjant był dokładnie ogolony, miał ostre rysy i szpiczasty nos.

– Cześć – zignorował Kacpra i zwrócił się do Królik: – Co słychać?

Dziewczyna zaczerwieniła się, poprawiła kurtkę i wbiła oczy w stół.

– Co tam pijesz?

Milczała.

– Świetny wybór. – Policjant znowu się uśmiechnął. – Czeski lager. Bardzo dobry. Też go lubię. Rozumiem, że twój tato nie ma z tym problemu.

– Oczywiście, że nie – mruknął Kacper.

– Pan bardzo kocha swoją córkę?

– Słucham?

Kacper posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale powieki funkcjonariusza nawet nie drgnęły.

– Pytałem... – powtórzył łagodnie – ...czy pan bardzo kocha swoją córkę?

– Jak każdy ojciec.

– Na pewno jak każdy?

Kacprowi zdawało się, że policjant puszcza do niego oko. Zaczął tracić cierpliwość.

– O co chodzi, aspirancie? Jaki ma pan problem?

– Żaden. Chciałbym tylko zobaczyć, jak dajesz córce buziaka. Kochanie – zwrócił się do Królik – możesz jeszcze raz pocałować tatę tak jak przed chwilą?

– Zostaw ją.

– Stul pysk... Ej, mała! Pocałuj ojca jak grzeczne dziecko.

Królik zacisnęła powieki. Kacper wstał z miejsca i stanął naprzeciw policjanta, zasłaniając dziewczynę.

– No i po co to? – Aspirant położył jedną rękę na kaburze pistoletu, a drugą podniósł do ucha krótkofalówkę. – Koledzy – rzucił – poproszę jakieś autko na rynek. Jeden pan chce się awanturować.

Już się nie uśmiechał.

9 Dobrze (hiszp.).

ROZDZIAŁ VIII

27 stycznia 2017

Kacper siedział na pryczy, opierając się plecami o ścianę. Uniósł róg materaca i oglądał sieć zardzewiałych drutów rozpiętych na ramie. Jeden był zerwany i zwisał nad podłogą, więc chwycił go i zaczął odwijać z płataniny. Drugi koniec odłamał obcasem. Trzymał teraz w rękę drut długości około dwudziestu centymetrów. Owinął go sobie wokół dłoni, tak że oba końce sterczały na sztorc. Podniósł rękę na wysokość twarzy i złapał spojrzenie krótko ostrzyżonego osiłka z drugiej pryczy. Odkąd policjant, wprowadzając Kacpra do celi, mruknął: „Zdaje się, że pedofil”, osilek nie spuszczał go z oczu.

– Zbliź się do mnie, to wpakuję ci ten drut w ucho tak, że wyjdzie drugim.

– Dzieciojebca.

– Morda, małpoludzie. Weź przykład z kolegi.

Na trzeciej pryczy chrapał facet w podartej marynarce. Przyciskał do piersi płaszcz i uśmiechał się przez sen.

– Śni mu się twoja matka – powiedział Kacper.

Tamten wstał, ale Kacper pokiwał głową, cmokając głośno.

– Wcale tego nie chcesz. Gdybyś chciał, już dawno byśmy się bili.

Osilek usiadł.

– Dzieciojebca.

– Już to mówileś.

– Zabiję cię.

– Zrób to. Nie osiągniesz sukcesu, jeśli będziesz tylko gadał. Nie słuchasz mówców motywacyjnych?

– Już nie żyjesz.

– Ale z ciebie nudziarz, mało. Strażnik!

Po drugiej stronie krat zjawił się policjant. Ziewnął. Wyglądał, jakby nie spał od dziesięciu lat.

– Co? – wymamrotał.

– Możesz wymienić małpoluda na kogoś innego? Prawo więzienne nie uznaje tortur.

– Kto kogo torturuje?

– On mnie torturuje swoim ilorazem inteligencji. Boję się, że mnie nim zarazi.

– Idę stąd. Następnym razem nie wołaj mnie bez powodu.

Policjant oddalił się, stukając obcasami o podłogę z bladezielonego lastryko.

– Jesteś trup – oznajmił małpolud. – Rozwałę cię.

Kacper ziewnął i położył się na pryczy. Trzymając drut na widoku, przeniósł wzrok na sufit. Pomyślał o Nili. Nie dzwoniła, tak jak prosił. Była cierpliwa i ufała mu. To dobrze. Kończył mu się Sevredol. Znowo sporo pił. Od kiedy zjechał z autostrady, wszystko się skomplikowało.

Do północy wskazówka zegara poruszała się, jakby była z ołowiu, a potem czas gwałtownie przyspieszył. Obok celi co chwilę ktoś przechodził. Rozlegało się trzaskanie drzwi. Dźwięki kroków. Szmer rozmów. Nagle w korytarzu pojawiły się Eliza i Królik. Dziewczyna pchała wózek z miną skazańca. Obok nich szli dwaj policjanci: ten, który go zatrzymał, i drugi, wysoki, rozrośnięty w barach, o pokrytej czarną szczecinią szczęce.

– Przepraszam cię, Eliza – mówił większy, przeglądając plik kluczy. – Chociaż czemu ja to robię? Niech ten dureń przeprosi.

– Tato – odezwał się młodszy policjant – on całował nieletnią.

– Emilu, jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „tato” w miejscu pracy, obiję ci pysk.

Większy policjant znalazł w końcu właściwy klucz i otworzył celę.

– Frydrych? – zawołał tubalnie.

– Nie możesz go wypuścić... – spróbował jeszcze raz Emil.

– Nie mów mi, że czegoś nie mogę. Wkurwiasz mnie.

Kacper wstał i zbliżył się do krat. Po drodze posłał przyjazny uśmiech osiłkowi.

– Komendant Marian Wielowiejski. – Ojciec Emila podał Kacprowi rękę. – Przepraszam za to. Nasi ludzie bywają nadgorliwi.

Emil poczerwieniał. Podeszła do nich pulchna policjantka z wypiekami na twarzy. Za jej plecami truchtał chudy policjant. Miał minę, jakby nigdy nie przestawał się martwić.

– Komendancie, telefon do pana.

Kacper patrzył na Wielowiejskiego. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że już go kiedyś spotkał. Komendant westchnął. Na jego twarzy malowała się chęć zniknięcia na zawsze.

– Nie możecie przychodzić do mnie z każdym telefonem.

– Dzwoni Anieli Sasnal. Chce rozmawiać tylko z panem.

Usta Wielowiejskiego drgnęły.

– Odbiorę u siebie. Przepraszam – zwrócił się do Elizy. – Emil was odprowadzi.

Eliza delikatnie musnęła jego dłoń, a Wielowiejski uśmiechnął się sztywno, założył czapkę i odszedł. Gdy Emil odprowadzał ich do wyjścia, patrzył ciągle w podłogę.

Parasol grzewczy drżał mocnym, żywym światłem. Cień butelki mrugał na bordowo i zielono, jak szkła w trójwymiarowych okularach. Eliza zwilżyła wargi i pociągnęła duży łyk. Kacper przyglądał się jej twarzy. Królik za dwadzieścia kilka lat będzie wyglądała tak samo. Wyostrej jej się rysy, spłowienie intensywnej rudości włosów, zgaśnięcie błysk w oku. W kącikach ust zarysują się i pogłębią zmarszczki. Teraz Eliza miała na sobie czarny sweter z głębokim dekoltem odsłaniającym kawałek stanika. Nogi oparte na platformach wózka były przykryte kraciastym kocem. Kacper huśtał się na ogrodowej huśtawce, trzymając w ręku kieliszek. Przysypiał. Z radia w kuchni leciał *Mały biały domek*.

– Ta piosenka mnie prześladowuje.

– Wyłącz.

– Nie mam siły wstać. Przyłgnąłem do tej huśtawki na zawsze.

– Ja też nie wstanę.

Uśmiechnęli się zakłopotani i zapadło długie milczenie.

– Nie wiem, co powiedzieć – oznajmiła wreszcie Eliza. Jej oczy łowiły jego spojrzenie w płataninie ciemności i butelkowego światła.

– Nie musisz nic mówić.

Odchyliła głowę do tyłu. Miała smukłą szyję i ładnie odstające obojczyki.

– Jestem złą matką. Wychowałam wiedźmę w skórze niewinnej dziewczynki.

– Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie aniołka. Dobrze się kamufluje.

– Mogę usiąść obok ciebie?

Kacper odstawił kieliszek na wiklinowy stolik, pochylił się nad Elizą. Jedną ręką objął ją pod pachami, a drugą wsunął pod jej nogi. Posadził ją na huśtawce, podniósł z ziemi koc, który spadł, otrzepał go i położył kobiecie na kolanach. Podał jej kieliszek i usiadł obok.

– Nie potrafisz być jak mamy innych dziewczynek. Nie krzyczę na nią, do niczego jej nie zmuszam. Jesteśmy jak koleżanki, które mieszkają w jednym domu.

– I tak jest dobrze?

– Pod względem wychowawczym? Pewnie nie. Ale bycie matką bardzo źle mi się kojarzy. – Przez jej twarz przemknęło odbicie jakiegoś bolesnego wspomnienia. – Z kimś, kto wszystko odbiera.

Kacper milczał.

– Moja mama była emocjonalnym pasożytem. Będąc dzieckiem, jeszcze tego nie rozumiałam. Myślałam, że tak właśnie wygląda miłość: kiedy jeden człowiek całkowicie pochłania drugiego. „Zrobię dla ciebie wszystko”, mówiła. „Nie ufaj ludziom. Są mili, kiedy czegoś chcą. Będą próbowali cię skrzywdzić. Tylko ja mogę cię przed nimi obronić”.

– Co na to twój ojciec?

– Tata najbardziej w życiu potrzebował czasu dla swoich pasji. I czystego umysłu, żeby je realizować. Jest bardzo aktywny. Narty, bieganie, boks, ciężary. Kłótnie z mamą go rozpraszały. W zamian za święty spokój oddał jej stery nad moim wychowaniem. Można powiedzieć, że mnie sprzedał.

– Skądś to znam – mruknął Kacper.

– Zrozumiałam, że coś z nią nie tak, kiedy miałam trzynaście lat – zaczęła opowiadać. – Inne dziewczynki mogły spotykać się po szkole same, bez rodziców. Mnie nie było wolno. Umierałam z ciekawości, jak to jest, co one robią, o czym rozmawiają, kiedy nie ma dorosłych. Raz odważyłam się zapytać mamę, czy mogę zostać na noc u koleżanki. Bez słowa uderzyła mnie w twarz. Zaczęłam płakać, ale co było dziwniejsze, ona też się rozplakała. A po chwili zaczęła krzyczeć, że tyle dla mnie poświęciła, a ja ją zostawiam. Że jestem niewdzięczna. Jej twarz była mokra od łez i czerwona z gniewu. Wyglądała jak ktoś inny. Ktoś obcy. Oczywiście zostałam wtedy w domu. Jakiś czas później spróbowałam ponownie. Znowu oszalała. Zamknęła dom na klucz i spuściła go w toalecie. Zrozumiałam, że nie robi tego dla mojego dobra, tylko że sama się czegoś boi. Może tego, że ją zostawię. Wyszedłam wtedy przez okno i trafiłam na domówkę u koleżanki. Wypiłam tam pierwsze piwo i wbrew temu, co mama mówiła o alkoholu, nic złego mi się nie stało. Rano, kiedy wszyscy już spali, leżałam w łóżku z takim ładnym, piegowatym chłopcem i całowaliśmy się. Pamiętam, że nigdy nie byłam szczęśliwsza. Pomyślałam sobie wtedy, że chcę już tak zawsze. Od tego czasu wymykałam się często. Zaczęłam uprawiać seks. Czasem brałam narkotyki. W domu rozpetęła się wojna. – Eliza zamilkła, jakby coś rozważała. Po chwili podjęła spokojnie: – Matka była mocno wierząca. Im bardziej

ja wymykałam się spod kontroli, tym ona z większą determinacją szukała pomocy w religii. Pod koniec liceum powiedziała, że chce, bym poszła do klasztoru. Do klasztoru. Ojciec jak zawsze milczał. Czułam się jak bohaterka surrealistycznego filmu, spodziewałam się, że zza firanki wyjdzie kierownik planu, krzyknie: „Akcja stop!”, ale firanka wisiała nieruchomo, a mama, całkowicie poważna, czekała na moją reakcję. Nie, przepraszam. Czekala na moją zgodę. Nie dopuszczała innego scenariusza. Nie wiedziałam, jak zareagować, więc zaczęłam się śmiać. Wściekla się. Powiedziała, że pójde do zakonu choćby po jej trupie. Wysłałam z domu. Poszłam się upić. I wtedy stał się... No właśnie, co się stało? Cud? Matka nie spała całą noc. Czekala, aż wrócę, żeby urządzić mi awanturę. Naprawdę mocno jej odbiło. Wrzeszczała, próbowała mnie uderzyć, rzucała we mnie wszystkim, co jej wpadło w ręce. Nagle znieruchomiła, mrugnęła kilka razy i upadła na podłogę. Zawał. Rozległy, bardzo mocny. Wróciła ze szpitala odmieniona. Cicha. Zamknięta. Całe dni siedziała w fotelu i patrzyła w okno. Przestała mówić. Lekarze nazywają ten stan przymgleniem. I faktycznie, mama żyje jakby w gęstej mgłę. Ojciec musiał się nią zająć i dał mi spokój. Byłam wolna. Powiedział, że wygrałam i mogę być z siebie dumna. Obwinia mnie za to, co jej się stało.

– Ojcowie lubią nie widzieć różnych rzeczy. To urocze, jacy są czasem naiwnie ślepi – skwitował Kacper. – Mój też. Jest rzeźbiarzem. Odnosi teraz spore sukcesy, ale mieszka w garażu, bo nie chce przebywać w domu, w którym żył z mamą. I maniakalnie rzeźbi jej podobizny. Mówi, że wszystko u niego w porządku. Lubię tego słuchać. To mnie uspokaja, ta świadomość, że niektórzy są bardziej popieprzeni ode mnie i jednocześnie tak bardzo pewni siebie.

– Trochę się zgubiłam. Kiedy umarła twoja mama?

– Niedawno. Ale dwadzieścia lat wcześniej uciekła od nas do kochanka.

– Poznałeś go?

– Nigdy. Wiem tylko od ojca, że też był aktorem. Odeszła w najgorszy możliwy sposób. Bez słowa wyjaśnienia. Po prostu zniknęła.

– Twój ojciec jej nie szukał?

– Zamknął się w piwnicy i pracował po szesnaście godzin na dobę, żeby o niej nie myśleć. Ja i mój brat zostaliśmy prawie sierotami, bo ojciec niby był, ale jednak go nie było.

– Nie mówiłeś, że masz brata. Jesteście podobni?

– Umarł, kiedy szukaliśmy mamy. To było w pierwszy dzień powodzi. W lipcu dziewięćdziesiątego siódmego.

Eliza dotknęła jego ramienia.

– Spotkało cię tyle złego. Tak jak mnie. Zawsze pytam ludzi, jak sobie radzą z traumą. Liczę, że może któryś z ich sposobów zadziała w moim przypadku.

Kacper zaniósł się śmiechem, który nie miał nic wspólnego z radością. Zobaczył w oczach Elizy współczucie i natychmiast zamilkł. Dopił wino, dolał sobie i jej. Spojrzał w górę, jakby liczył, że znajdzie tam jakąś odpowiedź.

– Drugiego dnia powodzi obudziłem się w szpitalu. Śmieszny fakt: uratował mnie przedsiębiorca pogrzebowy. Wydostał mnie z zalanego tunelu. Do szpitala przyszedł ojciec. Powiedział, że Młodszy nie żyje. Nie potrafiłem się rozplakać. Czułem, że trzeba to zrobić, że jestem mu to winien, ale moje oczy były suche. Byłem raczej wrażliwym dzieckiem, nie miałem problemu z okazywaniem emocji, ale ani tamtego ranka, ani następnego nie umiałem już się wzruszyć. Jakbym zamarzł w środku. Pojawił się ucisk w klatce piersiowej, ciągłe wrażenie, że się duszę. Ojciec zapisał mnie do psychoterapeuty, ale ostatnie, na co miałem ochotę, to słuchanie lekarzy. Poza tym znalazłem lekarstwo na te duszności.

Dużo się biłem i zacząłem pić. Wtedy przechodziło, chwilowo. Wyjechałem z tamtej dziury do większego miasta. Wszedłem w środowisko, w którym moje sposoby na uspokojenie miały praktyczne zastosowanie. Poznałem paru chłopaków, którzy boksowali w klubie sportowym. Tworzyliśmy nietypową sekcję. Za dnia trenowaliśmy, a w nocy robiliśmy sklepy i mieszkania. Naszym trenerem i szefem był Jerzy, były milicjant. Dziesięć lat po upadku komuny wyjechał do pracy do Stanów. Kiedy wrócił, kazał nazywać się Jerry. Przywiózł ze sobą kowbojski kapelusz. Zaczął zbierać wokół siebie silnych chłopaków, najpierw do małych rzeczy, jak te sklepy i mieszkania, a potem do większych.

– Nie chcę wiedzieć – oznajmiła mu Eliza.

– Ale ja chcę mówić – mruknął Kacper. – Kazali mi zabić człowieka. Stchórzyłem i się wycofałem, a niedługo potem odszedłem. Za dnia męczyły mnie duszności, nocami koszmary. Musiałem się odciąć i uspokoić. Podróżowałem po świecie. Pracowałem, gdzie popadnie, a wieczorami piłem. Spędzałem dużo czasu w samotności. To było dobre. Nikt mnie nie krzywdził, ja nikogo nie krzywdziłem. Czasem poznawałem kogoś przy kieliszku. Kumpli, o których zapomniałem po tygodniu. Kobiety, za którymi nie tęskniłem. Miałem wrażenie, że życie toczy się gdzieś obok mnie. Pewnego dnia, gdy byłem na chwilę w Polsce, po prostu przewróciłem się na ulicy. Jakby ktoś odłączył mnie od prądu. W szpitalu znaleźli w mojej głowie guz wielkości śliwki. Glejak trzeciego stopnia, złośliwy i trudny do wyleczenia. Usunęli go operacyjnie. Przeszedłem chemioterapię i po roku z czystą kartą ruszyłem w następną podróż. Przez następne pięć lat żyłem tak jak przed operacją. Z dnia na dzień, od miasta do miasta, od fuchy do fuchy. Raz legalnie, raz nie. Cztery lata później poznałem Greczynkę o imieniu Nila. Zamieszkaliśmy razem. Przestałem pić. Pomogła mi wrócić na dobre tory. Ale jak to w życiu, idylla szybko minęła. W zeszłym miesiącu guz powrócił. Jest większy i złośliwszy. Jerry dał mi dobrze płatne zlecenie, żebyśmy mogli opłacić leczenie.

– Jakiego rodzaju zlecenie?

– Namierzyć i znaleźć walizkę z pieniędzmi. Czysta robota.

W czasie ich rozmowy w parasolu skończył się gaz. Zrobiło się zimno.

– I wrócisz do niej, kiedy będzie po wszystkim? – Eliza lekko dotknęła jego kolana.

– W ogóle bym jej nie zostawiał, gdybym nie musiał.

Cofnęła rękę i przesuwała palcem po kieliszku.

– A gdzie jest ojciec Królik? – zapytał, by przerwać ciszę.

– Nie wytrzymał. Wiesz, jakie jesteśmy okropne – powiedziała Eliza gdzieś w ciemność. Była nieobecna duchem.

– Dolać ci?

– Poproszę.

– Coś się stało?

– Nie. W porządku. Mam nadzieję, że wyzdrowiejesz i wrócisz na swoją wyspę. Do tej... Jak ona ma na imię?

– Nila.

– Ładnie. To po grecku rzeka.

– Rzeka – powtórzył zamyślony. Poglaskał Elizę po policzku.

Chwyciła jego kciuk wargami, lecz wtedy cofnęła rękę.

– Już z tobą tęsknię, chociaż wcale cię nie znam – szepnęła.

– Położę cię do łóżka. Jesteśmy zmęczeni. – Dźwignął jej lekkie ciało z huśtawki. – Jest jeszcze jedna rzecz. Dlaczego komendant mnie wypuścił?

– Kiedyś byliśmy parą. Dużo o nim wiem. Musi być wobec mnie grzeczny jak piesek.

Gdy Kacper leżał już na swoim łóżku i patrzył na jasne miejsce nad drzwiami, ślad po wiszącym tam krzyżu, przypomniał sobie, że Wielowiejski kiedyś do nich przyjechał. Odwiedzał ich, kiedy Kacper był jeszcze dzieckiem. Poczuł, że nie ma już siły myśleć. Włączył *Dziesięć godzin relaksującego szumu fal* i natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ IX

28 stycznia 2017

Po winie spał do późna. Wstał po dziesiątej, umył zęby i ubrał się. Wyrzał przez okno na zimowy krajobraz i szary szkielet nadpalonego lasu. Poczł zimne ukłucie na policzku. Na suficie obok lampy zaczynała tworzyć się mała, ledwo widoczna plama. Na jej środku zbierała się właśnie kropla wody. Dotknął jej palcem. Sucho. A zatem to poranne halucynacje. Zszedł na dół. Przy kuchennym stole Eliza pisała coś na laptopie. Na jego widok zamknęła kłapę i zsunęła okulary do połowy nosa.

- Co do wczorajszej nocy... – zaczęła.
- Nie ma o czym mówić. Byliśmy zmęczeni.
- Było mi bardzo miło.
- Ach.
- Ach?
- Przecież ja niedługo wyjadę.

Popatrzyła na niego dziwnie, pusto. Bez słowa obróciła wózek i wyjechała z kuchni. Kacper westchnął, ugniatając palcami policzek.

To wszystko jest takie trudne. Inni ludzie są trudni, pomyślał.

Wyszedł z domu na mocno oblodzony chodnik, pośliznął się i w ostatniej chwili przytrzymał się ogrodzenia.

Zjadł śniadanie w restauracji Rynkowej. Był jedynym klientem. Nie było kuglarza, faceta w szelkach ani policjanta psychopaty. Była za to mysia kelnerka, która wczoraj wezwała policję. Obsługiwała go z kamienną twarzą, ale unikała jego spojrzenia, zdradzając tym zażenowanie. Przy płaceniu celowo upuścił pieniądze na podłogę. Patrzył, jak dziewczyna zbiera monety na kłęczkach. Wydała mu resztę i szybko odeszła. Myślał o tym, że niektórzy ludzie są podli bez żadnego powodu. Obracał w palcach zdjęcie młodziutkiej Moniki Biernackiej, które znalazł w szkolnym archiwum.

Portier poinformował go, że pani Biernacka kończy właśnie zajęcia z dziećmi. Kacper poszedł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed dużą, jasną salą. Podłoga lśniła i pachniała pastą do drewna. Mijały go dzieciaki poprzebierane za rycerzy, królów i księżniczki. Na końcu szedł otyły chłopczyk w stroju smoka. Mijając Kacpra, zahaczył go swoim długim pyskiem i wybąkał: „Przepraszam”. W sali została tylko starsza kobieta, wysoka i zgrabna, o arystokratycznych rysach i nieco wyniosłym spojrzeniu. Miała mniej więcej sześćdziesiąt lat, ale bardzo żywe, młode oczy, jakby wyrwała je młodej dziewczynie i wprawiła w swoją twarz.

– Monika Biernacka? – Obróciła się bez pośpiechu. Kacper szedł do niej przez pustą salę, a jego kroki odbijały się echem. – Kacper Frydrych. Możemy porozmawiać?

Jej źrenice zwężyły się czujnie. Pierwsza wyciągnęła dłoń.

- Frydrych? Syn tego rzeźbiarza?
- Zgadza się. I Heleny Baczewskiej.

Na dźwięk imienia matki mięśnie twarzy kobiety drgnęły jak przy przykrym wspomnieniu. Szybko jednak przybrały na powrót pewny, wyniosły wyraz.

- W czym mogę panu pomóc?
- Moja mama nie żyje. Była pani jej przyjaciółką.
- Tak. Byłam. Czas przeszły znakomicie tu pasuje.
- Przestałyście się przyjaźnić?
- Dawno temu. Jeszcze w szkole. Pan wybaczy, ale trochę się spieszę.
- Nie chce pani wiedzieć, jak umarła?
- Nieszczęśliwie. Ale widzę, że pan bardzo chce mi powiedzieć.
- Odebrała sobie życie.

Monika westchnęła, otworzyła okno, zapaliła papierosa i wydmuchała dym na zewnątrz. Stała bokiem do Kacpra, opierając się o ścianę.

– Wiedziałam. To znaczy może nie wiedziałam, ale przeczuwałam, że to się stanie. To się jej trzymało całe życie.

- Co takiego?
- Nieszczęście. Wystarczyło popatrzeć jej w oczy, żeby wiedzieć, że spotka ją jakaś tragedia.
- Popatrzec w oczy, mówi pani.

– Proszę sobie darować ironię. Helena nosiła w sobie jakiś ciężar. I ciemność. Nikt tego nie zauważał, bo dobrze to ukrywała pod wzorowym zachowaniem, aktywnością i dobrymi ocenami. Ludzie ją lubili.

- Kiedy przestałyście się przyjaźnić?
- W liceum. Nie pamiętam dokładnie.
- Może w grudniu siedemdziesiątego ósmego, kiedy panią uderzyła?
- Skąd pan o tym wie?
- Rozmawiałem z Danutą Jarską.
- Jest pan detektywem czy kimś w tym rodzaju?

– Tylko bawię się w detektywa. Nadrabiam zaległości z dzieciństwa. Mało się wtedy bawiłem.

– Pan jest bardzo zabawny – skomentowała Monika Biernacka z poważną miną i strzepnęła popiół na podłogę. – Długo się przyjaźniłyśmy. Nie akceptowałam wielu zachowań pańskiej matki, ale nigdy nie odważyłam się jej otwarcie skrytykować. Była niesłychanie popularna, a ja miałam zaszczyt być jej najlepszą przyjaciółką. Nie przeżyłabym odrzucenia. Wie pan, jak to działa w młodości. Chociaż miała sporo za uszami, jej osoba przyciągała jak magnes. Cierpiała na zaburzenia osobowości. Wtedy nie rozumiałam, co to znaczy.

– Czemu pani uważa, że cierpiała na zaburzenia osobowości?

– Nie uważam, wiem to. Mój ojciec był psychiatrą. Często rozmawiał z Heleną, kiedy zaczęły się jej problemy. Prowadził z nią coś w rodzaju terapii.

– Nie wiedziałem.

– To mało pan wie, detektywie. No więc była chora, a ja myślałam, że jest po prostu... sama nie wiem. Po prostu zła? I rozdwojona, jakby mieszkaly w niej dwie różne osoby. Przyciągała kłopoty. Przed nauczycielami i rodzicami świetnie to ukrywała, była wzorową uczennicą. Ja znałam jej drugie

oblicze. Uwielbiała prowokować chłopców. Była atrakcyjna i wykorzystywała to, żeby manipulować tymi, którzy się do niej ślinili. A było ich na pęczki. Często umawiała się z jednym i szła z innym, a potem patrzyła, jak się o nią biją. Lubiła to. Potrafiła też rano być najlepszą przyjaciółką, a wieczorem zrobić mi najgorsze świństwo. Kiedy powiedziała mi, że chce – proszę się nie obrazić, to są jej słowa – „złapać Frydrycha na dziecko”, pomyślałam, że to już zaszło za daleko. Wygarnęłam jej wtedy, co o niej myślę. Chyba pierwszy raz w życiu ktoś ją skrytykował. Przecież była ideałem. Nie umiała zareagować inaczej niż złością i uderzyła mnie.

– Więc o to poszło.

– O to. Niech pan notuje. Pamięć bywa zwodnicza.

– Dziękuję za radę. Powie mi pani coś jeszcze? Jakiś szczegół dotyczący jej zachowania, który mógłby pomóc mi zrozumieć, dlaczego... No wie pani.

– Panie detektywie. Helena była chora i nie umiała sobie pomóc. Ona ani nikt inny. To jedyny powód.

– Być może. Ale gdyby pani sobie coś przypomniała – Kacper zanotował swój numer na kawałku papieru i podał jej – proszę do mnie zadzwonić.

Biernacka kiwnęła głową i rozeszli się bez słowa.

Przed MOK-iem między dwoma pustymi klombami stała ławeczka. Kacper usiadł na niej i zapalił papierosa.

Zaburzenia osobowości.

Patrzył, jak Monika Biernacka w fioletowym płaszczu oddala się i znika za rogiem. Przeniósł wzrok na ośnieżone dachy i dym z kominów.

Jak to możliwe, że nikt z bliskich o tym nie wiedział? Nawet ojciec? Jak udawało jej się to ukrywać przez tyle lat?

Przypomniał sobie pewne zdarzenie. Miał dziesięć lat, kiedy Helena czytała mu do poduszki *Nędzników*. Fascynowała go wtedy moneta galernika, której Jean Valjean użył do oswobodzenia się z więzów podczas zasadzki urządzonej przez bandę Thenardiera. Był to miedziak rozcięty na dwie blaszki i wyżłobiony w środku tak, że można było ukryć w nim sprężynę zegarkową, która, jak pisał Hugo, stosownie użyta przecina ciężkie ogniwa kajdan i kraty żelazne. Było lato. Spacerowali we dwoje w pobliżu torowiska. Kacper szukał w podmokłej ziemi dżdżownic na przynęty dla ryb. Zajęty tropieniem robaków, nie zauważył matki oddalającej się w stronę torów. Gdy rozległo się wycie syreny kolejowej, uniósł głowę, klęcząc w błocie, i zobaczył ją na środku torowiska. W jej stronę gwałtownie rozpędzony pociąg. Kacper zawołał, żeby zeszła. Nie słyszała go przez narastający hałas. Odłożył stoik i zaczął biec w jej stronę. Stała obojętnie, z ramionami zwieszonymi luźno wzdłuż ciała. I było jeszcze coś w jej spojrzeniu. Wydawało mu się, że mama patrzy na lokomotywę z tęsknotą. Jakby pociąg miał ją wreszcie zabrać do jakiegoś wymarzonego miejsca, o którym nikomu nie mówiła. Zawołał ją ponownie, tym razem głośniej. Schyliła się, podniosła coś z ziemi i zeszła z torowiska. Wtedy pociąg minął ich z ogłuszającym rykiem. Kacper patrzył, jak wiatr rozwiewa jej włosy. Poglaskała go po głowie i otworzyła dłoń, w której leżał drobny przedmiot. Była to stara, zaśniedziała moneta.

– Będzie jak ułał na monetę galernika, prawda? – Uśmiechnęła się.

Wieczorem, kiedy siedział w pracowni i przyglądał się, jak ojciec przepiłowuje monetę na dwie części, zastanawiał się, czy powinien wspomnieć mu o tym, co wydarzyło się na torowisku. Jednak w miarę jak PRL-owska stuzłotówka zmieniała się pod zręcznymi palcami taty w monetę-skrytkę, dziwne zachowanie mamy stawało się odległe i nieważne.

Teraz żałował, że mu nie powiedział. Był dzieckiem. Nic nie rozumiał. Może teraz umiałby jej pomóc. To przecież już bez znaczenia, pomyślał. Zaciągnął się głęboko. Ktoś krzyknął. Przy wejściu do MOK-u dwie kobiety odpędzały bezpańskiego psa, wymachując na oslep torebkami. Zwierzę nie wydawało się agresywne, raczej przerażone, nie mniej niż kobiety. Kacper wstał z ławki i podszedł bliżej. Pies trzymał coś w zębach. Pierwszą jego myślą była rękawiczka, ale gdy podszedł bliżej, ujrzał... dłoń. Błądą, ubłoconą, poszarpaną przy nadgarstku. Na serdecznym palcu połyskiwała obrączka – nieforemna, ukruszona w jednym miejscu. Świadectwo końca pewnej miłości. Kacprowi po karku przebiegł zimny dreszcz. Odszedł szybko, nie oglądając się za siebie. Kilkaset metrów dalej minął go radiowóz na sygnale.

Kamera filmowała pracowników Zieleni Miejskiej niosących czarny worek ze zwłokami psa, a potem pojawiła się rozpikselowana ręka Sasnała w foliowej torbie.

– Skurwysyny. Co im zrobił jebany pies?

Kacper był pijany.

– Ciiii... – syknęły jednocześnie Eliza i Królik i wlepiły wzrok w telewizor. Eliza dała głośniejsze.

– Zaginięcie Wiktora Sasnała zgłosiła jego córka, która... – mówił spiker.

– Boże. Mam nadzieję, że mama tego nie ogląda – westchnęła Eliza.

– Dlaczego? – zapytała Królik.

– Przyjaźni się z tym weterynarzem. Przestraszy się, jak się dowie.

– Jak może się z nim przyjaźnić, skoro jest „przymglona” i nie wychodzi z domu?

– Przyjaźnili się w młodości. Chodzili razem na zajęcia teatralne do miejskiego ośrodka kultury.

Kacper podszedł do Elizy i zezował na nią pijacko.

– A tobie co? – zapytała.

– Nigdzie się nie ruszaj.

– Dobrze – odparła z krzywym uśmiechem, klepiąc skórzane podłokietniki wózka.

Kacper wbiegł na górę, wrócił i wepchnął jej w rękę zdjęcie.

– Skąd to masz?

– To... – Kacper wskazał palcem dziewczynę pośrodku sceny – jest moja mama.

Uśmiech spełził z ust Elizy.

– To jest moja. – Pokazała pierwszą dziewczynę z lewej: krągłą, pyzată, z burzą jasnych loków okolonych opaską. – A ten chłopak obok to Wiktor Sasnał.

– Jesteś pewna?

Eliza kiwnęła głową.

– Skurwysyn... – szepnął Kacper pod nosem. – Okłamał mnie. – Przeszedł kilka razy od ściany do ściany i znów nachylił się nad Elizą. – Musimy pogadać z twoją matką – oznajmił, zionąc wódką w jej twarz, aż cofnęła głowę.

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Królik, zostaw nas samych – poprosiła Eliza. Królik zrobiła urażoną minę i wyszła, trzaskając drzwiami. – Nie rozmawiam z rodzicami.

– Może twoja mama wie o czymś ważnym.

– Nie ma mowy. – Uniosła podbródek.

– Pomyśl. Sasnal kłamał, że nie rozpoznaje mojej mamy, a sam był na zdjęciu. Teraz nie żyje. Albo nie ma dłoni, ale to nadal kiepska perspektywa. Moja matka nie żyje. Twoja też jest na tym zdjęciu. A jeśli coś jej grozi? – Kacper odwrócił fotografię. – *Nie myśl, tylko to zrób.* Jak to według ciebie brzmi?

– Nie wiem. Nijak.

– Za dużo tu zbiegów okoliczności.

Westchnęła. Wiedziała, że Kacper nie da za wygraną.

– W garażu stoi škoda. Jeśli uda ci się ją odpalić, pojedziemy. Rodzice mieszkają kawał drogi stąd. Będziesz prowadził pijany?

– Jestem świetnym kierowcą.

– Idź już. Kluczek do garażu wisi na gwoździu pod bluszczem obok rynny.

– Dziękuję – powiedział i nachylił się, by ucałować ją w policzek.

Trafił w usta. Przyłgnęli do siebie dłuższą chwilę.

– Nie rób mi tego, skoro chcesz wyjechać.

– Ty to obróciłaś głowę. Celowałem w policzek.

– Wcale nie. Upiłeś się i próbujesz się do mnie dobrać. Ale nic z tego. Idź po samochód.

Nie chciał jej pocałować. Nie w usta. Słowa Elizy wydały mu się dziwaczne, jednak nie miał czasu o tym myśleć. Silnik starej škody zapalił przy trzeciej próbie. Kacper wyprowadził auto przed dom i czekał, przykładając dłoń do nawiewu. Zaklinał w myślach powietrze, żeby nagrzewało się szybciej. Temperatura spadła do dziesięciu stopni poniżej zera. Co jakiś czas zerkał w lustro i kiedy miał już stracić cierpliwość, zobaczył Królik pchającą przed sobą wózek z Elizą. W puchowych kapturach wyglądały jak Eskimoski. Kacper pomógł Elizie usiąść na miejscu pasażera, po czym złożył wózek i zaczął mocować się z klapą bagażnika. Zacięta. Wrzucił więc wózek na tylne siedzenie, tak że Królik musiała przycisnąć się do drzwi. Eliza patrzyła bezmyślnie gdzieś w dal. Ruszyli. Na oblodzonej drodze auto sunęło bokiem na każdym ostrzejszym zakręcie. Kacper zwolnił do czterdziestu na godzinę. Minęli więzienie. Na wieży, na tle ciemniejącego nieba strażnik z karabinem palił papierosa. Kacper zainteresował się, czy ma w umowie jakąś konkretną liczbę papierosów, jaką musi wypalić podczas warty. Wjechali w labirynt małych, identycznych domków, gdzie mieszkała Danuta Jarska, a potem wyżej, na szczyt wzgórza, na którym stały bloki. W oknach paliły się różnokolorowe światła. Za blokowiskiem zabudowa się przerzedzała, cywilizacja ustępowała miejsca przyrodzie. Przed nimi otworzyło się szerokie zbocze opadające ku czarnej ścianie lasu. Pośród pól stały samotne chatki. Eliza kazała Kacprowi zjechać z asfaltowej drogi i jechali teraz przez pola, a śnieg wymieszany ze żwirem trzeszczał pod kołami. W oddali na miedzy stał jeleń. Wpatrywał się w samochód tak jak wtedy, gdy Kacper przyjechał do miasta. Mężczyzna zastanawiał się, czy znowu zniknie, ale zwierzę stało tam i patrzyło na nich. Światła samochodu padły na parterowy domek z wysokim kominem. W okienku paliło się światło, z rynny zwisały długie sople lodu, a na ogrodzeniu mrugały smętnie lampki choinkowe.

– Wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku – mruknęła Królik pod nosem.

Gdy wysiedli, Eliza przygryzała wargi i zerkała nerwowo to na Kacpra, to na córkę.

– Posłuchaj, moje dziecko – zwróciła się wreszcie do dziewczyny. – Obiecay, że nie będziesz prowokować dziadka, dobrze? Kacper zada babci kilka pytań i spadamy stąd, okej?

– Tak, mamó.

Kacper zapukał. Otworzył im siwowłosy człowiek o jasnym spojrzeniu, ubrany w sportowy dres. Miał szerokie barki, wydatną klatkę piersiową, grube uda i młodą twarz, na której było raptem kilka płytkich zmarszczek. Nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt kilka lat, raczej jak przefarbowany na siwo trzydziestoletni atleta. Na widok gości wypuścił głośno powietrze przez nos. Widać było, że nie należał do ludzi, którzy udają, że są zadowoleni, kiedy tak nie jest.

– Czego chcecie? – zapytał sucho.

– Tato, to jest mój przyjaciel, Kacper Frydrych. Chciałby zadać kilka pytań mamie.

– Przyjaciel? – W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta kpiny.

– Wpuścisz nas czy mamy tu zamarznąć?

– Mama źle się czuje. Twoja obecność jej nie pomoże.

– Panie Szustak – wrócił się Kacper – to dla mnie bardzo ważne. Moja matka niedawno odebrała sobie życie. – W tym momencie Królik zerknęła na Elizę. – Pani Maria ją знаła – kontynuował Kacper. – Może wie o czymś, co pomoże mi zrozumieć, dlaczego moja matka to zrobiła. Niech mi pan pozwoli z nią porozmawiać.

Zbigniew Szustak oparł rękę o ścianę i zawiesił wzrok na włączniku światła. Widok córki i wnuczki nie napawał go radością. Najchętniej pogoniłby całą trójkę w diabły. Ale facet o oczach spaniela naprawdę potrzebował pomocy. Zbigniewowi zrobiło się go żal.

– Czy pan i moja córka...

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Szustak jeszcze chwilę lustrował go wzrokiem, jakby miał w oczach wykrywacz kłamstw. W końcu uchylił drzwi i cofnął się do sieni.

– Niech pan nie oczekuje zbyt wiele – uprzedził. – Moja żona jest bardzo chora. A wy – zwrócił się do Elizy i Królika – lepiej się jej nie pokazujcie. Poczekać w pokoju gościnnym. – Kiwnął ręką na Kacpra. – Niech pan pójdzie ze mną.

Kacper szedł za szerokimi plecami Szustaka. Minęli wiszący na ścianie wielki krzyż z drewnianym Chrystusem. Twarz zbawiciela wykrzywiło nieopisane cierpienie. Zbigniew wykonał ręką znak krzyża.

– Nie przeżegna się pan? – zapytał Kacpra.

Ten machnął szybko ręką wzdłuż i wszerz. Szustak zapukał w białe drzwi i położył dłoń na klamce.

– Kochanie? – odezwał się, jednocześnie otwierając drzwi szerzej. – Masz gościa.

Pokój Marii Szustak pachniał jak szpital. Był skromnie urządzony: meblościanka, łóżko. W kącie na małym stoliku grał telewizor z wyłączonym głosem. Na parapecie rosły kwiaty w doniczkach. Jeden z segmentów meblościanki przeznaczony był wyłącznie na lekarstwa. Maria stała tyłem do drzwi, zgarbiona, okryta grubym szlafrokiem. Kacper dostrzegł, że jedna skarpetka zrolowała się i zsunęła do kostki. Znajome ze zdjęcia blond loki poszarzały i przerzedziły się, ukazując miejscami placki gołej skóry. W szybie mebla było widać odbicie starszej pani. Wyglądała jak ktoś, kogo wykopano z grobu. Obróciła się bardzo powoli, jakby wymagało to niesłychanego wysiłku.

– Dzień dobry – powiedziała słabym głosem.

Kacper uklonił się i czekał, co będzie dalej.

– Kochanie – kontynuował Zbigniew Szustak – to jest syn Heleny Baczewskiej. Pamiętasz Helenę?

– Oczywiście. – Maria nie patrzyła już na Kacpra, lecz w ścianę.

– Pan Kacper ma kilka pytań. Myśli, że możesz mu pomóc.

– Oczywiście. Oczywiście... – powtórzyła i znów stanęła tyłem do nich.

– Kochanie?

Odwróciła się ponownie. Znów się uśmiechała i patrzyła przed siebie, jakby powtarzała swoje ruchy sprzed chwili.

– Dzień dobry – powiedziała znowu.

Kacper też się uklonił. *Déjà vu*.

– Zostawię was teraz samych. Nie masz nic przeciwko?

– Ależ nie, mój drogi – zezwoliła Maria. – Idź. Pomogę panu Karolowi.

Zbigniew zwrócił się do Kacpra szeptem:

– Trzeba cierpliwości. Nieraz łapie dopiero za dziesiątym razem. Ale łapie.

Za Szustakiem zamknęły się drzwi. Kacper stał w bezruchu. Również w bezruchu stała Maria Szustak, wyszczerzona jak źle wykonany manekin. Gość podszedł do niej powoli, jakby była bombą, która w każdej chwili może eksplodować.

– Pani Mario...

– Tak?! – odpowiedziała tak szybko i głośno, że się wystraszył.

Wątpił, czy kobieta cokolwiek rozumie. Był zakłopotany. Wyjął z kieszeni zdjęcie i uniósł na wysokość oczu kobiety. Jej szczeka nadal zaciskała się w martwym uśmiechu, ale oczy nie patrzyły już na ścianę za jego plecami: teraz jej źrenice przesuwają się po scenie i ludziach ujętych na fotografii. Chuda dłoń podniosła się wolno i pomarszczony, kościsty palec z ułamanym paznokciem dotknął krągłej blondynki o roześmianych oczach. Drugą rękę położyła na swoim mostku.

– Przewodnik chóru.

– To pani, prawda?

– Tak. – Maria na moment wróciła z mgły. Jej twarz stała się pociągła i skupiona. – Niech pan słucha: „Wstecz dzisiaj płyną fale świętych rzek. Wszystko się zmienia, prawdą stał się kłam. O zdradach myśli przewrotny dziś człek. Przysięgom już ufać nie można...”¹⁰ Widzi pan? Pamiętam. – Teraz jej dłoń spoczęła na piersi Kacpra. – A mówił pan, że nie pamiętam.

Kacper uśmiechnął się zakłopotany. Po chwili wskazał Helenę.

– A ją pani pamięta?

Maria znowu się zgubiła. Patrzyła w podłogę. Na krawędzi jej rozchylonych warg wisiła kropla śliny, która pęczniała, aż spadła na dywan.

– Pani Mario?

Kobieta podniosła wzrok.

– Strasznie się z tobą obszli, mój mały – powiedziała nagle do Kacpra. – Przecież byłeś jeszcze dzieckiem. Jacy ludzie robią coś takiego dziecku? – Trzęsącą się dłonią pogłaskała Kacpra po policzku. – Biedny mały. Cały w bliznach. – Nacisnęła czubkiem palca jego podbródek. – Czy to cię boli?

– Nie.

– Już nie boli. Chwała Bogu, już cię nie boli. Nie może boleć wiecznie, prawda? Minęło tyle lat. Skóra się zagoiła. – Teraz dotknęła jego serca. – Ale tu nadal boli, chłopczyku?

Skinął głową.

– Musisz przestać. – Wskazała na dobrze zbudowanego chłopca ze zdjęcia. – Idź do komendanta i powiedz mu, co zrobiłeś. Przyznaj się, a nie spotka cię krzywda. Zrozumieją. Dobrzy ludzie zrozumieją i wstawią się za tobą.

– Ten chłopak to komendant? – Kacper nie dowierzał.

Ostatnio przypomniał sobie, że Marian odwiedzał ich, kiedy on był jeszcze mały. Rozmawiał z matką i ojcem. Oczywiście wtedy jeszcze nie był komendantem.

– Powiedz mu. Powiedz mu, że to nie ty jesteś zły, tylko ci, którzy milczeli, kiedy trzeba było mówić.

– Czyli kto?

– Powiedz mu. Nie bój się.

Maria znów wbiła wzrok w podłogę i tym razem trwała w zawieszaniu dłużej niż poprzednio.

– Pani Mario? Słyszysz mnie pani?

Szarpnęła ją lekko za ramię, ale nie reagowała. Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się twarz Zbigniewa.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem.

– Chyba skończyliśmy.

Szustak przywołał go ruchem dłoni. Wyszli na korytarz.

– I jak? Dowiedział się pan czegoś?

– Czegoś... Tak. Chyba coś mam. Bardzo panu dziękuję. Pańskiej żonie oczywiście też. Jestem wam bardzo wdzięczny.

– Nie ma sprawy. Wiem, że nie ma pan złych intencji. Widzę to w pana oczach. Dobremu człowiekowi zawsze pomogę. „I jeśli ja, którego nazywacie swym królem, trudzę się, aby wam służyć, czyż nie powinniście trudzić się, aby służyć sobie nawzajem?”¹¹ Proszę tu za mną, dziewczyny czekają.

W pokoju gościnnym telewizor transmitował właśnie mszę świętą, ale uwagę Elizy skupiało przedstawienie odbywające się na stole. Królik, kłęcząca przy blacie, odgrywała spektakl, w którym aktorami byli jej stary pluszowy dinozaur i srebrny Pan Jezus na krzyżu. Dinozaur krzyczał do Jezusa:

– Dlaczego nie powiedziałeś Noemu, żeby zabrał nas na arkę?!

– To nie tak! – bronił się Jezus piskliwym głosikiem. – Mówiłem mu, ale wiesz... On tak dużo pije. Musiał po prostu zapomnieć! To nie moja wina!

– A właśnie, że twoja! Gotuj się na śmierć!

– A więc tak chcesz to rozstrzygnąć?! – krzyknął Jezus.

Dinozaur pędził na niego, odsłaniając kły. Jezus w ostatniej chwili zrobił unik i ugodził przeciwnika w oko ramieniem krzyża.

– Ałaaa!! – wrzasnął dinozaur. – Moje oko! Wydłubałeś mi oko!

– Przestań się mazać, durna jaszczurko! – zawołał Jezus i kopnął go podstawką krzyża w genitalia.

Dinozaur złapał się za krocze i podskakiwał w miejscu. Eliza śmiała się, popijając nalewkę wiśniową, którą zabrała z barku.

– Co wy wyprawiacie? – Zbigniew Szustak wyrwał Królikowi Jezusa, ucałował jego stopy i odstawił na półkę. – Wyjazd stąd! Won z mojego domu!

– Ależ, tato – powiedziała rozbawiona Eliza. Podczas kilku minut rozmowy Kacpra z jej matką zdążyła wypić już jedną trzecią butelki. – Tak rzadko się widzujemy. Już chcesz się nas pozbyć?

– Nie kaźcie mi powtarzać!

– Dziadku – Królik przytuliła się do jego brzucha – pozwól nam tu zostać. Tu jest tak pięknie!

– Puszczaj!

– Dziadku!

Zbigniew odepchnął ją z taką siłą, że dziewczyna upadła na podłogę.

– Ty bijesz dzieci? – Eliza patrzyła na Szustaka z nienawiścią. – A myślałam, że tylko udajesz, że nie istnieją.

– Wypierdalaj stąd – syknął Zbigniew.

– Chyba za mocno ją pan popchnął – mruknął Kacper.

– Nie wtrącaj się.

– Uderzyłeś dziecko, dziadku. Co z tobą?

– Zaraz mogę uderzyć też ciebie. – Chrześcijańska empatia wyparowała z Szustaka w mgnieniu oka.

– Czyżby? – Kacper, nie czekając, ruszył na niego i wyprowadził prawą prostopadłą.

Zbigniew Szustak zasłonił się ramieniem, pochylił i wymierzył mu tęgi sierpowy w lewą nerkę. Kacper zgiął się wóół i wypuścił z siebie powietrze jak przebita opona. Gospodarz wyprowadził jeszcze dwa ciosy w głowę, aż młodszy przeciwnik stracił równowagę i upadł na podłogę.

– Wynoście się. Wynoście się w tej, kurwa, chwili! – wysapał atleta.

Kacper wstał i rzucił mu mordercze spojrzenie.

– O, nie, nie, nie. – Eliza powstrzymała go, wjeżdżając między nich na wózek. – Zostawmy już starszego pana w spokoju. Chodźcie.

Wyszli na mróz i śnieg i podreptali do auta. Kacper bez słowa pomógł Elizie, wrzucił wózek na tylne siedzenia i odpalił silnik.

– Dlaczego to robicie? – odezwał się po długim milczeniu. – Dlaczego wszystkich prowokujecie? – Dziewczyny milczały. Patrzyły za okno na skrzyżujący się w świetle reflektorów śnieg. – Jesteście, kurwa, nawiedzone.

– To dziedziczne – sapnęła pod nosem Królik.

– Co powiedziałaś?

– Nic.

Wjechali na asfaltową drogę. Przed nimi na szczycie góry świeciły światła blokowskie. Spadająca gwiazda przecięła niebo i zniknęła.

Była pierwsza w nocy. Eliza spała w swoim pokoju na parterze. Kacper w bokserkach i podkoszulku pił drinka, stojąc przed lustrem w łazience i oglądając swoją twarz. Nowa śliwa pojawiała w miejscu poprzedniej. Rozlała się na policzek i przybrała wiśniowocząrną kolor. Kacper postawił szklankę na krawędzi zlewu, odciął kawałek plastra z opatrunkiem i zakleił rozciętą brew. Biały plaster szybko nasączył się krwią. Mężczyzna próbował policzyć, ile razy ten właśnie łuk brwiowy był już rozcięty i zszywany na nowo. Najlepiej zapisał mu się w pamięci pierwszy raz, kiedy jadąc rowerem przez las, uderzył głową w drzewo. Pamiętał dobrze: była wiosna i na polu za lasem huczało od owadów. Do czoła lepkiego od słodkiej krwi zlatywały się muszki owocówki. Pamiętał powrót do domu, otwartą bramę i hałas narzędzi z pracowni ojca. I mamę. Opałała się na leżaku z buteleczką wódki i kartonem soku pomarańczowego pod ręką.

– Boże, Kacper, co ci się stało? Trzeba to odkazić, podejdz no do mnie – zawołała.

Pamiętał, jak przepłukała usta wódką i ciepłym, szczypiącym językiem polizała jego brew.

– Tak robią pieski, kiedy się skaleczą. Ich ślina odkaża i leczy, tak jak moja.

Dopił drinka i podwinął koszulkę. Rana pod pachą zabiźniała się wolno. Otaczał ją delikatny rumień. Wyszedł z łazienki. W korytarzu minął uchylone drzwi pokoju Królik. Zatrzymał się na chwilę.

Dziewczyna, ubrana tak jak on, w podkoszulek i bokserki, oglądała filmiki w internecie. Z laptopa słychać było przyciszoną muzykę gitarową. Dostrzegła go kątem oka.

– Jezu – powiedziała. – Co ci jest?

– Co mi jest? – zapytał, nie rozumiejąc.

– Twoja twarz.

Kacper dotknął dłonią skóry nad okiem. Była lepka od krwi.

– Chodź tu.

Usiadł na jej łóżku. Królik wyszła i wróciła po chwili, niosąc gazę i bandaż.

– Cienki plaster nie jest dobry na rozciętą brew – wytłumaczyła tonem znawcy. – Taki stary facet powinien to wiedzieć. Będzie trochę boleć.

Szybkim ruchem zerwała plaster i zatamowała krwawienie gazą. Kacper wodził oczami po zdjęciach ptaków, wiszących w ramkach nad biurkiem Królik. Były zrobione z bardzo bliska, jak portrety.

– Ładne zdjęcia.

– Chłopak mamy był fotografem. Zrobił je dla mnie. Przytrzymaj.

Kacper docisnął palcem gazę, patrząc, jak ręce dziewczyny sprawnie wiążą bandaż.

– Jeśli do jutra się nie zasklepi, będziesz musiał iść do szpitala, żeby to zaszyć. Nieźle ci przywalił.

– Twój dziadek jest silny jak tur.

– Uprawiał chyba każdą dyscyplinę sportu. Niedługo będzie miał siedemdziesiąt lat, a codziennie biega dziesięć kilometrów po lesie, nawet w najgorsze mrozy. Oprócz tego podnosi ciężary i boksuje w worek.

– Szanuję to. Mimo że rozwalił mi twarz.

– To trochę moja wina. Znowu. – Królik zawiązała końce bandaża na supeł i odsunęła się na krawędź łóżka z dłońmi splecionymi na udach. – Przepraszam cię. Za dzisiaj i za tamto w restauracji. Nie lubię siebie za to, jak się czasami zachowuję.

– Przyjmuję przeprosiny. Następnym razem po prostu pomyśl, zanim znowu mnie w coś wpakujesz.

– Widzisz, to nie takie proste. To się dzieje samo. Mama mówi, że kobiety w naszej rodzinie dziedziczą taki gen, który każe im ściągać na siebie kłopoty.

– Zachowań się nie dziedziczy. Uczby się ich od otoczenia, w którym się wychowuje. Może po prostu mama nie daje ci dobrego przykładu.

– No jasne, że nie daje. Zmienia... to znaczy zmieniała facetów jak rękawiczki. Wszystkie dziewczyny mają po jednym starym, a ja miałam już z dziesięciu... To nie jest fajne. – Królik patrzyła gdzieś w bok i czerwieniła się delikatnie na nosie i policzkach. – Nawet nie znałam taty. Mama nigdy mi nie powiedziała, kim on jest, gdzie mieszka ani co robi. Wiem, że ona nie chce go znać, ale to nie znaczy, że ja też nie chcę. Ilekroć próbuję z nią o tym pogadać, ucina rozmowę.

– Może czeka, aż osiągniesz odpowiedni wiek.

– A jaki jest odpowiedni wiek?

Kacper wzruszył ramionami.

– Twoja mama to nieźle ziółko.

– Ma to po babci. À propos tego złego genu. Nie wygadasz się, jak ci opowiem porąbaną historię?

– Nie wygadamy.

– Ponoć babcia, kiedy była młodą ślicznotką, uwiodła księdza. Sypiali ze sobą. Kiedy on chciał zakończyć romans, nie pozwoliła mu. Tak mu zaszła za skórę, że biedak wyniósł się z miasta.

– Poważnie?

– Tak. Mama mi to opowiedziała, kiedy była strasznie zła na babcię.

– Jezu. Faktycznie jesteście wszystkie zdrowo rąbnięte.

– Mówiłam ci. Kacper?

– Tak?

– Chciałbyś dzisiaj ze mną spać?

– Nie.

– Nie będę się do ciebie dobierać. Obiecuję. Po prostu pomyślałam o tacie, o tym, że mam takie posrane życie, i zrobiło mi się przykro.

– Ja też mam posrane życie i też mi jest przykro. Ale nie tak ludzie powinni dobierać się w pary. Dobranoc.

Wychodząc, spróbował posłać jej krzepiący, trochę „ojcowski” uśmiech i uznał, że całkiem dobrze mu to wyszło.

1959

Kroki na żwirze, na schodkach, na tarasie. Pukanie. Zerkam jeszcze raz, czy tej dziewczynie nie wystaje ręka albo noga spod szmat, a gdy widzę, że nie, otwieram. W progu stoi jakiś miastowy piękniś, a taki wycackany, że Matko Boska. Spodnie w kant, koszula na ostatni guzik, włosy lśniły, a buzię ma piękną jak aktor filmowy. Tylko buty ubłocone i koszula trochę wymięta, wyjęta na wierzch. Widać czerwone plamki na mankietach. „Dobry wieczór”, mówi i uśmiecha się do mnie, a zęby ma równe i białe jak z alabastru. „Ja po dziewczynę?”. „Po dziewczynę?”, palę głupa. „A po dziewczynę?”. „Oj, to tutaj z tym kiepsko, to bardziej do miasta”. Patrzy na mnie jakoś dziwnie i zaczyna się śmiać. To i ja zaczynam się śmiać. „Dobre – mówi on – ale już późno, a mnie czas goni. Jutro ślub bierzemy”. To ja mu na to, że zaręczyn przez próg i na stojąco nie przyjmę. On znowu w śmiech, a śmieje się tak, że mnie ciarki po plecach przechodzą. „To wpuść mnie, samotniku, do tej swojej chaty, to ci się oświadczę jak trzeba”. „Nie ma takiej potrzeby, poza tym późno już, właśnie szedłem spać”, odpowiadam i zamykam drzwi. Wkłada ubłocony lakierek w szparę. Pcham drzwi mocno, przygniatając mu stopę, chyba go boli, bo się robi czerwony na buźce, ale uśmiech mu z niej nie schodzi i zabrać buciora też nie ma zamiaru. Co ja robię – myślę – przecież to nie moja sprawa, niech świr bierze babę i będzie spokojny. Ale coś mi nie gra, to jakaś bardzo niedobra historia, on i ona tu w lesie w środku nocy. Za dobre mam serce, żal mi tamtej, taka drobna, słaba, a ten nie wiadomo, czego od niej chce. Otwieram odrobinę drzwi, gość pcha się do środka na pewnego, ładuję mu na to haka w brzuch i wystawiam za drzwi. „Ty mi, kurwo, do domu się nie pchaj bez zaproszenia!”, krzyczę. Cisza. Nic. Nie dobija się, ale też nie słyszę, żeby odchodził. Nagle robi się huk i zamek wyskakuje z drzwi jak korek z butelki, znowu huk i jeszcze jeden, z drzwi sypią się wióry, dwa otwory się w nich robią, czuję palenie w ramieniu, widzę krew, odsuwam się. Elegancik wchodzi, wymachuje visem, takim samym jaki dali ojcu w wojsku. Teraz dopiero widzę, że dłoń ma obwiązana chustą, spod chusty kapie krew. Suka rzuca się na niego, rozlega się strzał, pies kwili i pada trupem. „Gdzie ona jest?”, pyta z tym samym spokojem co wcześniej. „Gadaj, bo ci podziurawię bebechy!” Siadam na podłodze, w głowie mi się kręci, nic nie mówię. Piękny kopie mnie w ramię.

„Gadaj!” Dalej milczę. Przyciska but do rany i kręci nim, boli jak skurwysyn, milczę jednak dalej, nie wiem czemu, mogę przecież powiedzieć i będzie po wszystkim. Ale nie mówię. Patrzę, jak Suka się wykrwawia. Szczęście, że trafił ją w łeb, zdechła od razu. Piękny chodzi po domu, przewraca meble, rzuca rzeczami. W końcu staje przy piecu, patrzy na te szmaty, plandekę i siatkę. Już wie – myślę. „Wyłaż, kurwo!”, krzyczy. Dziewczyna, przerażona, wyczołguje się spod szmat, widzę, jak lśnią te jego wariackie gały, teraz ją zabije. Ją, a potem mnie. Bierze młodą pod rękę, podnosi, przystawia jej broń do czoła. „Moja mała pływaczka, popływałaś sobie nocą, tak jak lubisz, to teraz wracamy dokończyć to, co zaczęli...”, i nie dokończył już nigdy tego, co zaczęli, ani niczego innego, bo kiedy się tak z nią szarpał, wziąłem spod ściany pogrzebacz i roztrzaskałem mu łeb, ale to tak porządnie, że kawałek mózgu wyciekł na dywan.

¹⁰ Eurypides, *Medea*, przeł. Jan Kasprowicz, Kraków: Wyd. Wojciech Meiels 1931.

¹¹ Biblia Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań 1983, Stary Testament (Mosjasz 2:17–18).

ROZDZIAŁ X

29 stycznia 2017

– Komendanta nie ma – powiedział gruby policjant. Między jego zębami błąkał się kawałek sałaty.

Kacper wyszedł z komendy na obłany słońcem plac. Mróz zmalął do minus dwóch, a chmury rozwiały się, odsłaniając czyste niebo. Szedł przez miasto wolnym tempem, palił papierosa i cieszył się. Na chwilę zapomniał o guzie. Rano wstał bez bólu i omamów, rześki i skupiony. Na skrzyżowaniu spotkał żebraka z książką, zapytał o drogę do remizy strażackiej i dał mu trochę drobnych.

– Tylko nie kupuj książek – przestrzegł go. – Lepiej coś zjedz.

Minął brukowaną drogę, przy której stała szkoła, odbił między niskie, zakopcone kamienice, gdzie w oknach zamiast uszczelek tkwiły zwinięte kołdry. Szedł zamkniętym dla pieszych skrawkiem szosy, a słońce po mokrym asfalcie auta miały go, trąbiąc. Potem chodnik rozszerzył się i Kacper znalazł się na placu z betonowych płyt, na którego końcu stał kremowy budynek z dwiema czerwonymi bramami. Jedna była otwarta. Kacper wszedł do środka i uklonił się mechanikowi, który rozprowadzał pędzlem smar po stalowym walcu na kawałku brudnej szmaty.

– Szukam Majora.

– Jest u siebie – odparł mechanik, nie podnosząc oczu.

– Gdzie to jest „u siebie”?

– Schodami do góry, długi korytarz, pierwsze drzwi na prawo. – Mechanik podniósł wreszcie wzrok i przetarł czoło brudnym przedramieniem, przez co zostawił na nim szarobrazową smugę. – Od rana jest w tym swoim gorączkowym humorze. To trwa kilka dni, a potem Major cichnie i nie mówi nic. Niech pan nie pozwoli mu się zagadać na śmierć.

Kacper poszedł we wskazane miejsce i zapukał. Tubalny, gościnny głos zawołał: „Wejść!”. Major siedział w szerokim, rozkładanym fotelu. Nogę unieruchomioną gipsem położył na skórzanym pufie. W zębach trzymał zgaszonego papierosa i drapał się po owłosionej klatce piersiowej widocznej spomiędzy kłap rozpiętego munduru.

– Ja pana znam! – Uśmiechnął się na widok Kacpra. – Pan jest tym bohaterem, który uratował stare kurwiszcze przed samospaleniem.

– Mówi pan o Oldze?

– To jedyne stare kurwiszcze, jakie znam.

– Bardzo jej pan nie lubi.

– Nie przepadam za nią, to fakt. Proszę, niech pan siada. Napije się pan czegoś? Mam bardzo dobrą kawę.

– Chętnie.

– Jadzia!

Do pokoju wbiegła chuda kobiecina w rogowych okularach, z blond trwałą. Żyły na jej szyi pulsowały szybko, a oczy za grubym szkłem okularów strzelały po pokoju, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej.

– Jadziu kochana, serce moje najdroższe, przynieś mi i panu bohaterowi dwie dobre kawki z Włoch. Jadzia zniknęła z prędkością światła.

– Mam na imię Kacper.

– A ja Andrzej. Andrzej Major. Niezłe nazwisko, co? Z takim nazwiskiem nie trzeba mieć przezwiska. – Podali sobie ręce. – Uratowałeś mi życie tą tabletką. Czekaliśmy na ambulans chyba ponad godzinę.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Nie lubię, jak kogoś coś boli.

– Przyszedłeś porozmawiać o tamtej nocy?

– O czym innym, ale skoro już przy tym jesteśmy... Dlaczego pan tak nienawidzi tej staruchy?

– Przez tę raszplę zostawiła mnie moja pierwsza żona.

Kacper popatrzył na niego z ciekawością i założył nogę na nogę.

– Mogę zapytać, jak to się stało?

Kącik ust Majora uniósł się na wspomnienie z odległej przeszłości.

– Nie gadam o tym z każdym, ale masz u mnie punkt za to, że jej przypierdoliłeś. To było dobre. Zrobiło mi się ciepłej na sercu. To jest tak: ta stara pijaczka nie pracuje, jak wszystkie stare pijaczki. Dorabia sobie, wróżąc z kart, lecząc modlitwą i takie tam. Moja żona uwielbiała te wszystkie ezoteryczne gówna i często korzystała z jej usług. No i wyobraź sobie, że pewnego dnia Olga zobaczyła w kartach, że spiam z inną kobietą.

– A sypiałeś?

Major uśmiechnął się szerzej. Wspomnienie było przyjemne.

– No tak, ale to przecież nie jej zaszara sprawa. Za tę usługę moja była zapłaciła Oldze jakieś grosze, a ja do dzisiaj płacę alimenty na nią i dzieciaka. Niech starą kurwę piekło pochłonie.

Jadzia przyniosła dwie filiżanki i znowu zniknęła. Kacper spróbował napoju.

– Naprawdę pyszna – pochwalił szczerze.

– Prawda? – Major siorbnął z satysfakcją. – Ale mówiłeś, że przyszedłeś w innej sprawie.

Kacper pochylił się ku niemu.

– Martwią mnie te pożary. Dlaczego policja milczy na ten temat?

– To żadna tajemnica. Myślą, że to lokalne małolaty podkładają ogień. I ja też tak uważam. Tutejsza młodzież to wrzód na dupie. Gliny nie chcą się paniki, pracują spokojnie swoimi kanałami, lada chwila złapią główniarzy na gorącym uczynku i historia się skończy.

– Wtedy pod lasem wspomniałeś coś o dziecku, pamiętasz?

Major wziął ze stołu linijkę, wepchnął ją pod gips i zaczął się drapać, nie spuszczać oczu z Kacpra.

– Była taka historia w siedemdziesiątym ósmym roku. Dawno i nieprawda. Ktoś podpalił opuszczoną stodołę z ośmiolatkiem w środku.

– Biedny dzieciak.

– Biedny człowiek. Nazywa się Marcin Kania. Już dawno nie jest dzieciakiem – ciągnął Major. – Trudno wyjaśnić, jak to możliwe, że przeżył i żyje do dzisiaj. Dziewięćdziesiąt procent jego skóry

pożarł ogień. Nieustający ból dzień po dniu. Sama zmiana opatrunków, którą trzeba robić codziennie, jest jak obdzieranie ze skóry...

Kacper przełknął kawę i odstawił filiżankę. Przypomniał sobie słowa matki Elizy: „Biedny mały. Cały w bliznach”.

– ...a facet niedługo dobieje pięćdziesiątki. Co prawda niewiele już z niego zostało. Jest pokruszony fizycznie, psychicznie. Wymaga stałej opieki. Nie wychodzi z domu. Opiekują się nim młodszy bracia. Rodziców dawno trafił szlag. – Twarz Majora poczerwieniała ze złości. – To wina jego matki. Wynajęła sobie do opieki taką młodą panienkę, Laurę Kowalczyk, i poczuła się zwolniona z trudów macierzyństwa. Była śmieciem. Kiedy strażacy wynosili jej dziecko z pożaru, spała najebana w swojej eleganckiej willi. Dowiedziała się o wszystkim, dopiero kiedy wytrzeźwiała. A wie pan, co jest zabawniejsze? Że ta młoda opiekunka też lubiła sobie gołnąć. Kiedy to się wydarzyło, mały był pod jej opieką. A co jest jeszcze lepsze? Wódka zabiła je obie. Matka Kani udusiła się własnymi wymiocinami, a Laura po pijaku wypadła z okna. Jest sprawiedliwość na tym świecie. Mam nadzieję, że dziwki smażą się w piekle.

– Wielu ludzi pan tam posyła.

– Oby więc było na tyle przestronne, żeby ich wszystkich pomieścić. Albo nie, kurwa, niech się cisną.

– Są dowody, że ktoś podłożył ogień?

– Obok stoły znaleźli kanister po benzynie rzucony w krzaki i przykryty liśćmi. Podpalacz był skończonym idiotą. Mógł przecież wrzucić go w ogień.

– Jak to się skończyło? Zamknęli go?

– Nigdy go nie złapano.

– Mimo że był tak nieostrożny?

– Mnie też się to nie mieści w głowie. Zwłaszcza że na kanistrze musiały być przecież odciski palców. Nie analizowałem tego dokładnie. W sumie nie moja broszka, prawda? Był jakiś świadek i jakieś zeznania, ale koniec końców sprawa zdechła.

Kacper powtórzył w myślach: „Świadek. Zeznania”.

– Dziwne – skomentował krótko.

– Tu się dzieje sporo dziwnych rzeczy. Jeszcze trochę tu zabawisz, to zobaczysz.

– Chyba już powoli zaczynam widzieć. – Zamyślił się, drapiąc paznokciami policzek. – Gdzie znajdę tego Marcina Kanię?

Major spojrział na niego zdziwiony.

– Chcesz do niego iść?

Kacper skinął głową.

– Nie radzę. Jego bracia to recydywiści. Będzie nieprzyjemnie.

– Muszę go o coś zapytać.

– To nie on. Pożary to sprawka tutejszych chuliganów. Nie dowiesz się niczego więcej. A w mordę dostaniesz z całą pewnością.

– Nie chodzi o pożary. Przyszło mi na myśl, że ci ludzie mogą znać bliską mi osobę.

– Nie wiedziałem, że masz tu kogoś.

– Stara znajomość. Stare czasy.

Major rozważał coś, skrobiąc kciukiem gips na nodze. Białe okruchy spadały na wykładzinę. Wreszcie wydarł z notesu kartkę i zapisał adres.

– Pamiętaj, że cię ostrzegalem – powiedział.

Kacper wstał jeszcze raz na komendę i tym razem zastał Wielowiejskiego. Łysy funkcjonariusz zaprowadził go po wąskich schodach, a następnie przez pachnący gumoleum i papierosami korytarz do drzwi niechlujnie obitych brązową tapicerką. Biuro komendanta w odróżnieniu od korytarza było urządzone nowocześnie. Kacper ujrzał lekkie, jasne meble, szare ściany, panele podłogowe, białe biurko, komputer Apple'a, kilka wielkoformatowych, czarno-białych zdjęć w antyramach. Wielowiejski był ogromny i w swoim fotelu wyglądał jak wciśnięty w fotelik dla dziecka.

– Przyjacieli Elizy – odezwał się na widok gościa i na tym zakończył powitanie.

Kacper, nie czekając na zaproszenie, usiadł naprzeciwko niego.

– Znał pan moją matkę. Helenę Baczewską.

Gęste brwi komendanta uniosły się w wyrazie szczerzego zaskoczenia.

– Pan jest synem Heleny? O rany! – Jego zmęczona i zła twarz pojaśniała. – Jaki ten świat jest mały! Udzielaliśmy się razem w kole teatralnym... Jezu, ile to lat temu? – Policzył w głowie. – Czterdzieści... Czas nie odpuszcza. – Zanim Kacper zdążył coś powiedzieć, Wielowiejski dał się ponieść wspomnieniom: – Helena miała w sobie to coś. Jeśli ktoś z tych bawiących się w teatr dzieciaków miał w przyszłości zostać prawdziwym aktorem, to właśnie ona. Ja na przykład, przynajmniej, byłem bardzo kiepski i nigdy za bardzo tego nie lubiłem. Czy to zabrzmiało źle, jeśli przyznam się, że chodziłem tam, żeby dostawać zwolnienia z lekcji? – Zaśmiał się z własnych słów. Kacper pozostał poważny. – A pana pamiętam, był pan jeszcze dzieckiem, kiedy was odwiedzałem w Krzewaniu. Co u naszej aktoreczki?

Kacper znowu musiał to powiedzieć komuś, kto ją znał i lubił. Powoli się już do tego przyzwyczajał.

– Nie żyje.

Wielowiejski położył ciężkie przedramiona na stole i długo patrzył w pusty blat między nimi, zanim się odezwał.

– Jak to się stało? – zapytał bardzo cicho.

– Myślę, że się zabiła.

– Myśli pan?

– Nie mam pewności.

Komendant założył nogę na nogę i wbił w Kacpra swój bystry wzrok starego wygi, który zjadł zęby na zagadkach dotyczących śmierci.

– Co to znaczy?

– Zostawiła mnie, mojego brata i ojca, kiedy miałem osiemnaście lat. Żyła z jakimś facetem, o którym nic nie wiem. Nie byłem na bieżąco.

– Może to przez niego? – Wielowiejski szybko przeszedł do spekulacji. – Zadała się z niewłaściwym mężczyzną, nie potrafiła od niego odejść i... Wie pan, to dość popularny scenariusz. W mojej pracy często przewijają się takie historie.

– Myślałem o tym. Ale wiem, że ten facet ją zostawił i po tym jeszcze długo żyła samotnie. To nie przez niego. Znalazłem też przy niej zdjęcie zrobione w siedemdziesiątym ósmym roku, tu, w Białej. Pan też na nim jest.

– Mogę zobaczyć? – Wielowiejski założył okulary, w których wyglądał jak mądry niedźwiedź. – To krew?

– Tak.

– Gdzie to się stało?

– W Orłówku, nad morzem.

– Zna pan osoby na zdjęciu?

– To pan, mama, Wiktor Sasnal, Monika Biernacka i Maria Szustak.

– Konopka – poprawił go. – Wtedy nazywała się Konopka. Szustak to nazwisko jej męża. Tego osiłka.

– Poznaliśmy się.

– Bardzo blisko – dodał komendant, patrząc znacząco na obitą twarz rozmówcy.

– Każdy mógł mnie tak załatwić. Dlaczego pan myśli, że to on?

– Bóg dał mi odrobinę więcej spostrzegawczości niż przeciętnemu Kowalskiemu. Dlatego awansowałem na komendanta w tej dziurze. Dosłownie odrobinę. Niewiele potrzeba.

– Nie wiem, kim jest ona. – Kacper wskazał na chudą, ostrzyżoną na „hełm” dziewczynę między Moniką Biernacką a matką Elizy.

– To jest Laura Kowalczyk. Zmarła bardzo młodo. Tragiczna śmierć.

– Wypadła z okna.

Wielowiejski spojrział na Kacpra niemal z podziwem.

– Naprawdę pan nie próżnuje.

– Rozmawiałem też z Marią. Powiedziała, że ktoś nigdy nie wybaczy Helenie i Wiktorowi. Majaczyła, że moje ciało jest pokryte bliznami i że ktoś mnie skrzywdził. Nie rozumiałem tego, ale potem poznałem historię Marcina Kani. Maria chyba myślała, że nim jestem.

– Skąd pan wie o Marcinie Kani?

– Rozmawiałem z Majorem. Od niego też wiem o Laurze.

– I co pan o tym myśli?

– Jeszcze nic. Zbieram kawałki układanki.

– Pan znalazł ciało Heleny?

– Tak.

– Co z sekcją zwłok? Co powiedzieli biegli?

Kacper zbladł. Matka nadal siedziała w sypialni w domku na wydmach. Nikogo nie powiadomił. Po prostu odjechał.

– Że to samobójstwo – skłamał, próbując nadać swojemu głosowi przekonujący ton.

– Ale pan tak nie uważa?

Chrząknął.

– Nie wiem. Kiedy ją znalazłem, nie miałem wątpliwości. Nie było śladów napaści. Siedziała przy stoliku, na białej leżała brzytwa. Mimo to coś kazało mi tu przyjechać. Miałem przeczucie. Jakąś wątpliwość daleko z tyłu głowy. Teraz dowiaduję się, że mama mogła być zamieszana w jakąś sprawę, której uczestnicy nadal żyją, a braćmi ofiary są kryminaliści. To wszystko układa się w jakąś absurdalną historię spiskową. Ale wszystkie elementy tak bardzo do siebie pasują, że nie potrafię zlekceważyć tego... dziwnego scenariusza.

– A jaki to scenariusz? – zapytał komendant, z trudem wciskając się głębiej w oparcie fotela.

– Że moja mama i Sasnal... Sam nie wiem. Może zrobili coś temu dziecku, a teraz jego bracia się mszczą.

Wielowiejski podrapał się długopisem w szyję.

– Niech to, co teraz powiem, zostanie między nami – poprosił. – Mieszkam tu całe życie. W policji pracuję ponad trzydzieści lat. Jestem na bieżąco z historiami ludzi: zarówno tymi bardziej, jak i tymi mniej godnymi pochwały. Wiktor i Helena nie mieli nic wspólnego z pożarem. Wiem to, bo osobiście spędziłem z nimi dzień, w którym to się stało. Mieliśmy próbę *Elektry*. Odwiedziłem też Marcina, kiedy wyszedł ze śpiączki. Niczego nie pamiętał. Miał wtedy osiem lat. Dzisiaj ma czterdzieści siedem. Wątpię, żeby nagle coś sobie przypomniał. A tym bardziej wątpię, że jego bracia znaleźli Helenę na drugim końcu kraju i zabili ją, pozorując samobójstwo. Na ogół nie traktuję ludzi z góry, ale bracia Kaniowie raczej nie są członkami Mensy.

– Więc co pan myśli?

– Możemy przejść na „ty”? Myślę, że to trzy odrębne sprawy. Helena, pożary, Kania. Mogą wydawać się zbieżne w kilku miejscach, ale... nie obraż się, dla kogoś, kto bardzo chce, żeby takie były. Myślę, że próbujesz w ten sposób wytłumaczyć sobie fakt, że Helena dokonała takiego, a nie innego wyboru. I nic w tym złego, naprawdę. Ludzki mózg pragnie wszystko rozumieć i rozstraja się, kiedy coś mu to uniemożliwia. Uważam, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś na jakiś czas odpoczął od tej całej sprawy. Wyciszył umysł, spojrzął na to z boku. Drepcząc w miejscu, zawsze wydepczemy dziurę w ziemi. A może pod ziemią niczego nie ma?

Wielowiejski przyglądał się Kacprowi z nieodgadnioną miną. Ten zaś przestał stukać paznokciem w blat i zapatrzył się w drzewa za oknem.

– Major wspominał o raporcie z podpalenia – powiedział głucho. Miał w głowie szumiącą pustkę.

Wielowiejski westchnął i podniósł słuchawkę. Wykręcił trzycifrowy numer wewnętrzny i czekał.

– Poszukaj mi raportu z podpalenia lasu – rzucił nagle. – Tak. Z osiemnastego lipca tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego ósmego. – Na chwilę zapadła cisza, potem Wielowiejski chrząknął: – Dziękuję. – I odłożył słuchawkę. Wydawał się trochę zbity z tropu. – Kilka lat temu mieliśmy wyciek danych. Jeden z pracowników handlował informacjami. Wynosił całe segregatory papierów. Niektórych nawet nie kopiował, zabierał oryginały. Odsiedział swoje, ale wielu dokumentów nie udało się odzyskać.

– A to? – Kacper z rezygnacją pokazał jeszcze Wielowiejskiemu napis na zdjęciu. – Co to znaczy?

Komendant uśmiechnął się półgębkiem.

– Na próbie *Antygony* Helena nie umiała się rozplakać. Gołębiowski, nasz prowadzący, powiedział: „Baczewska, twój brat nie żyje! Masz dziesięć sekund, żeby się rozplakać. Nie myśl, tylko to zrób”. Prawie spaliła się ze wstydu. Często przytaczaliśmy to zdanie, kiedy chcieliśmy ją wyprowadzić z równowagi.

– Ale nie ty je tu napisałeś?

– Może Sasnal. A może Biernacka. Na pewno którejś z nas.

Kacper zamknął oczy i oparł czoło na rękę.

– Posłuchaj – komendant posłał mu zaniepokojone spojrzenie – nie wyglądasz najlepiej. Ja też nie czuję się już na siłach, żeby rozgrzebywać te stare sprawy, ale pomogę ci. Jeśli sobie coś przypominę, dam znać. Podaj mi swój numer. I nie chwal się tym nikomu, dobrze? Nie wolno mi rozmawiać o takich rzeczach z cywilami. Robię to ze względu na stare czasy.

Kacper wyszedł za bramę i zapalił papierosa, ale zaraz go wyrzucił. Pochylił się i ścisnął kciukiem oraz palcem wskazującym nasadę nosa. Ciśnienie w głowie rosło. Ból nasilał się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Mężczyzna zrobił kilka chwiejnych kroków. Poczuł, że jego ciało jest puste i lekkie jak opróżniony worek. Nie umiał nadać nogom rozpędu ani kierunku. Zachwiał się i upadł. Miał wrażenie, jakby ktoś zatapiał w jego głowie ostrze noża. Ból rozlewał się po skroniach, twarzy i karku. Oczy pod naporem ciśnienia pęczniały i Kacprowi zdawało się, że lada chwila wyskoczą mu z czaszki. Wtedy bezchmurne niebo przeszła błyskawica i rozległ się grzmot. Kacper poczuł na skórze krople deszczu. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą małego, nagiego chłopca z twarzą oskubaną do mięsa. Miał puste oczodoły. Kacper pochylił się, a wtedy chłopiec chwycił go za uszy i mocno pociągnął. Z czarnych ust wydobył się głos Młodszeo:

– Kończy ci się czas.

Dziecko zniknęło. Kacper osunął się na chodnik, a przed oczami stanęła mu ciepła, bezpieczna ciemność. Kiedy jej dotknął, ból ustał. Przestało padać.

Obudził go irytujący dźwięk kardiografu. Leżał w szpitalnym łóżku, w świetle lampy. Dookoła stali jacyś ludzie. Oczy pomału zaczynały łapać ostrość. Najpierw zarysowywały się kontury, a potem linie twarzy. Eliza. Kąciki jej ust uniosły się jak zwykle do ustalonego, nieprzekraczalnego poziomu. Obok niej stała Królik. Miała włosy związane z tyłu wstążką.

Ładniej jej w rozpuszczonych. Chyba płakała, ma mokre oczy, pomyślał Kacper.

Był tam jeszcze ktoś: niski, krągły człowieczek o ciemnej karnacji, z głębokimi zakolami na płaskiej czaszce. Jego małe, mądre oczy patrzyły na niego spod krzaczastych brwi.

– Czy pan mnie słyszy, panie Frydrych? – zapytał.

Kacper kiwnął głową.

– Ile pan widzi palców?

– Trzy. Kim pan jest? – wyszeptał.

– To jest doktor Adarsh Sahni, onkolog – wyjaśniła Eliza. – Musi ci coś powiedzieć.

Lekarz pochylił się nad nim.

– Pan musi natychmiast mieć operację – oznajmił. – Pan ma zaawansowany nowotwór.

– Wiem, wiem. Właśnie miałem się tym zająć.

– Nie może pan czekać. Trzeba działać natychmiast. Zapiszę pana do kolejki oczekujących na wycięcie guza.

– Już raz go wyciąłem i wrócił. To nie ma sensu.

– Niech pan pozwoli go usunąć jeszcze raz. Zyska pan czas.

„Kończy ci się czas”.

– Pan doktor ma rację. Zgódź się – naciskała Eliza.

Królik przytaknęła milcząco skinieniem głowy.

– Jasne – odparł Kacper i znowu zemdlął.

ROZDZIAŁ XI

1 lutego 2017

Umarł stary człowiek, który czekał na zabieg. Tak zwolnił się bliski termin operacji.

Kacper pomyślał, że to już kolejna osoba, która musiała umrzeć, żeby ustąpić mu miejsca. Zastawiał się, czy nowe życie, które rozpoczął z Nilą na Tilos, było tego warte. Nie myślał o tym jednak zbyt długo. Sahni, Eliza i Królik nakłonili go, by został w szpitalu na obserwacji. Uprosił jedną z pielęgniarek, żeby pokazała mu, jak ściszyć pikanie kardiografu, które doprowadzało go do szału.

– Ale w nocy musi działać z dźwiękiem – zastrzegła pielęgniarka. – Musimy słyszeć, jakby pana zabrało.

Zabrało. Ładny zwrot, uznał w duchu.

Wieczorami, kiedy kardiograf pikał, Kacper wciskał do uszu słuchawki, chował głowę pod poduszkę i słuchał *Dziesięciu godzin relaksującego szumu fal*. Czwartej nocy nie mógł zasnąć. Myślał o matce. Wspominał letnie wieczory, kiedy chodzili razem na wzgórze za domem oglądać zachód słońca nad miastem. Mało wtedy rozmawiali. Siedzieli na trawie przytuleni do siebie i patrzyli. Oderwał głowę od poduszki, wstał i poszedł do toalety. Wąskie okienko wychodzące na podwórze było zakratowane od zewnątrz. Uchylił je na tyle, ile się dało, i zapalił papierosa. Poczul na skórze lodowate powietrze i mocniej przycisnął nogi do kaloryfera. Skończył palić i wyrzucił niedopałek przez szparę. Gdy szedł do wyjścia, uderzył go najpierw przypiływ dziwnego przygnębienia, a potem graniczące z pewnością poczucie, że nie jest sam. Ktoś w kabinie za jego plecami oddychał wolno przez usta. Poczul, jak mięśnie karku mimowolnie napięły się, a broda podniosła tak, że musiał patrzeć w sufit. Żrenice schowały się pod powieki. Świadomość rozmyła się, pozostawiając go w jakimś niedookreślonym miejscu między jawą a snem. Usłyszał znajomą melodię, przyciszoną i niewyraźną, jakby dochodziła z bardzo daleka. Trwało to kilka sekund. Sztynność powoli odpłynęła. Odzyskiwał władzę nad ciałem. Oparł się o ścianę, żeby nie upaść. Zajrzał do kabiny. Pusto. Przytrzymując się framugi, wyszedł z toalety i zobaczył światło padające na ciemny korytarz przez otwarte drzwi poczekalni. Przy automacie z kawą stali dwaj mężczyźni. Jeden z nich wrzucał do maszyny monety. Automat zaczął rzeźzić. Kacper podszedł bliżej i stanął w ciemnej wnęce.

– Patologia – rzucił ubrany w dżinsy i flyersa mężczyzna o gęstych blond włosach, które wyglądały jak sztuczne na jego chłপিęcej twarzy.

Wyższy, ciemnowłosy, w garniturze i płaszczu spokojnie wybrał rodzaj i wielkość kawy, po czym nacisnął „start”.

– To tylko podejrzany. Nie osądzamy, zanim nie zgromadzimy dowodów.

– Jaki skurwysyn mógł załatwić tak własną matkę?

– Nie wiadomo, czy to on. Poza tym nie wszyscy lubią swoje matki.

– Ten chyba swojej nienawidził. Zrobiłeś kiedyś krzywdę swojej matce?

– Rysiu, nie zaczynaj.

– A chciałeś?

Wyższy westchnął. Rysio złapał się pod boki, a jego kurtka podniosła się, ukazując policyjną odznakę.

– Bo ty jesteś zawsze taki spokojny. Nikt nie wie, co ci siedzi pod kopułą.

– No i dobrze. Moja kopuła to moja sprawa.

– Nie da się z tobą gadać. Co o nim wiemy?

– Kacper Dawid, nazwisko Frydrych, nazwisko panieńskie matki Baczevska.

– Tyle to wiem. Chcę wiedzieć, czy będzie nam robił problemy.

– Facet ma zaburzenia emocjonalne, kiedyś był stałym bywalcem na psychiatrii, na oddziale zamkniętym. Odsiedział też dwa lata w pudle za włamanie z kradzieżą.

– To nie tak źle.

– Albo „nie tak źle”, albo tylko raz dał się złapać.

Wysocki wyjął z automatu dwa kubki i podał jeden Rysiovi.

– Stróż parkingu w Orłówku rozpoznał Frydrycha i jego samochód.

– Stróż? A co on tam robił w zimie? Przecież wtedy nie ma turystów.

– Mieszka niedaleko. To jego prywatny parking. Pojechał sprawdzić, czy nie zdewastowali mu koszy, nie pokradli znaków i tak dalej.

– Niezły przypadek, że właśnie wtedy.

– Ponoć nie ma przypadków.

– Kto tak mówi?

– Mój psychiatra.

– Czyli jednak masz coś z głową. – Rysio triumfalnie pokiwał palcem.

– Pamiętaj, to tylko podejrzany. Nie mamy na niego nic i musimy go puścić po dwudziestu czterech godzinach.

– No ale przecież to on. W jej krwi jest odcisk jego buta.

– Nie wiemy, czy to jego but. A jeśli jego, to przecież mógł po prostu znaleźć jej zwłoki.

– I nie zgłosił tego?

– Mogło to też być samobójstwo – zasugerował wyższy.

– A co z narzędziem? Zabrała je do nieba?

Nie znaleźli brzytwy?, zastanawiał się Kacper. Pamiętał ją dokładnie. Leżała na stole między zdjęciem a telefonem.

– To co? Dopijemy i zawijamy go?

Wyższy pokiwał głową i napił się kawy. Skrzywił się, cisnął kubek do kosza i usiadł z założonymi rękami jak obrażone dziecko.

Kacper wszedł do pierwszej napotkanej sali, założył na siebie czyjeś ubrania i zszedł schodami na parter. Niemał wpadł na dyżurną izby przyjęć. Gruba kobieta z grzywką i spiralnym kolczykiem w uchu spojrzała na niego podejrzliwie.

– A pan dokąd?

– Na powietrze – odparł i spróbował się uśmiechnąć. Jego blada twarz z kilkuniedniowym zarostem wyglądała, jakby należała do nieboszczyka.

- Jest pan pewien?
- Jeszcze jak.
- Co na to pański lekarz?
- Mówi, że muszę się ruszać i dobrze zrobi mi spacer.
- Nazwisko?
- Frydrych.
- Nie ma tu takiego lekarza.
- Ach, lekarza. Sahnii.
- Proszę się nie oddalać. Zaraz wrócę.
- Jasna sprawa, siostró.

Dyżurna zniknęła za zakrętem korytarza. Kacper szybko wyszedł ze szpitala i wciągnął głęboko powietrze. Czuł się dużo lepiej niż cztery dni temu. Poczul lekki ucisk w prawej skroni. Był irytujący, ale zupełnie znośny. Ruszył do domu. Eliza i Królik jeszcze spały. Włączył na chwilę telewizor. Reporterka mówiła, że nadal nie znaleziono reszty Wiktora Sasnala.

„Nie wyglądasz najlepiej. Ja też nie czuję się już na siłach, żeby rozgrzebywać te stare sprawy. Ale pomogę ci. Jeśli sobie coś przypomnę, dam ci znać. Podaj mi swój numer” – odtwarzał w głowie słowa Wielowiejskiego.

Podłączył telefon do ładowarki. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości. Sięgnął do kieszeni i znalazł wymiętą kartkę z adresem Marcina Kani. Poszedł do łazienki. Wziął nożyczki i przyciął brodę przy samej skórze. Resztę ogolił maszynką. Związał włosy w kucyk i odciął go. Przejrzał się w lustrze. Nie znał tego mężczyzny, przedwcześnie postarzałego i niespecjalnie przystojnego. Wyszedł z domu i udał się pod adres zapisany przez Majora.

Musiał dwa razy zapytać kogoś o drogę, nim wreszcie znalazł podany przez Majora adres. Za blokowiskiem na zboczcu wzgórze stało gospodarstwo przerobione na warsztat samochodowy. Prowadził tam szlak wąskich ulic, ale Kacper wybrał drogę przez pola. Szedł, zatapiając się w śniegu do połowy łydek. Na działce stał dom i podłużny budynek gospodarczy. Żwirowe podwórze, zavalone samochodami, oponami i częściami z rozebranych aut, otoczone było płotem, na którym wisiały wyblakłe banery z logotypami Michelin, Shell, Mobil One. Za ogrodzeniem szczekały psy. Pordzewiała brama z giętego drutu była otwarta. Pod ogrodzeniem, w połowie drogi między bramą a budynkiem, przy budzie zbitej z palet, kręciły się dwa bulteriery, przykute łańcuchem do grubego pierścienia wmurowanego w betonową płytę. Na widok gościa obróciły pyski w jego stronę, nastawiły uszu i zawarczały. Kacper stanął w bezruchu. Rolowana brama warsztatu podniosła się. Na tle tkwiącego na podnośniku seata i aluminiowych półek z narzędziami stanął ogolony na zero dryblas w dresie i grubym obuwiu roboczym.

– Cezar, Sisi, spokój! – krzyknął, a psy położyły się na brzuchach, dysząc z wywalonymi jęzorami i buchając kłębami pary. – Proszę iść – zwrócił się do Kacpra. – Nic nie zrobią.

Kacper minął psy. Kątem oka zobaczył znajomy samochód. Miał zdjęty lakier, brakowało mu kół i przednich drzwi, ale nie miał wątpliwości, że należał do niego. Wszedł do warsztatu. Dryblas miał prawie dwa metry wzrostu, małe, czujne oczka i tatuaż na szyi przedstawiający czaszkę w nazistowskim hełmie. Na hełmie widniała inskrypcja *Am Ende steht der Sieg*¹². Postura i głos pasowały do ciemnego konturu, który dźgnął go nożem na przystanku.

- Trzeba transportu, tak? – zapytał.
- Co proszę?

- Zepsuł się samochód, trzeba holować, tak? – Jego głos był nieprzyjemny i natarczywy.
- Nie, nie mam samochodu. To znaczy już nie mam. Przyszedłem do pańskiego brata.
- A, do brata. W porządku, już go wołam. Adam!

W głębi warsztatu ktoś rzucił na ziemię coś ciężkiego. Rozległ się głośny, metaliczny szczęk. Zza regału wyszedł drugi osiłek, niższy i szerszy, w czapce z daszkiem. Na odsłoniętych przedramionach miał wytatuowane: trzyramienną swastykę, krzyż celtycki, wikinga z toporem i portret Hitlera otoczony ozdobną wstęgą, nad którą rozkładała skrzydła czarna wrona.

- Do ciebie – rzucił wyższy brat.
- Nie znam typa – odparł Adam Kania. Podszedł do Kacpra tak blisko, że prawie dotykał go klatką piersiową.
- Ja do Marcina – sprecyzował Kacper.
- Znajomy? – zapytał Adam, nie cofając się o krok.

Łypał na Kacpra spojrzeniem małomiasteczkowego zbója, gotowego podciąć komuś gardło dla zabawy. Ale Kacper się nie bał. To on bez mrugnienia okiem strzelił z bliska w twarz bezbronnemu człowiekowi.

- Tak, znajomy z dzieciństwa – odpowiedział.
- Nie wierzę. Marcin nie miał znajomych.

– Nie ma potrzeby być nieufnym. Zapytaj go, czy zna syna Heleny Baczewskiej. Jeśli nie będzie pamiętał, powiedz, że poznaliśmy się w upalne lato siedemdziesiątego ósmego roku.

Bracia wymienili szybkie spojrzenia.

– Wiesz co – powiedział Adam, popychając go klatką piersiową w stronę bramy – nie będę go o nic pytał. A ty już idź.

- Jasne. Pewnie. Przepraszam. Już mnie nie ma.

Bracia odprowadzili go wzrokiem do ulicy. Kacper rzucił im szybkie spojrzenie przez ramię. Brama do warsztatu opuszczała się powoli.

- Źle zacząłem – mruknął sam do siebie. – Spróbuję jeszcze raz.

Zawrócił i szybkim krokiem przemierzył podwórze. Psy zaczęły warczeć. Jeden z nich rzucił się na niego. Zatrzymało go szarpnięcie łańcucha. Ujadał, tocząc ślinę z pyska. Brama warsztatu zatrzymała się nad ziemią i znów powędrowała do góry. Kacper stanął przy niej, opierając się o ścianę. Wyszarpnął tkwiący w ziemi szpadel i kiedy pokazała się głowa Macieja Kani, uderzył w nią z całej siły. Dryblas padł na ziemię. Kacper uderzył jeszcze raz. I znowu. Okładał olbrzyma tak długo, aż ten przestał się ruszać. Usłyszał, jak po schodach zbiega drugi brat. Wszedł do środka, złapał pierwsze, co wpadło mu w ręce – tłumik, i rzucił prosto w ciemne drzwi w momencie, kiedy pojawił się w nich Adam. Tłumik trafił go w pierś, ale nie zatrzymał. Adam szedł dalej, wziął do rąk łom i zamachnął się, a wtedy Kacper padł na kolana, podniósł z podłogi śrubokręt i wbił go napastnikowi w udo aż po sam uchwyt. Kania ryknął jak postrzelone zwierzę. Kacper pchnął go z całej siły na regał. Mężczyzna runął na posadzkę wśród spadających narzędzi. Spróbował wstać, ale Kacper przycisnął go nogą do ziemi, podniósł z półki młotek i uderzył go w szczękę. Rozległo się chrupnięcie, szczęka wypadła ze stawów, po podłodze potoczyły się zęby. Kacper znalazł zlewozmywak, a nad nim szafkę z apteczką. Oprócz gazy, bandaży i plastra w apteczce była opalona lufka haszyszu, kilka sreberek, zapalniczka i kasetka magnetofonowa zespołu Brathanki.

- Opatrzysz się sam? – zwrócił się do Adama.

Kania wyglądał groteskowo i żałośnie z dolną szczęką szeroko rozwartą i huśtającą się przy każdym ruchu głową. Wziął apteczkę z rąk Kacpra i obwiązał sobie nogę wraz z tkwiącym w niej śrubokrętem. Kacper przywiązał trytkami jego ręce do słupa i wyszedł na dwór. Drugi brat krwawił obficie od szpadla. Był nieprzytomny, ale oddychał równo i głęboko. Kacper związał go i wciągnął za najbliższy samochód. Zabrakło mu tchu, bo facet musiał ważyć ze sto czterdzieści kilo. Zamknął bramę na kłódkę, sprawdził jeszcze raz, czy bracia są dobrze skrępowani, włożył do magnetofonu kasetę Brathanków, ustawił pokrętko głośności na maksimum i wszedł do domu.

Gdy szedł długim korytarzem, usłyszał wysoki, nosowy głos, należący jakby do zakatarzonego dziecka.

– Adam? Maciek? Co się dzieje?

Głos dobiegał z pokoju po prawej. Kacper pchnął te drzwi. Przedmiotem, który jako pierwszy rzucił mu się w oczy, był stuczalowy telewizor. Na włączonym kanale Discovery leciał dokument o syberyjskich wilkach. Narrator opowiadał niskim, wibrującym głosem:

– ...Zwierzęta polują i walczą ze sobą w ciemni nocnej. Boją się ognia i nigdy nie atakują człowieka...

Po podłodze walały się małe hantle, piłka rehabilitacyjna, mata do ćwiczeń oraz książki i czasopisma naszpikowane zakładkami. Pod oknem stały rowerek stacjonarny i bieżnia. Na przestronnym, małżeńskim łóżu siedział mały człowieczek w piżamie. Jego skóra wyglądała jak roztopiona guma pokryta z wierzchu lśniąco, lecz popękaną skorupą. Skóra wokół prawego oka spłynęła na policzki, obnażając niemal w całości gałkę oczną. Brakowało uszu i nosa.

– Kim pan jest? – zapiszczał na widok Kacpra. Złapał telefon i wybrał jakiś numer, patrząc na nieznanego z przestraczem. – Dzwonię po braci! – wyseplenił, a ślina spłynęła z ust po płacie skóry zasłaniającym szyję.

Kacper wyrwał mu telefon i rzucił w kąt.

– Proszę mnie nie krzywdzić! – zaskomlał Kania i zasłonił twarz rękami.

– Nic ci nie zrobię. Chcę tylko porozmawiać. Twoim braciom nic nie jest. Chcę ci zadać kilka pytań. Potem wyjdę i nikomu nic się nie stanie.

– Na pewno? – spytał przerażony mężczyzna.

– Przysięgam.

Marcin odsłonił twarz i przecesał ręką kilka pojedynczych włosów na głowie. Kacper od razu przeszedł do rzeczy.

– Chcę wiedzieć, co pamiętasz z pożaru.

Poparzony mężczyzna dziwnie poruszył wargami. Pokryta bliznami twarz maskowała odbijające się w mimice emocje.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Mów.

– Niczego nie pamiętam. Byłem nieprzytomny.

– To przez pożar. A wcześniej? Co się działo wcześniej tego dnia?

– Bawiłem się w lesie.

– Sam?

– Na początku tak.

Kacper westchnął.

– A potem?

– Potem ktoś przyszedł.

– Mów jaśniej.

– Nie wiem kto. Nie znałem go.

– Przedstawił ci się? Albo miał jakieś szczególne cechy?

– Palił tytoń z fajki. Odpalał fajkę zapalniczką z orłem. – Marcin Kania sięgnął pod poduszkę. – O, taką. – Wyjął zardzewiałą zapalniczkę benzynową z meniskiem w kształcie korpusu orła. Odchyłanej klapki, na której powinna być głowa ptaka, brakowało. – Przeleżała w ziemi trzydzieści dziewięć lat. Czekala, żebym ją znalazł i sobie przypomniał. Zdążyli zburzyć stodołę i postawić tam magazyn na wozy, a ona cały czas tam była.

– Ty ją znalazłeś?

– Nie, nie. Ja nie mogę wychodzić. Nigdy nie wychodzę. Tutaj mam wszystko. – Marcin wskazał ręką telewizor, sprzęty do ćwiczeń i książki.

– Więc skąd masz zapalniczkę?

– Mój brat, Adam, znalazł ją przy starej stodole.

– Czego tam szukał?

– Słucham?

– Pytam, czego tam szukał.

Kania milczał. Kacper nie był pewien, czy poparzony jest opóźniony w rozwoju, czy tylko dobrze udaje.

– Wróćmy do tego kogoś. Czy...

– Nigdy nie byłem nad morzem – powiedział nagle Kania i zaśmiał się cicho. – Ale wiesz, często widzę je w snach. Mieszkam w małym domku na wydmach. Z kanapy słyszę łoskot fal. Wystarczy, że wstanę i zobaczę je przez okno.

Kacper zmrużył oczy. Zimny dreszcz przebiegł mu przez kark.

– Czasem schodzę na plażę po drewnianych schodach i siedzę na piasku do zmierzchu. Potem wracam. Słucham skrzywienia drewnianej platformy. A kiedy polne kwiaty przywiązane do kołatki uschną, wymieniam je na świeże.

Polne kwiaty przywiązane do kołatki.

Kacper uderzył go w obnażone oko. Męczyzna krzyknął. Frydrych usiadł mu na klatce piersiowej i bez opamiętania grzmocił go pięściami. Przedramieniem objął jego szyję wraz ze skórny naciekiem i ścisnął z całej siły. Marcin ślinał się i charczał, próbując złapać powietrze. Nagle ogromna siła uniosła Kacpra w powietrze i cisnęła nim o szafę. Wybił głową szybę w biblioteczkę i w deszczu tłuczonego szkła spadł na stos książek. Kątem oka zobaczył muskularną, wytatuowaną łydkę i spodnie dresowe zalane krwią. To Maciek Kania odzyskał przytomność.

Jednak nie związałem go najlepiej, jak umiałem, stwierdził w duchu Kacper.

W jego boku tkwił teraz kawałek szkła. Krew z rozbitego czoła zalała mu oczy. Podniósł rękę, jakby prosząc o łaskę, i wtedy olbrzymia pięść Macieja uderzyła go w policzek. Usłyszał chrupnięcie pękającej kości.

– Zabij go! Zabij go! Zabij go! – wrzeszczał Marcin Kania, skacząc po łóżku jak dziecko, które cieszy się z prezentu pod choinką. Nie był już niemrawym kaleką. Wydawał się Kacprowi bardziej żywotny niż większość znanych mu ludzi.

Olbrzym wziął kolejny zamach i trzasnął na odlew. Pokój zawirował. Kacper upadł, lecz zaraz spróbował dźwignąć się na kolana. Pochylny nad nim Maciej szykował się właśnie do następnego ciosu. Kacper, macając na ośle, trafił palcami na tkwiący w swoim brzuchu trójkąt szkła. Wyciągnął go i z rany chlusnęła krew. Zrobiło mu się słabo. Kiedy Maciej wypuścił kolejny cios, Frydrych wbił szkło w dłoń przeciwnika. Szklany ząb przesunął się w jego rękę, rozcinając skórę na kciuku i w zagięciach palców. Poczul ból, ale wiedział, że warto było wykonać ten ruch. Odłamek wszedł w pięść Macieja, dokładnie pomiędzy knykciem palca wskazującego i środkowego. Przeciwnik upadł, trzymając się za rękę. Otepiałym wzrokiem patrzył na dziurę w skórze, przez którą szkło weszło w jego mięsień. Kacper powoli wstał, przeskoczył nad Kanią i przytrzymując się zakrwawionymi dłońmi ścian, wybiegł z domu. Przy budzie nie było psów. Rozejrzał się. Nie dostrzegł żadnego. Podbiegł do ogrodzenia i zaczął wspinać się po siatce. Usłyszał za sobą tupot umięśnionych łap i sapanie. W ułamku sekundy bulterier zacisnął szczęki na jego łydce. Kacper ostatkiem sił skupił się, by dobrze wycelować kopnięcie. Niestabilna pozycja utrudniała mu zadanie. Zebrał siły i kopnął psa obcasem w oko. Zwierzę zaskomlało i puściło jego nogę. Frydrych zyskał sekundy potrzebne do wdrapania się wyżej i skoczył w ubity śnieg po drugiej stronie ogrodzenia. Pies, Cezar albo Sisi, ujadął głośno, tocząc pianę z pyska. Od twarzy Kacpra dzieliły go tylko ogniwa siatki. Mężczyzna wstał i zostawiając na śniegu krwawe ślady, ruszył przed siebie.

Szedł i tracił przytomność. Bolała go głowa, miał mdłości, rozbity policzek, rozcięte czoło, ranę po szkle w boku, rozszarpaną łydkę...

Dalej? Utopionego brata, zamordowaną matkę...

Ten mały potwór opisał przed chwilą jej dom...

Nerwica, depresja, bezsenność...

I pierdolony ojciec, którego nigdy nie było...

Zobaczył jeszcze błyskawicę na bezchmurnym niebie i usłyszał tę melodię, którą znał, ale nie potrafił sobie przypomnieć ani słów, ani tego, kto ją śpiewał. Był też ktoś jeszcze. Olbrzym. Ale wtedy obraz zaszedł już czernią i rozleżał się głośny, ciągły pisk.

3 lutego 2017

Pod sufitem wisiał przywiązany dratwą za uszy zajac z dziurą w brzuchu. Pod ścianą stały kuchenka węglowa, podłużny blat i kredens, po lewej znajdowało się okno w krzyżowej ramie, a przy nim fotel do czytania, stół, na nim zaś popielniczka z dymiącym się papierosem, talia kart, plastikowa Matka Boska, miseczka z ziarnami słonecznika i otwarta gazeta. Na kuchence stał garnek, z którego dochodził zapach mięsa. Po drugiej stronie pomieszczenia w ceglany kominku huczał ogień.

Kacper przesunął ręką po cieple i stwierdził, że nie ma na sobie nic oprócz majtek. Otworzył oczy. Rany były wysmarowane jakąś śmierdzącą maścią i zabandażowane.

– Halo? – Rozejrzał się po izbie.

Cisza. Po niecałej minucie poruszyła się płachta, zasłaniająca, jak mu się wydawało, kawałek gołej ściany. W rzeczywistości za płachtą było drugie pomieszczenie. Z ciemności patrzyły na niego przymrużone oczy Olgi. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym wyszła z za przepierzenia i podeszła bliżej. Jej twarz wykrzywił grymas pogardy.

Pamięta, jak jej przywaliłem, pomyślał.

– Boli? – zapytała.

– Szczypie. To jakaś specjalna maść?

Zignorowała go, podeszła do okna, otworzyła je i przywołała kogoś ręką.

Po chwili do izby wszedł Stach. Schylił się, by nie uderzyć głową o strop. Kacper przypomniał sobie, że zanim stracił przytomność, widział olbrzymia. Teraz ten uśmiechnął się dobrodusnie.

– Cholera, chłopie – rzucił. – Coś ty nawywijał? Wyglądałeś, jakby wjechał w ciebie czołg. Dobrze, że akurat tamtędy szedłem. I że jesteś lekki, bo kawał drogi cię niosłem.

– Bliżej byłoby do szpitala.

– Nie ufam szpitalom. Najlepszym lekarzem w Białej jest Olga. Ty ocaliłeś ją, a ja ciebie. Widać taki nasz los, że się wzajemnie ratujemy. Zjesz coś?

Kacper kiwnął głową.

Stach nałożył do miski gulaszu z zająca. Frydrych usiadł, a potem spróbował wstać. Zakręciło mu się w głowie.

– Nie wstawaj, jeśli nie masz siły.

– Mam coś do załatwienia.

Stach wziął go pod ramię i posadził na krześle.

– Pójdziesz znowu dać się obić?

Kacper nie odpowiedział. Stach przyglądał mu się bez słowa. Po jakimś czasie częściowo stracił zainteresowanie gościem. Jego spojrzenie co kilka chwil zawieszało się w jednym punkcie za oknem. Kacper zerknął tam kątem oka. Na podwórzu pod dwiema zrosniętymi wierzbami stał biały krzyż. Spojrzenia mężczyzn spotkały się w połowie drogi między oknem a stołem.

– Mieliśmy kiedyś syna – oznajmił Stach.

Kacper znowu spojrział na krzyż.

– To było tak dawno, że już go prawie nie pamiętam. Wspomnienia są niewyraźne. Jakby z jakiegoś innego życia, może wcale nie naszego.

– Jak to się stało?

– Utonął w rzece.

Olga przerwała siekanie ziół i przeżegnała się. Gdy Kacper dokończył posiłek, postawiła przed nim gliniany kubek. Napar cuchnął, aż Frydrychowi zebrało się na wymioty.

– Duszkiem – mruknęła.

Lekarstwo było ohydne, ale dodawało sił i redukowało ból szybciej niż morfina.

Kacper poczuł się lepiej. Kiedy wychodził od Porębskich, na dworze było już ciemno. Gęsty śnieg skrzął się w świetle latarni, osiadał na włosach, wpadał za rozchyłony kołnierz. Po drodze mężczyzna zobaczył bar, więc wstąpił, wypił dwie setki i ruszył dalej. Dotarł do domu, machnął ręką Elizie, która pisała coś na laptopie, bez słowa minął siedzącą w kuchni Królik i poszedł do swojego pokoju. Wyciągnął spod łóżka walizkę, otworzył ją i wziął do ręki leżącą na banknotach beretkę. Wyjął magazynek, sprawdził, czy są w nim naboje, przeładował, zaciągnął blokadę i schował broń za pasek. W kuchni wyjął z lodówki pęto kiełbasy i włożył je do kieszeni płaszcza. Królik spojrzała na niego pytająco, ale nie miała czasu, by cokolwiek jej tłumaczyć. Wyszedł na wirującą śnieżycę. Klucz do garażu wisiał na gwoździu obok rynny. Frydrych odpałił škodę i ruszył. Mrużąc oczy, wypatrywał drogi przez zamieć i ledwo poruszające się wycieraczki. Jechał wzdłuż nasypu, potem przez centrum i obok więzienia. Na wieży jak zwykle stał strażnik z papierosem. Kacper minął blokowisko i zatrzymał

samochód na poboczu po drugiej stronie góry, około dwustu metrów od ciemnego zarysu warsztatu i domu Kaniów. Przeszedł przez pole tą samą drogą, którą pokonał wczoraj w południe. Po zmroku wszystko wyglądało inaczej. Korony drzew na horyzoncie ugięły się pod naporem wiatru, który świszczał mu w uszach i sywał w twarz klującym śniegiem. W ciemności za jego plecami zniknęły zarysy blokowiska. Mężczyzna dotarł do ogrodzenia. Przez dziurę w banerze Mobil One zobaczył Sisi i Cezara warujące pod budą. Wiatr wiał w drugą stronę, więc jeszcze go nie wyczuły. Przełamał kielbasę na pół i przerzucił przez płot. Psy podbiegły do niej, rozejrzały się podejrzliwie, obwąchały mięso i zjadły. Zamerdały ogonami. Kacper chwycił ogniwo ogrodzenia z nadzieją, że po takim poczęstunku psy dadzą mu spokój.

Wtem oślepiło go ostre światło. Na drodze zjawiała się furgonetka. Powoli podjechała pod siatkę. Otworzyły się boczne drzwi i z auta wysiadł Emil Wielowiejski. Był ubrany po cywilnemu, w czarne spodnie z kieszeniami na bokach i kurtkę z kapturem.

– Zapraszam! – przekrzyzczał huk zamieci.

– Dziękuję! Tu mi dobrze! – odrzyknął Frydrych.

Emil poruszył ręką i Kacper zobaczył, że trzyma w niej pistolet. Zeskoczył więc i wszedł do furgonetki. W środku siedziały dwie postaci w kominiarkach i grubych kurtkach. Emil wskazał pistoletem, żeby Frydrych usiadł między nimi. Człowiek po prawej przesukał go i podał Emilowi jego pistolet. Kacper poczuł spod kominiarki woń kobiecych perfum i przypomniał sobie, że je zna. Takich używała policjantka, który poinformowała komendanta o telefonie od Anieli Sasnal. Ten po jego lewej był drobniejszej budowy i nie pachniał już tak dobrze.

To jej partner, ten wiecznie przejęty, pomyślał.

Furgonetka ruszyła i jechała wzdłuż lasu, który Kacper widział w oddali, idąc do Kaniów. Znał tę drogę. Przyjechał nią do Białej.

– Masz pozwolenie na tę broń? – zapytał Emil.

– A ty?

Policjant uderzył go ręką pistoletu w ranę na czole. Świeża krew przeciekła przez bandaż i zaczęła kapać na podłogę. Kiedy jechali przez most, Emil odkręcił szybę i wrzucił berettę do rzeki. Usłyszeli, jak uderza o cienką warstwę lodu. Jechali jeszcze przez dziesięć minut, aż w końcu furgonetka wjechała do lasu i zatrzymała się przed zwalonym drzewem. Policjanci w kominiarkach wyszli pierwsi. Emil wyprowadził Kacpra, trzymając go na muszce.

– Czekaj tu! – krzyknął do kierowcy.

Kierowca posłusznie zgasił silnik. Policjanci włączyli latarki i ruszyli między świerkami, przeciskając się przez gęste gałęzie. Kacper czuł, że ukąszenie na tydzie zaczyna pulsować. Lekarstwo Olgi przestawało działać. Po kilku minutach niewygodnego marszu doszli do okrągłej polany.

– Twoja twarz zwiastuje problemy – rzekł Emil. – W normalnym mieście, gdzie jest normalna policja, za posuwanie tej młodej skończyłbyś w pierdlu. Przecweliliby cię, a potem skończyliby z tobą. Albo sam byś ze sobą skończył. Ojciec jest już stary i miękki, ale kiedy on przejdzie na emeryturę, komendantem zostanę ja, a ja nie jestem taki pobłażliwy. Wiesz, czego najbardziej w tobie nie lubię? Twojego poczucia wyższości. Wydaje ci się, że jesteś lepszy od nas. Że nie dotyczą cię żadne zasady. Myślisz, że jeśli chcesz lizać się z dzieckiem, to możesz. I że możesz chodzić po mieście z bronią. Nachodzić ludzi. O wszystko pytać, a oni mają obowiązek odpowiadać.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie przyprowadziłeś mnie tu, by uczynić zadość sprawiedliwości – odparł Kacper spokojnie.

– Tak? To dlaczego w takim razie?

– Bo patrzyłem, jak twój ojciec miesza cię z błotem, i nic nie mogłem na to poradzić.

Policjanci w kominiarkach spojrzeli na siebie. Pierwsze kopnięcie trafiło Kacpra w brzuch. Ostry ból rozszedł się po wnętrznościach. Nie mógł złapać oddechu. Kolejne spadło na żebra. Następne na nerkę. Wijąc się i kuląc, starał się zasłaniać głowę. Dźwięki uderzeń i sapanie policjantów zaczęły przycichać. Kacprowi pociemniało w oczach. Znowu wpierdol. I znowu odpłynie. W takich chwilach doceniał to, że jego organizm nauczył się reagować utratą przytomności. Mechanizm przetrwania działał sprawnie.

Wszystko zniknęło.

Pnie świerków stojące w kręgu przypominały więzienne kraty. Szary świt powoli wypełniał przestrzenie między drzewami. Kacper spróbował się poruszyć. Jego ciało było sztywne od zimna. Siedział na ziemi przykryty warstwą śniegu, oparty o drzewo, z rękami wykręconymi do tyłu, skutymi za pniem kajdankami. Spróbował wzywać pomocy, ale przemarznięte gardło wydało z siebie tylko szmer.

¹² U kresu stoi zwyczajstwo (niem.).

ROZDZIAŁ XII

27 stycznia 2017

Marian Wielowiejski postawił na biurku dwie kawy, wcisnął się w fotel i zastanowił, dlaczego jeszcze nie kupił sobie większego. Nie miał czasu na nic poza pracą – odpowiedź równie prosta, co przygnębiająca. Oparł łokcie o blat i przesunął jeden z kubków w stronę czarnowłosej dziewczyny w zielonym swetrze. Starał się nie wpatrywać zbyt beczereonialnie w jej wytatuowane ręce i palce. Czaszka, nagrobek, tańczący szkielet, diabeł z grubym brzuchem, napis „NIC” i piesek, który mówi „FUCK PEOPLE”.

– Znałem pani ojca. – Uśmiechnął się do niej. – Występowaliśmy razem w teatrze amatorskim.

Dziewczyna złożyła usta w dzióbek i podmuchała na gorącą kawę.

– Jaki on był?

– Przecież pani wie. I dlaczego używa pani czasu przeszłego?

– Teraz już chyba nie wiem. Bo znaleziono psa z jego dłonią w pysku.

– Można przecież żyć bez dłoni, pani Anielo.

Dziewczyna wpatrywała się w niego miodowymi oczami błyszczącymi spod czarnej grzywki. Komendant odkaslnął.

– Pamiętam go tylko z młodszych lat. Był bardzo zabawny. Może trochę zbyt porywczy. Dużo się śmiał. Nie wiem, czy zmienił się od czasów naszej znajomości. Po ukończeniu szkoły widywaliśmy się sporadycznie. Raz leczył papużkę Emila, kiedy dostała zapalenia gardła.

– Wyleczył ją?

– Niestety, zdechła.

– Wie pan, dlaczego mama i ja od niego odeszłyśmy?

– Nie, nie do końca. Co nieco.

– Mówiła, że jest okrutny. Myślałam, że chodzi jej o polowania. Lubiłam ojca i kiedy się usamodzielniałam, zaczęłam go odwiedzać. Dobrze nam się spędzało razem czas. Kiedy przyjeżdżałam, nie polował. Zawsze był dla mnie życzliwy. I potrafił słuchać.

– Czyli pani mama nie miała racji?

– Kiedy przyjechałam, a jego już nie było, weszłam do chłodni i znalazłam tam naszego wilczura, Bendżiego. Miesiąc temu Bendżi jeszcze był zdrowy. Pomagałam ojcu przy zwierzakach, więc wiem, że ojciec założył mu kartę pacjenta, tak jak innym zwierzętom, które trafiały do lecznicy. Przejrzałam te karty i Bendżiego w nich nie było. Był za to wilczur o opisie identycznym jak Bendżi, ale wpisany jako Jerry. Opis podawał rozpoznanie wścieklizny i konieczność uspienia. Bendżi był szczepiony przeciw wściekliznie. Nie mógł zachorować.

– Nie łapię. Mówi pani, że ojciec zabił waszego psa i wpisał go do karty pacjenta pod innym imieniem?

Aniela kiwnęła głową.

– To absurd.

– Też tak myślałam. Ale przejrzałam dokumenty innych zwierząt i znalazłam to. – Aniela wyciągnęła z torby plik wymiętych kartek. – Proszę zobaczyć. Prawie co drugie zwierzę, które trafiło do lecznicy z rozpoznaniem jakiejś lekkiej dolegliwości, zostało uśpione. Widzi pan te adnotacje „nagle pogorszenie się stanu” i tak dalej? Wpisane hurtowo, tym samym długopisem. Sama nie wiem. Może zwariowałam.

Wielowiejski przeglądał dokumentację z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Czy może mi pani zostawić te karty?

– Tak – powiedziała, dopijając kawę. – Może nie mam racji. Mam nadzieję, że nie mam racji.

– Dowiemy się tego – odparł ze spokojem Wielowiejski.

Aniela podziękowała, założyła płaszcz i wyszła. Wielowiejski zacisnął szczękę, aż długopis pękł mu w ustach, brudząc zęby atramentem. Podszedł do lustra, poślinił chusteczkę i pocierał zęby oraz wargi. Leżący na stole telefon komórkowy zawibrował. Dzwoniła Eliza Szustak. Wielowiejski wyciszył go i wrócił do czyszczenia ust.

– Nie odbiera – powiedziała Eliza, kładąc telefon na kolanach. – Kurwa, dlaczego nie odbiera?

– Nie denerwuj się, mamo. Niedługo wróci.

– Zniknął wczoraj. Zaraz będzie wieczór. Przecież on tu nikogo nie zna, gdzie miał spędzić noc?

– Znając go, to może w szpitalu albo w areszcie?

– Już dzwoniłam. Nigdzie go nie ma.

– I co teraz zrobimy?

– Będziemy czekać.

4 lutego 2017

Piętrowa altana na terenie rodzinnych ogródków działkowych Róża przez jakiś czas służyła miejscowemu zielarzowi za dom. Miała doprowadzoną wodę, centralne ogrzewanie, kanalizację i prąd. Do parterowego budynku w kształcie kostki zielarz dorobił drewniane poddasze z dużymi oknami w dachu. Zrobił też werandę przed wejściem i zamontował dwie kamery, jedną na korytarzu, a drugą na drzewie, skierowaną na bramę ogródka. Kupił system alarmowy i podpisał umowę z firmą ochroniarską. W przypadku włamania grupa interwencyjna miała zjawić się w ciągu pięciu do dziesięciu minut. Uzdrowiciel był człowiekiem niedojrzałym, o trudnym charakterze i bez głowy do pieniędzy. Zaciągał kredyty na kolejne biznesy, a te upadały jeden po drugim. Kiedy do akcji wkroczył windykator, zielarz rozpląnął się w powietrzu, a altana została zlicytowana na aukcji komorniczej. Nowym właścicielem został syn komendanta.

Emil Wielowiejski skończył wiązać sznurowadła, wyprostował się, przetarł rękawem odznakę, założył czapkę z orzełkiem i przejrzał się w lustrze. Pomyślał o ojcu i tajemnicy, która ich łączyła. Odwrócił wzrok. Zawstydził się własnego spojrzenia. Tajemnica. Nie pozwalała żadnemu z nich odejść.

Powiedzieć komuś? Wzdrygnął się na samą myśl. Zerknął na monitor. Na obrazie z jednej kamery widział siebie, na drugim zaśnięzony ogródek, płot i prowadzącą do wyjścia z ogródków ścieżkę, którą przechadzał się teraz bezdomny kocur. Temperatura wzrosła prawie do pięciu stopni na plusie i chociaż słońce wciąż chowało się za chmurami, powietrze było ciepłe i zachęcało do spaceru. Emil spojrzął na zegarek. Do rozpoczęcia służby miał jeszcze cztery godziny. Pomyślał o kawie w Rynkowej, ale po chwili zmienił zdanie. Wyszedł z domu i za barokowym mostem skręcił w wąską uliczkę ciągnącą się wzdłuż starego muru obronnego. Nacisnął klamkę ciemnobrązowych drzwi z napisem Gospoda. Jego ulubione miejsce, dwuosobowy stolik przy oknie z widokiem na rzekę, było wolne. Kawa w Gospodzie nie była tak dobra, jak w Rynkowej, ale widok na rzekę i most, szczyty gór oraz niebo rekompensowały Emilowi niższą jakość napoju. Pulchny, zaczesany do tyłu barman z oczami klejącymi się z niewyspania przyjął zamówienie i po pięciu minutach zjawił się z dużą filiżanką czarnej kawy i osobnym spodkiem z herbatnikami. Dźwięk chrupania we własnych ustach nie pozwalał Emilowi cieszyć się całkowitą ciszą. Moczył więc herbatniki w kawie, czekając, aż rozmiękną, i dopiero wtedy je zjadał. Nie zwracał uwagi na barmana, który krążył po sali i co chwilę ziewając, przecierał stoliki brudną szmatką. Nie zwrócił też uwagi na dźwięk dzwonka przy drzwiach i kroki na schodach. Ktoś bez pytania odsunął drugie krzesło i przysiadł się. Emil rozchylił usta, ukazując okrucy przyklepione do zębów.

– Masz okrucy na zębach – powiedział Kacper, po czym nachylił się i szepnął: – Nie przebił lodu. Leżał na rzece.

W tym samym momencie policjant poczuł dotknięcie lufy na udzie, a Kacper sięgnął do kieszeni i położył na blacie starą monetę stułotową. Emil przekręcił ją w palcach i moneta się otworzyła – w środku znajdowała się sprężyna od zegarka. Wielowiejski spoglądał w zamyśleniu na rzekę. Lubił na nią patrzeć. Nawet z pistoletem wycelowanym w brzuch czuł się przy niej bezpiecznie, jak w dzieciństwie, zanim umarła mama i został sam z ojcem.

– Interesujesz się fotografią? – zapytał Kacper.

– Nie.

– Ja też nie. Jeden z chłopaków Elizy Szustak był fotografem. Znasz Elizę. Twój ojciec ją pieprzył. Mieszkam teraz u niej.

Emil złożył monetę i odłożył obok filiżanki.

– Znalazłem aparat tego gościa i poczułem wielką ochotę, żeby zrobić kilka zdjęć. To tak zwany aparat natychmiastowy. Wywołuje zdjęcie od razu. – Frydrych położył fotografie na stole i nakrył je serwetką. – Nie pokazuj barmanowi – mrugnął porozumiewawczo – bo zmieni o tobie zdanie.

Emil odwrócił jedno zdjęcie i zobaczył na nim siebie sprzed dwóch godzin, nago, w objęciach chłopca o mlecznej skórze i białych włosach. Zbladł. Przystał spoglądać na rzekę.

– Myślisz, że ten starszy wykorzystuje tego młodego? – wyszeptał Frydrych.

– To nie tak...

– Nie jak?

Emil uderzył dłonią w stół.

– Wszystko w porządku, panie aspirancie? – Barman przyglądał im się zza kontuaru, przecierając szklankę do piwa.

– Powiedz, że tak – szepnął Kacper, dźgając go lufą beretty w udo.

– Tak. Wygłupiamy się – wycedził Emil przez zęby.

Barman roześmiał się idiotycznie i wrócił do polerowania szkła.

– Spotykamy się od dawna. Chłopak tego chce. Jest już prawie pełnoletni.

– Jasne. Normalny, dojrzały związek. On planuje remont kuchni, a ty kupujesz mu bieliznę. Wierzę ci. A skoro ja ci wierzę, to twoi koledzy z pracy też ci uwierzą. Czy nie?

– Czego chcesz?

– To jest wielkie pytanie. Czego ja chcę? Wielu rzeczy. Ale postawmy na jakość i skupmy się na jednej. Gdybyś zapytał mnie o to jeszcze kilka godzin temu, powiedziałbym: zaciągnąć cię do lasu i rozpiardolić ci łeb. Ale potem pomyślałem, że jest coś, czego chcę bardziej. Chcę się spotkać z człowiekiem, którego zamknęliście za handel policyjną dokumentacją.

– On już nie siedzi.

– Tym lepiej. Zaprowadzisz mnie do niego.

– I to wszystko?

– To wszystko. Skoro uważasz, że to mało, tym bardziej jest mi przyjemnie. Nie jestem chciwy. – Kacper znów dźgnął go lufą w udo. – Jeśli chociaż przez chwilę pozwolisz mi pomyśleć, że coś kombinujesz, zastrzelę cię bez mrugnienia okiem. A jeśli z jakiegoś powodu nie zdołam tego zrobić, ktoś zanieśnie na komendę drugą pulę tych zdjęć.

– Błefujesz.

– A tobie trzęsą się ręce.

8 godzin wcześniej

Eliza leżała na boku, przykryta kołdrą do pasa. Słyszała szuranie otwierających się drzwi i miękkie kroki na wykładzinie. Poczula, jak materac ugina się pod ciężarem Kacpra. Rozległo się skrzypienie sprężyn i długie, bolesne westchnienie. Leżeli odwróceny do siebie plecami. Przekręciła głowę, by na niego popatrzeć. Był blady, zakrwawiony i brudny. Dotknęła jego dłoni. Była zimna jak lód. Cofnęła rękę i zamknęła oczy.

– Mówiłaś, że wiesz dużo o komendancie. I że dlatego musi być dla ciebie grzeczny.

– Tak jest.

– A co wiesz o jego synu?

– Czy ty nie miałeś wyjechać? – usłyszał jej przytłumiony głos w ciemności.

– Miałem. Ale najpierw musisz mi w czymś pomóc.

– Muszę? A co dostanę w zamian?

Zaległa długa cisza. Eliza odrzuciła kołdrę, odsłaniając pośladki i nogi. Czekała, patrząc na regał przed sobą. Po chwili poczuła jego oddech na karku. Dotyk palców na brzuchu. Rozchyliła usta i przygryzła wargę. Kacper, dotykając jej w ciemnościach, próbował nie myśleć o Nili.

Na budynku widniał napis: „DO ROZBIÓRKI”. W oknach tkwiły wiórowe płyty. Kiedy weszli do środka, czujnik zapalił światło. Drzwi na końcu korytarza były wyraźnie nowsze i solidniejsze od innych. Emil nacisnął przycisk dzwonka i spojrzął przez ramię na Kacpra. Jego twarz była tak blada, że ledwo widział ją na tle białej ściany. Utykał mocno na prawą nogę i często chwycił się za skronie. Emil kilkakrotnie rozważał rzucenie się na niego i odebranie mu broni, lecz zabrakło mu odwagi. Stał teraz z uchem przytkniętym do drzwi i nasłuchiwał.

– Chyba go nie ma.

– Wyważaj – rozkazał Kacper. Był rozkojarzony. Guz naciskał na skroń. Irytowały go iskierki skaczące przed oczami. Chciało mu się rzygać.

Emil kilka razy kopnął drzwi, ale nie ustąpiły.

– Odsuń się. – Kacper odepchnął go na bok i przestrelił zamki.

Wielowiejski skulił się i skrył głowę w ramionach.

– Mogliśmy przecież dostać rykoszetem – wysapał przerażony i wściekły.

Frydych zignorował go i wszedł do środka. Okna były zasłonięte. Odsunął ciężką, zakurzoną kotarę podobną do kurtyny w teatrze i do pokoju wpadło światło. Zobaczyli dziesiątki pudeł z dokumentami, segregatory, teczki, stopy kartek, rozwieszone na ścianach raporty i protokoły z miejsc zbrodni, zapisy z przesłuchań, zdjęcia pistoletów, sznurów, tasaków i noży, twarze podejrzanych i skazanych.

– Szukaj – rozkazał Kacper.

– Oszalałeś. Jak mam tu coś znaleźć?

– Przyjrzyj się. Wszystko jest uporządkowane.

W przeciwieństwie do szkolnego archiwum rozmieszczenie dokumentów w domu Eryka Żałuskiego dawało jedynie złudzenie chaosu. Wszystkie pudła i teczki ułożone były w precyzyjnym porządku, skrupulatnie podpisane, ponumerowane i oznaczone datą. Emil krążył po pokoju, robiąc duże kroki nad stosami papieru. W końcu przykucnął przy pudle z napisem „1978, LIPIEC”. Kacper nie spuszczał go z muszki, gdy ten w skupieniu przewracał kartki. W końcu Emil wyprostował się, trzymając w ręku plik wymiętych dokumentów spiętych niedbale zszywkami.

– To chyba to.

Kacper wyrwał mu raport i zaczął czytać, ruszając ustami i mrużąc oczy z bólu. Teraz wszystkie drobne aluzje, urywki informacji i domysły, które zbierał, zaczynały łączyć się w całość. Przypomniał sobie słowa Majora: „Był jakiś świadek i jakieś zeznania, ale koniec końców sprawa zdechła”.

Patrzył teraz na dwa krótkie słowa: imię i nazwisko człowieka, który miał przy sobie ostatni kawałek układanki. Czytając, opuścił rękę z beretką. To był ten moment. Emil chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu ramię do tyłu. Ból jak impuls elektryczny przebiegł od barku do palców. Kacper rozluźnił uchwyt na rękojeści pistoletu. Emil przejął broń i kopnął Kacpra w plecy, a on runął na podłogę, uderzając czołem o panele. Rana, której dorobił się w bóje z Maciejem Kanią, znów się otworzyła.

Ile razy jeszcze?, przeszło mu przez myśl. Spojrzał za siebie. Emil celował mu w głowę.

– Pamiętaj o zdjęciach – przypomniał mu.

– Nie ma więcej zdjęć. Patrzysz w prawo, kiedy o nich mówisz. Nie byłbyś dobry w pokera.

Kurwa, pomyślał Kacper. Nie potrafił kłamać. Twarz Emila drżała z wściekłości. Kacper zamknął oczy. Spróbował przywołać w myślach Nilę. Zobaczył ją na patio domu na Tilos. Stała odwrócona do niego plecami i patrzyła na morze. Na horyzoncie szalała burza. Zawołał ją, ale dziewczyna nawet nie drgnęła.

Wielowiejski pociągnął za spust. Rozległo się ciche kliknięcie i nic więcej się nie wydarzyło. Nacisnął jeszcze raz i następny. Siła przyzwyczajenia. Emil nigdy nie zabezpieczał spustu. Kacper zawsze. Dopadł do niego, wytrącił mu broń i uderzył go pięścią w nasadę nosa. Policjant cofnął się o kilka kroków i zamrugał, jakby właśnie się obudził. Zanim Kacper uderzył go ponownie, Emil zdążył zrobić unik. Złapał go za kurtkę i spróbował przewrócić. Kacper chwycił go za szyję i upadli obaj. Leżąc na podłodze, wymierzali sobie ciosy. Z rozbitych ust i nosów lała się krew. Emilowi udało się trafić Kacpra w ucho. Wykorzystał jego zamroczenie i usiadł mu na brzuchu. Teraz uderzał precyzyjnie. Jedne ciosy udawało się Frydychowi blokować, drugie spadały z impetem na jego

szczękę, oczy, usta i nos, roztrzaskując je na miazgę. Emil podniósł się wyżej na kolanach, żeby wydłużyć uderzenie, a wtedy Kacper, wspierając się na łokciach, cofnął się o kilka centymetrów i kopnął go w krocz. Aspirant jęknął. Frydrych uderzył go od dołu w zęby i poczuł, jak jedyński Wielowiejskiego wbijają mu się w knykcie. Krzyknął z bólu, ale nie ustąpił i uderzył znowu w to samo miejsce, tym razem frontalnie, wbijając zęby do środka. Jeden z nich wpadł policjantowi do tchawicy. Emil charknął i złapał się za gardło. Kacper zrzucił go z siebie, uklęknął na jedno kolano i jego oczy znalazły się na wysokości blatu biurka. Ujrzał tam długopis, sięgnął po niego i wbił Wielowiejskiemu w szyję. Gruba struga krwi trysnęła mu w oko. Ciało aspiranta plasnęło na stos papierów i podrygiwało w agonii, rozmazując krew po podłodze.

Kacper usiadł i podniósł wzrok. Pokój wirował. W drzwiach stał brodaty chudzielec w wełnianej czapce i poplamionej kurtce. Na nosie miał sklezione taśmą okulary, a w rękach trzymał dwulufowy obrzyn. Patrzył bezradnie na umierającego Wielowiejskiego.

– O ku... kurwa – wyjąkał. – Za... zajebałeś Eee... mila...

Kacper wyrwał beretę z dłoni aspiranta i nadal siedząc na podłodze, wycelował w chudzielca. Rozpoznał go. To był bezdomny, który czytał Celine'a.

– Lu... Lupara – rzekł brodac, podnosząc obrzyn. – Od włoskiego *lupo*, czyli wilk. Sycylijscy my... myyśliwi chronili nią stada ooooooowiec przed wilkami.

– Ładnie mieszkasz jak na bezdomnego – wycedził oszołomiony Kacper.

– Ciii. – Mężczyzna przyłożył brudny palec do ust. – Nie zdradz mnie.

– Niby komu miałbym cię zdradzić?

– Im. – Załuski zatoczył palcem łuk po zdjęciach przestępców. – Wiesz. Jeśli sprzeda-da... dajesz informacje jeeeeednym, to drudzy czasem zni... zniikają be... be... bez śladu. A drudzy mają przy... przyjaciół, którzy chcieeeliby wiedzieć, skąd ci pie... pieeerwsi wiedzieli, gdzie szu... szu... szu... szukać drugich. Kapujeeesz? – Szturchnął nogą martwego Emila. – Ale ma... ma... martwy pie... pies to już za za za wiele, nawet jaaaa... jaaaak dla mnie. Mu... mu... muszę się go po... pozbyć. I zni... zniknąć.

– Poczekaj.

Kacper podniósł z podłogi raport, rękawem otarł go z krwi i podał Załuskiemu. Brodac przeczytał kilka zdań i potrząsnął głową.

– A, to... to ta spr... sprawa – powiedział, jakby chodziło o coś zupełnie oczywistego.

– Ta sprawa?

– Chło... chłoooo... chłopak, który prze... przeżył pooooożar. Kiedy siedziałem w pi... piiii... pierdłu, gliniarze za... za... za... zameczali mnie oooo nią w nie... nie... niesko... kończoność. Przeszukali mo... moje po... po... po... pokazowe mie... mieeeeszkanie, w któ... któ... któ... któ... któ... Kurwa! W którym trzymałem tylko dokumenty o mniejszej wartości. Pra... prawdziwa skarbnica jest tu... tu... tutaj.

– Nie powiedziałaś im?

– A skąąą. Sko... sko... skoro była dla nich tak wa... wa... ważna, musiała być dużo wa... waaaaarta. Chcia... chciałem ją sprze... sprzedać ko... komuś, kto da więcej, kiedy już wyyyjędę z pie... pie... pieeeerdla.

– Ktoś się zgłosił?

– Bracia Ka... Kania. Ale nie mie... mie... mieli tyle, iille zażądałem. Pró... próbowali mnie stra... straszyc. Po wyjściu z więzienia wie... wie... wielu ludzi próbowało mnie stra... straaaszyc.

– Skąd Emil wiedział, że tu mieszkasz?

– Mieliliśmy uuuukład. On mnie chronił, a ja nie wygadałem niikiikomu o jego bliskich ko... koontaktach z ojcem. Zbyt bliskich.

– Z Marianem?

– Komendant lu... lu... lubi chło... chłopców. Ale jest nie... nie... nieśmiały. I przezorny. Jest tutaj zby... zbyt znaaany, żeby mieć ko... kochanka i utrzymać to w ta... tajemnicy. Po śmierci żo... żony pewne jej oobooowiażki względem męża prze... prze... przejął jego syn. – Załuski podszedł do okna i nerwowo obserwował spokojny dzień na zewnątrz. – Mo... mo... żemy się pospieszyć? Mam spo... sporo pracy.

– Kiedy czytałeś książkę, chyba się nie jąkałeś – zauważył Kacper.

– Bo kie... kie... kiedy czy... czytam, to się nie ją... jąkam.

– Powiedz mi, gdzie mieszka człowiek, o którym jest mowa w raporcie.

– Na pe... pe... pewno chcesz wiedzieć? Po... po... po... popatrz na mnie. Ja też by... by... byłem takim gościem, co chciał wszy... wszy... wszystko wiiiieeedzieć.

Kacper spoglądał na niego wyczekująco. Załuski chrząknął teatralnie, odczekał dłuższą chwilę i wyjaśnił Kacperowi, dokąd iść.

Poszarpana łydka bolała nie do wytrzymania. Kacper co chwilę zatrzymywał się, żeby dać nodze odpocząć. Starał się o niej nie myśleć. Zaciśkał zęby tak mocno, aż chrupnął mu staw w żuchwie, rozpalając kolejne ognisko bólu.

Kurwa, kurwa, kurwa!, powtarzał w myślach z każdym kolejnym krokiem.

Siedzący na ławce Cyganie patrzyli na niego i szeptali między sobą.

– Wszystko dobrze, człowieku? – zapytał jeden.

Kiwnął głową i szedł dalej. Zobaczył swoje odbicie w szybie samochodu. Krew z ponownie rozbitego czoła spłynęła grubą strugą aż do brody i zaschła. Opuchlizna po ciosach Macieja Kani, poprawiona jeszcze przez Emila, zdeformowała mu policzek i okolice oka. Podczas bójki otworzyła się też rana na brzuchu i teraz Frydrych czuł, jak ciepła krew spływa pod koszulką i wsiąka w majtki. Zachwiał się na nogach. Wyszedł z osiedla domków jednorodzinnych na rozległe pole. Pod lasem, w oddali, stało gospodarstwo, o którym mówił Załuski. Kacper szedł na przełaj, potykając się i zataczając, a w głowie znów miał pustkę, wiatr i słońce, tak jak wtedy, gdy szedł do domu na wydmach. Gospodarstwo było ruiną. Dach stodoły zawalił się do środka. Przez wielką dziurę sterczały połamane krokwie, strzępy siana i pasy porwanej papy. Zaschnięte pnącza wypelzały ze studni, oplatając kołowrotek i wiadro na wodę. Sznur rozłożył się, zostawiając po sobie czarny pas zgnilizny na murowanej krawędzi. Na dachu domu siedziały wrony. Kacper położył rękę na kieszeni kurtki i zaklął. Po wyjściu od Załuskiego wrzucił pistolet do studzienki. A przecież mógł mu się jeszcze przydać. Nie myślał racjonalnie. W jednej chwili poczuł osłabienie, jakby ktoś wyjął z niego wszystkie baterie. Usiadł na krawędzi studni i zobaczył błysk na horyzoncie.

Zaczyna się.

Usłyszał grzmot przetaczający się nad polami. Jasne niebo zasnuły chmury. Zaczęło padać. Kacper wbił sobie paznokieć pod paznokieć kciuka drugiej ręki, aż do krwi. Kiedy to robił, burza zniknęła, a kiedy przestawał – pojawiała się znowu. Usłyszał kroki. Ktoś chodził po domu. Cisza, a po chwili suchy kaszel. Stare drzwi, z których zesła już prawie cała farba, otworzyły się i stanął przed nim człowiek z brodą.

Dlaczego w tym mieście nikt się nie goli? O co w tym chodzi?

Mężczyzna trzymał butelkę, miał wypieki na twarzy i opadniętą powiekę. Kacper przyglądał mu się przez strugi deszczu. Był trochę podobny do człowieka, którego zabił.

– Czego tu, kurwa, chcesz? – Dziad podniósł stojącą na progu siekiere.

– Szukam pana Wolańskiego.

– No to znalazłeś. – Wolański podszedł bliżej. Stanęli naprzeciwko siebie. – Coś niedobrze wyglądasz, chłopcze – stwierdził. – Jesteś chory?

– Tak jakby... – wysapał Kacper. – Z całym szacunkiem, pan też nie wygląda najlepiej.

Dziad przyglądał mu się bacznie spod opuszczonej powieki. Deszcz wzmógł się. Wrony odleciały.

– Pamięta pan... – Kacper nie mógł złapać oddechu. – Pamięta pan pożar lasu w lipcu siedemdziesiątego ósmego?

– A i owszem. Ale posłuchaj, napij się najpierw, bo się przewrócisz.

Kacper pociągnął łyk. Zawartość butelki smakowała jak płyn do chłodnicy. Trochę przełknął, resztę wypluł.

– Co to ma być?

– Lek na wstręt. – Wolański wypił duszkiem jedną czwartą. – Pamiętam pożar.

– Tu jest napisane, że kiedy stodoła płonęła, widział pan człowieka uciekającego w stronę miasta.

– Widziałem. Wszystko powiedziałem glinom.

– Kim był ten chłopak? Znał go pan?

– Każdy go znał. To był młody Wielowiejski.

– Niemożliwe. Emila nie było wtedy na świecie.

– Marian Wielowiejski. Nasz komendant. Wtedy jeszcze zwykły szczyk.

– Dlaczego pan tego nie zeznał?

– Zeznałem.

Kacper szybko przebiegł wzrokiem po raporcie.

– Nie ma o tym ani słowa.

– Jasne, że nie ma.

– Co to znaczy?

– W latach siedemdziesiątych komendantem był stary Walery Wielowiejski, ojciec Mariana. Na młodego czekała już posada i perspektywa kariery. Ojciec nie dałby mu wdepnąć w takie gównno. Marian zeznał, że cały dzień spędził w domu tej... no. Taka młoda dziewczuszka. Bardzo bystra, dobra uczennica. O, pamiętam. Baczewska. Halina.

– Helena.

– Kiedy zeznał, że był wtedy u niej razem z Sasnałem, dla starego Wielowiejskiego sprawa była zamknięta. Nikt dalej nie drążył.

– Nie chciał pan powiedzieć prawdy?

– Jakiej prawdy? Widziałem, jak gnojek biegł przez las. To nie przestępstwo.

– A Marcin Kania? Nie było go panu szkoda?

– Jasne, że było. Ale nie aż tak, żeby się pchać do sądu. Człowiek nie jest kryształowy. Jakby mnie zaczęli sprawdzać, cholera wie, co by znaleźli. Lata później, kiedy jego rodzice odeszli na tamten świat, prawa do opieki nad poparzoną dostali jego bracia. Nieciekawe typy. Chcieli wznowić sprawę. Prosiли mnie, żebym zeznał, że tamtego dnia widziałem Mariana w lesie. Postukałem się tylko w głowę. Już raz powiedziałem prawdę i nic z tego nie wyszło.

- Pokaże mi pan tę stodołę?
- Stodołę już nie ma. Teraz tam stoi wozownia leśników.
- I tak chcę ją zobaczyć.
- No to chodźmy. Rozprostuję sobie kości.

Stary ruszył przodem, popijając lek na wątrobę. W drugiej ręce trzymał siekiere.

- Na wszelki wypadek – powiedział i machnął nią Kacprowi przed nosem.

Przy drzewie zaznaczonym do wycinki pomarańczową kropką skręcili w prawo. Weszli na gęstą ściółkę rozmokniętą przez stopniały śnieg i szli przez zarośla, a las wokół nich stawał się coraz rzadszy. Wozownia była parterowym barakiem z podgniętego drewna, z blaszanym dachem, bez okien i drzwi, za to z dużą, dwuskrzydłową bramą, zamkniętą i przewiazaną łańcuchem.

– To miejsce nie ma szczęścia – skomentował Wolański. – Raz zniszczone przez ogień, drugi raz przez zapomnienie. W środku pewnie nadal stoją przyczepy. O, zobacz pan. – Pochylił się i podniósł łuskę pocisku. – Niemiecki. Ziemia tutaj cały czas pracuje. Co rusz wyrzuca jakieś skarby, kiedy grunt podmoknie.

Kacper patrzył w niebo przez korony drzew. Burza ustawała. Może tylko na chwilę, a może na dłużej. Nigdy tego nie wiedział. Niemiecki nabój przypomniał mu o Monachium. Już niedługo. Już prawie koniec, pomyślał. Podszedł do bramy i położył dłoń na łańcuchu.

- Wejdziemy?

Wolański przeciągnął łańcuch przez uchwyty, tak by wydstać na wierzch zaplątaną w niego kłódkę, a potem zamachnął się siekiere. Po wypiciu połowy butelki leku na wątrobę ledwo trzymał się na nogach. Walił gdzie popadnie, klnąc i sapiąc. W końcu ostrze siekiery padło na osłabione przez rdzę jarzmo i metal pękł. Otworzyli bramę i od razu poczuli smród stęchlizny. Do środka wpadło światło. Ujrzeni dwie zbutwiałe drewniane przyczepy na sflaczałych oponach, kilka beczek, narzędzia i zgniecione puszkę po piwie. Ktoś zaoszczędził na wylewce, więc wozownia nie miała podłogi. Z podmokłej ziemi wyrastały uschnięte pędy, a po ścianach wspinał się grzyb.

– To prawda, co ludzie mówią? – zapytał Wolański, próbując odpalić papierosa. – Że tego chłopaka przed pożarem... No wie pan...

- Nie wiem.
- No, że ktoś go tego...
- Ludzie tak mówią?
- Lekarz, który go operował, tak powiedział. Wygadał się przy kieliszku.
- Nie wiedziałem o tym. Co z tym lekarzem?
- Cholera wie. Niedługo po tym, jak się rozgadał, wyjechał z całą rodziną. Co pan tam masz?

Kacper podniósł coś, wyszedł z wozowni, stał palcami błoto i obejrzał przedmiot pod światło. Klapka z głową orła.

– Coś takiego... – Wolański patrzył na klapkę, mierząc brodę. – Ja znam tego orła. Uwierzysz pan?

- Dzisiaj uwierzę chyba we wszystko.

Kacper czuł, jak zimno wypełnia jego ciało od stóp do karku.

– Marian Wielowiejski to był kiedyś, można powiedzieć, trochę chuligan. Raz wybił mi szybę kamieniem, a ja go przyłapałem. Jak się o tym dowiedział jego ojciec, przyprowadził go do mnie i powiedział, że gówniarz będzie mi teraz pomagał przy gospodarstwie. Co tylko sobie wymyślę, to on

zrobi. No to powiedziałem, żeby mi z całego pola powyrywał chwasty. W cholere tego było. Młody był wściekły jak osa, ale bał się starego, więc wziął się do roboty. W przerwach siadał tu, na tej studni, i palił fajkę. Używał właśnie takiej zapalniczki. Z orłem. Powiedział mi w tajemnicy, że skubnął ją Waleremu. – Wolański zaciągnął się głęboko, a potem zrobił zdziwioną minę, jakby przypomniał sobie coś bardzo ważnego. Rozległ się świst i z jego skroni popłynęła krew. Ciało zważyło się na ziemię jak worek kartofli.

Za nim, w odległości dziesięciu metrów, stał komendant Wielowiejski w jasnych dżinsach i zielonej kurtce z polaru. Z lufy zakończonej tłumikiem wydostawał się dym.

– Widzę, że Emil sobie nie poradził.

– Emil nie żyje.

– Rzuć mi to.

Kacper rzucił mu klapkę. Komendant złapał ją i schował do kieszeni.

– Kto by pomyślał, że ziemia okaże się donosicielem? Nawet przyrodzie nie można już ufać.

– Zgwałciłeś Marcina i podpaliłeś stodołę. Moja matka i Sasnał potwierdzili twoje alibi, a twój ojciec ukręcił sprawie łeb. Ale bracia Kaniowie już wiedzą. Zabiją cię, tak jak zabili Sasnała i moją mamę.

– Nie, Kacper. Nikt mnie nie tknie. Ci durnie chodzą wolno tylko dlatego, że im na to pozwalam. A teraz odwróć się. – Wielowiejski wyciągnął z kabury drugi pistolet. – Muszę cię zabić podczas próby ucieczki.

Frydrych tylko na niego patrzył.

– Zastrzeliłeś Wolańskiego, a ja zastrzeliłem ciebie, kiedy uciekałeś – wytłumaczył komendant. – Dlatego strzał musi być w plecy.

– Nie zrobisz tego.

– Odwróć się.

Kacper wykonał rozkaz. Z tej sytuacji nie wybawi go sprężyna schowana w monecie ani zaciągnięty bezpiecznik.

Zabawne. Gdyby został na autostradzie, nie poznałby prawdy o matce, ale by żył. Czy ta prawda była aż tak potrzebna? Helena Baczevska zginęła, bo chroniła przyjaciela, który zgwałcił dziecko. Nigdy o tym nie zapomniała. Czas nie leczy takich ran. Pod maską troskliwej pani domu nosiła w sobie mrok, który po kawałku ją pożerał. Tragiczne. Komiczne. Nijakie. Trzeba było jechać do Monachium. Zadbąć o siebie, a nie o zmarłych. Póki jeszcze sam nie jest jednym z nich. Za plecami usłyszał pacnięcie, jakby coś ciężkiego spadało z drzewa. Obrócił się szybko. Wielowiejski leżał na ziemi, a w jego szyi tkwiła strzałka zakończona piórkami. Widział takie w lecznicy Sasnała. W ich stronę szedł Marcin Kania ubrany w dresowe spodnie, bluzę z kapturem i czapkę z daszkiem.

– Ty też się teraz prześpisz, a potem obejrzymy przedstawienie. Wszak nasz przyjaciel Marian był kiedyś aktorem.

Świst, lekkie ukłucie w klatce piersiowej. Kacper osunął się na ziemię. Ogarnęło go przyjemne ciepło. Spokój. Cisza.

Otworzył jedno oko, potem drugie. Znów był przywiązany do drzewa. Piętnaście metrów przed nim, oparty o ścianę wozowni, siedział Marian Wielowiejski. Był zupełnie nagi, ręce miał przykute

kajdankami do drzwi chałupki. Marcin Kania skończył oblewać go benzyną i rzucił pusty galon między wozy.

– Tak się to robi – zwrócił się do nieprzytomnego. – Nie zostawia się kanistra pod kupą liści. – Na widok przebudzonego Kacpra uśmiechnął się i pomachał mu ręką jak koledze przypadkowo spotkanemu w knajpie. – Gotowy? – zawołał.

– Nie chcę tego oglądać.

– Nie rób mi tego. Napracowałem się... Marian! – wrzasnął Wielowiejskiemu do ucha i poklepał go po policzku. – Marian, wstawaj! Pali się!

Wielowiejski mruknął i poruszył głową. Otworzył oczy. Zobaczył swoje ręce skute kajdankami, swój nagi brzuch, stojącego nad nim Kanię. Zdumienie szybko zmieniło się w przerażenie, a przerażenie w krzyk.

– Błagam, błagam, błagam! Nie!

– Wiedziałem, że będzie improwizować – powiedział Kania do Kacpra, po czym kopnął komendanta w twarz i wcisnął mu w zakrwawione usta kawałek szmaty. Z kieszeni wyjął zapalniczkę z orłem. – Zobacz. – Przystawił ją Wielowiejskiemu do twarzy. – Jak nowa. Dorobili nawet klapkę. Chociaż widzę, że znaleźliście już tę oryginalną. Jubiler powiedział, że taniej wyjdzie kupić nową, ale wytłumaczyłem mu, jak ważne jest, żeby to była właśnie ta. Widzisz, jaka ładna? Musiałem też wymienić cały mechanizm, krzesiwo, watę i lont. Wszystko było zgniłe i do niczego. A teraz... – Marcin potarł palcem zębatkę zapalniczki i pojawił się mocny, niebieskożółty płomień.

Zduszony krzyk Wielowiejskiego przez szmatę brzmiał jak wołanie z dna studni. Marcin przestał się uśmiechać. Płomień zapalniczki odbijał się w jego nagiej gałce ocznej. Cofnął się o kilka kroków i rzucił zapalniczkę w kałużę benzyny. Płomień momentalnie wspiął się po nogach, brzuchu i klatce piersiowej komendanta, oplótł jego głowę i ramiona. Wielowiejski zaczął rzucać się i wyrywać jak wystraszony koń. Pierwsze spaliły się włosy. Ogień szybko pożerał skórę, która rozpływała się i różowiła, skwiercząc. Płomienie połączyły szmatę w jego ustach i uwolniły krzyk, który zmieniał barwę i natężenie, jakby wewnątrz Wielowiejskiego krzyczało wielu ludzi. Kania przysiadł się do Kacpra i zapalił papierosa. Drugiego włożył w usta Kacprowi. Palili i patrzyli. Nad ich głowami szumiały gałęzie. Kacper zaczął coś mówić z papierosem w zębach. Marcin wyjął papierosa z jego ust i zaciągnął się oboma naraz.

– Zabiłeś ją? – zapytał Frydrych.

Kania wzruszył ramionami i splunął. Wielowiejski nadal wił się i wrzeszczał.

– Obserwowałem ją przez wiele dni. Mieszkała sama. Każdy jej dzień wyglądał podobnie. Rano szła do sklepu, pracowała na kasie. Przez sześć dni w tygodniu po osiem godzin sprzedawała wódkę, ocet, chińskie zupki i drożdżówki. O piętnastej odwieszała czepek i fartuch, wypalała papierosa ze swoją zmienniczką i wracała tą samą drogą. Wstępowała na chwilę do domu, żeby coś zjeść. Potem szła nad morze. Spacerowała albo siedziała na piasku do zmroku. Wypijała lampkę wina, w gorsze dni całą butelkę i szła spać. Jednego wieczora, kiedy wracała z plaży, wszedłem za nią do domu. Jej reakcja na mój widok zdezorientowała mnie. Nie zobaczyłem w niej strachu, tylko ulgę. Powiedziała: „Nareszcie jesteś. Zabij mnie wreszcie”. Miała tyle czasu, żeby sama to zrobić. Zapytałem, dlaczego czekała. Bała się odebrać sobie życie. Tak jak bała się powiedzieć policji, że w dniu, kiedy wybuchł pożar, nie było u niej Wielowiejskiego. Groził jej. Przyjeżdżał do niej niby w odwiedziny. Potem przestał przyjeżdżać, ale co jakiś czas dzwonił, żeby wy badać, czy nie zmieniła zdania, czy wyrzuty sumienia nie popchną jej do zmiany zeznań. To ją przerosło. Wyjechała. Zamieszkała u przyjaciela, którego poznała w teatrze.

Jeśli cię to pocieszy, nie byli kochankami. Facet był chyba ciotą czy kimś takim, w każdym razie nie podniecały go kobiety. Po kilku latach ciężko zachorował i zmarł. Została sama. Zrobiło mi się jej żal. Popatrzyłem na swoje życie i na jej życie i pomyślałem, że są równie spierdolone. Powiedziała, że przy mnie już się nie boi. Siedziałem przy stole naprzeciw niej, kiedy przecinała sobie nadgarstki. Chwilę jeszcze rozmawialiśmy. Poprosiła, żebym znalazł wasze wspólne zdjęcie. Przeszukałem wszystkie szuflady, wszystkie szafy, ale były puste. Nie było nawet jedzenia w lodówce. Jakby przeczuwała, że koniec jest bliski i zawnazasu pozbyła się wszystkiego. Znalazłem tylko to zdjęcie z teatru.

Kacper patrzył w ziemię.

– Życie w strachu i świadomość własnej słabości były dla niej największą karą za to, co mi zrobiła. A raczej czego nie zrobiła. Wystarczyło powiedzieć prawdę: że Wielowiejskiego nie było u niej osiemnastego lipca.

Marian stracił przytomność. Ogień odrywał płaty skóry od jego ciała, obnażając mięso.

– A Sasnal? – zapytał Frydrych.

– On też się bał Wielowiejskiego. Również poświadczył na jego korzyść. – Marcin zgasił oba papierosy w błocie.

– Co mu zrobiłeś?

– Nakarmiłem nim psy.

– Psy nie jedzą ludzi.

– Jesteś jakimś znawcą psów?

Kacper pokręcił głową.

– A podpalenia?

– To miał być znak. Taka ukryta wiadomość dla Mariana i Wiktora. Żeby zaczęli się bać. Ale nie zrozumieli jej. Po tylu latach czuli się już bezpieczni i bezkarni. Ale wszystko wraca. Nie warto tracić czujności.

Wielowiejski tlił się jeszcze. Ciało było czarne i kopcilo się gęstym dymem. Deski, do których był przykuty, też zajęły się ogniem. Marcin wstał i poprawił spodnie.

– Nie najlepiej wyglądasz, Kacperze Frydrychu. Odpowiesz mi uczciwie na jedno pytanie?

– Spróbuję.

– Czy ty umierasz?

Kacper zdziwił się, że Kania to wie.

– Mam raka mózgu.

– Raka mózguuu... – powtórzył, przeciągając ostatnią głoskę. – Czy to bardzo boli?

– Nie tak bardzo, by nie poradziła sobie z tym morfina.

– Moje ciało bolało mnie bez przerwy przez trzydzieści dziewięć lat. Z czasem uodporniłem się na każdy dostępny środek przeciwbólowy. Jestem wytrzymały. Zobacz: udało mi się doprowadzić tę najważniejszą rzecz do końca. Ilu ludzi się poddaje w zwykłych sprawach, chociaż ich problemy to nic w porównaniu z moimi... – Zamilkł. Rozważał coś, patrząc w ziemię i zaciskając pokryte bliznami pięści.

– A co będzie dalej? – zapytał Kacper.

– Tu właśnie mam problem. Wiesz, jak to działa, kiedy osiągamy cel? Krótka chwila triumfu, a po niej wielka pustka. Nie chcę pustki. Za dużo już jej zaznałem. Buddyjsy mniisi mają jobla na punkcie

pustki, ale ja uważam, że ona nie ma sensu. – Kania zerknęła z ciekawością na Kacpra. – A twoim zdaniem ma?

Kacper pokręcił głową.

– No to się zgadzamy – stwierdził Marcin, po czym włożył sobie pistolet do ust i wystrzelił.

1959

Nie umiałem jej wygonić, a jej chyba było u mnie dobrze. Nie przeszkadzała mi. Co więcej, nawet miło było mieć towarzystwo. Przez kilka tygodni w ogóle ze sobą nie gadaliśmy. Jakies takie tylko „dziękuję”, „proszę”, „przepraszam”. Rzeczy domowego użytku miałem zawsze tylko dla siebie. Kupiłem dla niej drugi kubek, drugi talerz i sztućce. Jak czytałem gazetę, to na głos, żeby też sobie posłuchała. Polubiłem ją. Lubilem patrzeć, jak śpi. Lubilem słuchać, jak mlaska przy jedzeniu. Czasem gdy myślała, że nie ma mnie w pobliżu, siadała na ganku i śpiewała piosenkę po rusku. Kiedy przechodziłem, urywała i szła do domu. Ale z czasem przestała się chować i śpiewała, kiedy siedziałem na ganku albo krzątałem się po podwórzu. Potem nauczyłem się słów i śpiewaliśmy razem. To idzie tak:

Oy u vyshnevomu sadu,

Tam soloveyko shchebetav.

Dodomu ya prosylasya,

A ty mene vse ne puskav.

Jest to dziewczynie, która zostaje na noc u chłopaka. Rankiem chce wracać do domu, zanim wstanie jej matka, bo wiadomo, że jak ją nakryje, to będzie awantura. A on nie chce, żeby ona go opuszczała. No i taki mają problem. W sumie ładna historyjka, nie powiem. To cud – myślałem – że takiemu odludkowi zesłałeś, Boże, takie urocze stworzenie. Zapytałem ją, czy chce zostać moją żoną. Żle mi z tym było, że mieszkamy razem bez ślubu. Powiedziała, że się zastanowi, ale tak jakoś dziwnie to powiedziała, jakby nie do mnie, tylko gdzieś w powietrze. Uciekła w nocy. Szukałem jej przez dwa dni, aż znalazłem śpiącą w rowie przy drodze. „Czego ty się boisz?”, zapytałem. „Ja cię obronię”. A ona, że przed tym, co się stanie, nikt już jej nie obroni. Pokazała na swój brzuch i wtedy zrozumiałem. Zapytałem, czy to z tamtym pięknym. Mówi, że tak. Tamten niby chciał się z nią żenić, ale był wariat jak sto diabłów. Gwałcił ją i tłukł, czym popadło, w końcu ubzdurał sobie, że ona go zdradza, wywiózł ją do lasu i powiedział, że on jest myśliwy, a ona sarna i że ma uciekać. Wariat, aż krew się w żyłach ścina. W końcu ją dorwał, ale ugryzła go w łapę, a sama wskoczyła do jeziora. Wypłynęła na drugim brzegu, gdzie blisko stoi mój dom. Taka to historia. Mówię do niej, że jeśli będzie trzeba, to przyjmę dziecko jak własne. A ona, że nie chce, żebym je przyjmował, tylko, żebym zrobił, co trzeba, kiedy przyjdzie czas. I czy będę umiał być mężczyzną. Pytam, co przez to rozumie, a ona nie odpowiada.

ROZDZIAŁ XIII

5 lutego 2017

– I co było dalej? – spytał wiecznie przejęty policjant.

Kacper nadal czuł jego but na swoich żebrach. Bawił go fakt, że siedzą przy jednym biurku i odgrywają role pokrzywdzonego obywatela i zatroskanego stróża prawa.

– Strzelił sobie w usta – odparł i założył nogę na nogę.

– Nic nie powiedział?

– Powiedział: „No to się zgadzamy”.

– A co z Emilem Wielowiejskim?

– Co z nim?

– Nie pojawił się wczoraj w pracy.

– A co ja mam z tym wspólnego?

Wyszedł z komendy, zapalił papierosa i poszedł piechotą do domu. Widział wodę lejącą się ulicami. Zobaczył w oddali bluszcz trzęsący się na wietrze na elewacji domu Elizy. Popatrzył na swoje ręce i stopy, na trawnik, płot i ścieżkę z białego kamienia. Wszystko lśniło. Księżyc wisiał nad kominem domu jak srebrny medalion. Padał deszcz. Błyskawica przecięła niebo i na chwilę rozjaśniła blokowisko na wzgórzu. Na wieży kościoła siedział smutny anioł z trąbą. Kawałek jego łokcia ukruszył się i spadł na pustą ulicę.

Hosanna in excelsis.

Kacper usłyszał kroki obcasów i dziecięcych bucików. Zza ściany deszczu wyszła kobieta trzymająca za rękę chłopca w pelerynie, rzuciła mu roztargnione spojrzenie i zniknęła.

– Tchórz! – zawołał. – Jesteś tchórzem, mammo!

Wzgórze, na którym stała twierdza, zniknęło, odsłaniając puste pola i góry. Zniknęła wieża kościoła, a potem ratusz i blokowisko. Wszystko ginęło z oczu jak scenografia znoszona ze sceny po spektaklu: domy, ogrodzenia, drzewa, słupy, latarnie, samochody i kosze na śmieci. Kacper drżącą ręką wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. Usłyszał zaspany głos Jerry’ego.

– Jerry, wszystko znika. Całe miasto. Domy, samochody. Nawet twierdza i kościół. Zaraz niczego już nie będzie.

– Kacper... znowu pijesz?

– Jerry, przyjeżdż po mnie do Białej. Ulica Za Nasypem, ostatni dom, obrośnięty bluszczem. Pewnie też zniknie, ale będę tam stał i machał, zobaczysz mnie.

– Nie mam na to siły, chłopaku. Zadzwoni, jak będziesz trzeźwy. Rozłączam się.

Przeżarzony Frydrych stał pośrodku porośniętej czarną trawą pustyni. Dom Elizy zniknął kawałek po kawałku. Fragmenty ścian, drzwi, okna i dach rozwiewały się jak przeganiana wiatrem mgłą.

Przecież tam są moje pieniądze!, pomyślał spanikowany.

– Gdzie jest ten pieprzony dom? – pytał, chodząc w kółko i zapadając się w czarną trawę. – GDZIE JEST TEN PIEPRZONY DOM?!

Eliza głąskała jego dłoń. Wciąż szeptała: „Pieprzony dom”. Obudził się, zobaczył ją i cofnął rękę.

– Wszystko zniknęło.

– Myślałyśmy, że umarłeś.

– Też tak myślałem.

– Dzwoniłam do Sahniego. Musisz wrócić do szpitala i czekać na operację.

– Nie ma mowy.

– Kochanie, nie dyskutuj ze mną. Tak musi być.

Kochanie?

– Pojadę do Monachium na naświetlanie protonowe. Wycięcie nie jest rozwiązaniem. Zresztą, nie jestem ubezpieczony.

– Nie potrzebujesz ubezpieczenia. Mamy pieniądze.

– Mamy? Jacy my? Jakie pieniądze?

– W twojej walizce. Zoperują cię tutaj, żebyś mógł zostać z nami.

– Zaraz... – Kacper podniósł się na poduszkach. – Grzebałyście w moich rzeczach?

– Musiałyśmy. Zdecydowałam, że wyleczymy cię tutaj, w Białej. Nie chcemy, żebyś wyjeżdżał.

– Zdecydowałaś...

– Zdecydowałam.

– O nie, nie, nie... – Zwlekł nogi z łóżka na podłogę. – To mi pachnie jakimś odwróconym *Misery*. Na szczęście to nie ja jestem na wózku. – Wstał i zaczął się ubierać.

– Nie wyjeżdżaj. Dałam ci dach nad głową.

– O nic nie prosiłem. Za dach nad głową dostałaś pieniądze.

– Oddam ci je. Kochałeś się ze mną, pamiętasz? To nic nie znaczy?

– Kochaliśmy się, bo tego właśnie chciałaś za informacje o młodym Wielowiejskim.

Poszedł na górę i spakował swoje rzeczy. Po chwili zbiegł po schodach, niosąc torbę i walizkę. Podeszedł do drzwi, odciągnął obie zasuwki i szarpnął klamkę. Drzwi ani drgnęły. W przedpokoju panował półmrok. Kacper wymacał dłonią zamek, z którego zawsze wystawał metalowy klucz. Nie było go.

– Gdzie jest klucz?

Cisza. Rzucił bagaże na podłogę i wrócił do pokoju Elizy. Patrzyła na niego z żalem. Wyglądała teraz inaczej, niedbale i odpychająco, jak gdyby postarzała się o dwadzieścia lat w czasie, gdy pakowała walizkę.

– Gdzie jest pierdolony klucz?

– Spuściłam go w toalecie. Powiedziałaś: nie zostawisz nas.

– Jesteś jebnięta. Ty i twoja córka jesteście chore psychicznie.

Otworzył okno na ogródek. Cofnął się do sieni po torbę i walizkę i wyrzucił je na trawnik. Usłyszał w głowie pisk przypominający hamujący pociąg. Przed oczami zamrugały mu czarne plamy.

– Źle się czujesz? – Za jego plecami stała Królik. – Zostań z nami. Zaopiekujemy się tobą.

Kacper machnął ręką, jakby odganiał muchę. Wyszedł przez okno.

– Nie zostawiaj nas.

Kopniakiem otworzył furtkę i wyszedł na ulicę.

6 lutego 2017

Zbliżał się poranek. Portier, zły, że musiał wstać wcześniej, podał Kacprowi klucz do pokoju i zniknął na zapleczu. Frydrych wniósł bagaże na piętro. Pokój znajdował się w tym samym budynku co Gospoda. Kacper spojrział przez okno na rzekę i usiadł na łóżku. Czuł przygniatające zmęczenie. Cichy głos szepnął mu do ucha: „Nie jesteś zmęczony. Ty umierasz”.

Uchylił okno, żeby słyszeć szum wody, i owinął się kołdrą. Zamknął oczy. Usłyszał skrzypienie drewnianych desek i stukanie butów na wysokich koturnach. Zdawało mu się, że słyszy kobiecy głos. Głos jego matki.

O, miejże litość, ty bólu, o miej!

Ojej! A dlaczego nie zginę

W tę przeraźliwą godzinę?

Znowu kroki. Stare deski sceny ugiwały się z trzaskiem. Trzask migawki aparatu. Cyk, cyk, cyk. Cyk. Cyk.

Zbyt wiele ja nieszczęść doznałam, to znaj,

Ty dziatwo wzgardzonej, zhańbionej macierzy!

Niech piorun mej kłatwy w twe życie uderzy:

I ojciec, i dom niech zaginie!

Cyk. Cyk. Cyk.

O niechaj w mą głowę pociski gromowe

Uderzą, bo za nic mam żywot, gdy granic

Mój ból nie posiada! Ach! Ach! Oby błada

*Przerwała już śmierć to me życie!*¹³

Cyk, cyk, cyk, cyk, cyk, cyk...

Otworzył jedno oko. Już nie śnił, ale cykanie nie milkło. To telefon wibrował w pościeli. Odebrał i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Biuro detektywistyczne Frydrych & Nobody Else? – Głos należał do Moniki Biernackiej. Była pijana. – Czy rozwiązał pan już zagadkę... – czknęła głośno – zagadkę tajemniczej śmierci swojej matki?

Kacper milczał.

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Czy dzięki nietuzinkowej przenikliwości umysłu połączył pan wszystkie elementy układanki? I najważniejsze pytanie: czy prawda okazała się wstrząsająca?

– Szczerze mówiąc, niezbyt. Rozłączę się teraz. Muszę się przespać.

Znowu czknięcie.

– Wiem o czymś, o czym pan nie ma pojęcia, detektywie.

– Nie wątpię. A teraz...

– Opowiem panu o przyjaciółach z młodości, chce pan? – bełkotała. – Spotkali się przypadkiem, zupełnym przypadkiem. Cztery dziewczynki i dwóch chłopców: Marian i Maria, Wiktor, Helena, Laura, Monika. Wszyscy byli piękni, inteligentni i mieli zdolności aktorskie. Ale nie tylko to ich łączyło. Lubili też sprawiać ból. Lubili patrzeć, jak ludzie i rzeczy pod dotykiem ich rąk marnieją i więdną.

– To z jakiegoś filmu?

– Detektywie. – Monika roześmiała się. – Nigdy nie traci pan poczucia humoru. Jest pan prawdziwym twardzielem.

– Do widzenia, pani Moniko.

– Zaczekaj. Ostatnia rzecz. Wiesz, co mam w ręce?

– Telefon.

– Zabawny jak zwykle. A w drugiej?

– Czy pytanie ma podtekst erotyczny?

– Nie. Chyba że ktoś lubi pikantne zabawy. Trzymam brzytwę.

– Cudownie. – Kacper był rozdrażniony. Chciało mu się spać. – I co z tego?

– To nie jest zwykła brzytwa. To pamiątka. Przywiozłam ją znad morza. Musieliśmy się minąć. Dziwne, że nie zawiadomiłeś policji. Po prostu odjechałeś. Czy nie pomyślałeś, że istota, która wydała cię na świat, zgnije na tym krześle? Co z ciebie za człowiek? Ale nie martw się, zrobiłam to za ciebie, anonimowo rzecz jasna. Ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zabrać brzytwy. To ważna część naszej młodości. Mojej, Heleny i reszty grupy. Należała do kogoś, kogo kiedyś bardzo skrzywdziliśmy.

– Do Marcina Kani.

– Pudło, detektywie.

W słuchawce rozległ się sygnał. Rozmowa była skończona.

¹³ Eurypides, dz. cyt.

ROZDZIAŁ XIV

6 lutego 2017, południe

Las wciąż pachniał jeszcze dymem po pożarze. Czarne kikuty drzew sterczały ze śniegu zmieszanego z popiołem. Od strony polany zawaiał zimny wiatr. Kacper wtulił twarz w kołnierz płaszczka. Dom Porębskich stał w cieniu drzew, karłowaty, nieforemny, z podłużnym dachem opadającym do ziemi. Kacpra uderzyła niezmacona cisza tego miejsca. Za pierwszym razem nie zwrócił na nią uwagi. Przystanął na chwilę, żeby śnieg nie chrupał pod nogami. Nasłuchiwał. Nic. Po prawej stronie od chaty, wtulone w sosnowy zagajnik, stały dwie złączone ze sobą wierzby bliźniaczki. Na rosnącą pod nimi taminę bezgłośnie podfrunęła sikorka. Kiedy Kacper ruszył w tamtą stronę, zamarła, po czym przeniosła się na wierzbę i obserwowała go, przekrzywiając główkę. Krzyż z białej brzoźki był przeżarty przez korniki. Kacper zerwał kilka śliwek tarniny i włożył sobie do ust. Były gorzkie i mdłe. Na zbiegu ramion krzyża wisiał medalik na rzemyku. Frydrych strzepnął z niego śnieg. Była to niewielka miedziana zawieszka w kształcie muszli. Usłyszał szcęk klucza w zamku i w drzwiach domu pojawił się Stanisław. Powolnym krokiem przemierzył podwórze i stanął obok Kacpra. Milczeli, patrząc na muszlę.

– Długo nie mogłem się pogodzić, że jego już nie ma – odezwał się niespodziewanie Porębski, jakby kontynuowali jakąś przerwana rozmowę. – Bardzo potrzebowałem wtedy z kimś porozmawiać. Nie miałem z kim. Olga w tamtych dniach już zupełnie odcięła się ode mnie i tylko piła. Swego czasu, kiedy byłem młodszy, o różnych troskach opowiadałem Jezusowi, który wisi na drzewie przy drodze nad jezioro. Ale po śmierci Kuby potrzebowałem pogadać z żywym człowiekiem. Przyszło mi do głowy, że przecież od takich rozmów jest ksiądz, że w sumie to jego zawód pomagać ludziom, kiedy są w rozpacz. Nigdy nie lubiłem księży, ale nie miałem innego wyjścia, musiałem się do nich przekonać. Nie najgorzej to wyszło, powiem ci. Urzędował u nas wtedy taki stareńki, gruby proboszcz. Nawiązaliśmy, jak to się mówi, nic porozumienia. Dużo gadaliśmy. To mi pomagało. Opowiedział mi o świętym Jakubie, patronie pielgrzymów i włóczędzów. Miał takie swoje symboliczne przedmioty, z którymi go przedstawiano. Kij pielgrzyma, bukłak, torbę i właśnie taką muszlę. Ponoć taki był dobry, że przed śmiercią pocałował swojego kata, a ten nawrócił się na chrześcijaństwo i też został potem umęczony. Cieszyło mnie, że tyle mieli wspólnego, ten święty i mój syn. Obaj lubili się włóczyć. Kuba kochał się błąkać po wioskach, chyba od kiedy tylko nauczył się chodzić. A jak dostał ode mnie aparat, to już zupełnie przepadł. Jak wychodził z domu rano, potrafił wrócić po kilku dniach. Obaj lubili łowić ryby, święty Jakub i mój synek. Kubę zabrała rzeka, a według legendy ciało Jakuba, po tym jak go zamordowali, popłynęło do Hiszpanii, samo, na łodzi bez wiosel. Nigdy nie byłem w Santiago de Compostela, gdzie ów święty spoczywa. Ale może jeszcze tam pojedę, jak starczy życia. Przynajmniej tego Jakuba miejsce pochówku znam.

– Myślałem, że twój syn leży tutaj.

– Tylko krzyż tu wkopałem. Chłopak wpadł do przerębla. Nie było jak szukać pod lodem.

– To pewne? Że wpadł do przerębla?

Stach pociągnął nosem i spojrzął na Kacpra smutnymi, starymi oczami.

– To bolesne mówić o tym. Pewne, pewne jak amen w pacierzu. Znaleźli torbę na pomoście obok przerębla. Były w niej jego rzeczy: spławik, słoik na robaki, aparat i album z odbitkami, zdjęcia ptaków. Dużo ptaków fotografował.

– Kto znalazł tę torbę?

– Dlaczego mnie o to wypytujesz, przyjacielu?

– Bo może jest jakaś nadzieja, że...

– Nie ma żadnej nadziei. A zmarłym należy się spokój.

Stach westchnął głęboko, odwrócił się i zaczął iść w stronę domu. Na środku podwórza zatrzymał się.

– Torbę znalazły dzieciaki z teatru. Przyjaźniły się z nim, zdaje się.

„Należała do kogoś, kogo kiedyś bardzo skrzywdziliśmy”, przypomniał sobie.

Nie czuł już rany w nodze i nie słyszał, jak Stanisław mówi, żeby został na herbatę. Biegł przez las, a potem przez pole w stronę wzgórza, na którym stał dom Elizy.

Drzwi były otwarte. Kacper chciał już wejść, kiedy w progu usłyszał dochodzącą z kuchennego radia piosenkę:

Czy znasz morza brzeg,

Bez poszumu fal?

Czy znasz rzeki nurt,

Co nie płynie w dal?

Teraz już pamiętał.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę. Miał osiemnaście lat. Za kilka godzin matka zostawi na stole list i odejdzie. Pada deszcz. Helena odbiera dwa listy i macha listonoszowi na pożegnanie. Jeden list podaje Kacprowi, a z drugim idzie do łazienki. W pokoju gościnnym cicho gra radio.

Czy znasz? Jeśli nie,

To dlaczego chcesz zatrzymać

Prąd rzek, szum fal

Twoje łzy, mój płacz.

Kacper ściska kopertę. Dostał się do szkoły teatralnej? A jeśli nie? Idzie do kuchni po nóż do papieru. Na moment zatrzymuje się przy uchylonych drzwiach łazienki. W odbiciu w lustrze widzi mamę, która patrzy na jakieś zdjęcie. Kacper przez chwilę się waha, w końcu mija łazienkę, biegnie do kuchni i otwiera list. Musi wiedzieć, czy go przyjęli. Wszystko inne później.

Tego dnia, gdy będą wznosić toast, przypomni sobie, że miał zapytać Helenę, co było w jej liście. Stojąc teraz w progu domu Elizy, pamięta dokładnie słowa, które wtedy do siebie powiedział: „To może poczekać”.

Wszedł do domu i ruszył korytarzem do salonu, a potem cofnął się do pokoju Elizy. Na stoliku stał otwarty laptop. Godzinami coś w nim pisała. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać co.

Żal nic tu nie pomoże,

Łzy twoje i mój płacz.

*Nikt nie uciszy morza,
Nie zatrzyma biegu fal.*

Piosenka dobiegła końca i zabrzmiał dzingiel lokalnych wiadomości. Spiker podał, że znalezione niedawno w twierdzy kości, które miały należeć do niemieckiego żołnierza, to zaginiony w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku historyk Piotr Wąsowski. Kacper nachylił się nad laptopem i przebiegł wzrokiem po tekście.

Przestraszyłem się, kiedy do mnie podeszła. Moja niewidzialność straciła moc. Wyciągnęła do mnie rękę i przywitała się jak z innymi. Nikt tego wcześniej nie robił. Kiedy uścisnąłem jej dłoń, poczułem, jak miękką i ciepłą ma skórę.

– Jestem Helena. – Ukloniła się, po czym podskoczyła i uderzyła piętą o piętę jak w góralskim tańcu.

Frydrych usiadł i czytał dalej:

Nieskrępowana żywotność. Nieokiełznana, zaraźliwa energia. Pokochałem ją. Nie znałem tego uczucia, dopóki nie przedstawiła się z tą błazeńską wesołością, z tym ujmującym drżeniem w głosie. Byłem tak podekscytowany, że po powrocie do domu na powitanie odruchowo pocałowałem Olę w czoło. Mówię do niej Olga, bo nie pozwala mi nazywać się mamą. Machnęła na mnie ręką, trochę przestraszona, jakbym był rybą rzucającą się na patelni. Do zmroku leżałem na dachu, patrząc w niebo i próbując odtworzyć w pamięci głos, ruchy i twarz dziewczyny, która zobaczyła niewidzialnego chłopca i podała mu rękę. Wiedziałem, że jutro znowu ją spotkam, i czas do wschodu słońca wydawał mi się wiecznością. Myślałem więc o niej, aż zasnąłem, a potem także we śnie.

Wiatr poruszył firanką i wzrok Kacpra przeniósł się na postać w fioletowym płaszczu. Siedziała na huśtawce z rękami na udach i patrzyła przed siebie. Rozpoznał ją. Monika Biernacka spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami, kiedy wyszedł na ogród i szedł w jej stronę. Miała rozprute gardło i rozdziawione usta, z których wystawał spuchnięty język, fioletowy jak jej płaszcz. Frydrych poczuł ukłucie w prawym boku. Odwrócił się i spojrzał w dół na strzykawkę, której igła tkwiła w jego ciele, a potem na trzymającą ją Królik. W drugiej ręce dziewczynka trzymała brzytwę. Jej przedramię było czerwone od krwi.

Siedzieli z Nilą na patio. Patrzyli na zatokę. Pierścionek z ametystem błyszczał w promieniach słońca, rzucając fioletową plamkę na jej policzek.

Ocknął się. Leżał na kanapie w piwnicy. Szum morza nie ucichł – dochodził z pracującego w kącie kotła grzewczego. Na drugiej sofie naprzeciwko siedziała Królik, a obok na wózku Eliza. Obie były starannie uczesane i umalowane, ubrane w takie same białe sukienki. Na stole między nimi leżała brzytwa i maszynopis. Obraz w oczach Kacpra pulsował i zamazywał się na krawędziach. Królik wzięła ze stołu kartki i zaczęła czytać, a jej głos był metaliczny i dudniący, jakby słowa wydostawały się z ogromnej maszyny:

– Niewiele mówiłem, kiedy byłem dzieckiem. Nie byłem zacofany ani nic z tych rzeczy. Po prostu nie czułem potrzeby, by mówić.

ROZDZIAŁ XV

12 września 2016

Jakub pocałował Elizę w brzuch, wstał z łóżka, otworzył okno i zapalił papierosa. Chłodny nocny wiatr dotknął jego nagiego ciała i na skórze pojawił się dreszcz.

– Na długo przyjechałeś?

– Na chwilę. Muszę coś z tobą umówić i wracam do domu. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy? – zapytał zwrócony twarzą do okna.

Eliza uśmiechnęła się. Jakub doskonale pamiętał, ale lubił słuchać tej historii z jej ust.

– Pamiętam. To była noc. Położyłam Królik spać i poszłam na spacer. Dotarłam do mostu, zerknęłam w dół na torowisko i pomyślałam, że dobrze będzie teraz skoczyć i wszystko zakończyć. Wyszedłeś z mroku z aparatem zawieszonym na szyi. Najpierw usłyszałam twój krok na żwirze, a potem dopiero cię zobaczyłam. Widziałam cię po raz pierwszy, ale miałam wrażenie, że znamy się od dawna i wcale się ciebie nie przestraszyłam. Stałeś obok, bardzo blisko, poczułam dziwne podniecenie. Powiedziałeś, że wiesz, co zrobiłam.

– Miałaś jeszcze krew na rękawie bluzki.

– Pamiętam.

– Zrobiliście to razem. Ty i ona.

– Tak... On wtedy znowu miał do niej pretensje o jakieś głupstwo. Kiepski był z niego ojciec. Patrzyłam, jak Królik podnosi kamień. On wiązał sznurowadło. Kamień był duży i gładki. Błysnął w słońcu. Pamiętam to głuche tupnięcie. Dźwięk niepodobny do żadnego innego, chyba tylko połączenie czegoś twardego z ludzką głową taki daje.

– Utopiłyście ciało na mokradłach i...

– Poszliśmy do domu zjeść kolację.

– Puściłaś muzykę. Tańczyłyście.

– Tak, przez chwilę. Potem położyłam ją spać i wyszłam.

– Dlaczego chciałaś się zabić?

– Czułam się chora. Brudna. Niestety mam sumienie. Nie chciałam iść na policję i do końca życia wegetować w celi. Śmierć wydawała się łatwa i przyjemna.

– Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

– Że tu, w Białej, jest więcej takich jak ja. I że opowiesz mi najlepszą historię, jeśli pomogę ci się na nich zemścić.

– A ty się zgodziłaś, bo...

– Bo cię pokochałam i ci uwierzyłam.

Jakub obszedł wózek inwalidzki, wziął ze stołu laptop i podał jej.

– Poważnie? – zapytała w ciemnościach.

– Jeśli zrobisz to, co uzgodniliśmy, to tak. Poważnie.

Eliza wymacała okulary na stoliku nocnym i otworzyła laptop. Jakub zapalił drugiego papierosa, usiadł w fotelu i wypuścił nosem wstęgę dymu, skubiąc brodę.

– Niewiele mówiłem, kiedy byłem dzieckiem. Nie byłem zacofany ani nic z tych rzeczy. Po prostu nie czułem potrzeby, by mówić. Od kiedy pamiętam, moja matka piła jak na wyścigi i unikała mnie jak ognia. Stawiała jasne granice. Żadnego przytulania, żadnego pocieszania, żadnej czułości. Byłem dla niej jak powietrze, więc szybko nauczyłem się traktować ją tak samo. Ojciec natomiast był do mnie bardzo mocno przywiązany, co wprawiało mnie w zakłopotanie, tym bardziej że był głupim człowiekiem. Nie budził we mnie ani szacunku, ani strachu. Jedynie litość. Serce na dłoni i pusto w głowie. Jak możesz się domyślać, przez moją milkliwość nie znalazłem sobie wielu kolegów. Prawdę mówiąc, w szkole nie było nawet jednego dzieciaka, który by mnie lubił. Ale miałem to gdzieś. Doskonale obywałem się bez ludzi. O wiele gorzej znosiłem za to rozłąkę z przyrodą. Nienawidziłem siedzenia w domu, zamykania się w czterech ścianach. Kojarzyło mi się to z umieraniem. Moi rodzice większość życia przesiedzieli w swoich fotelach; tato, słuchając radia i grzebiąc wykałaczką w zębach, a mama ze szklanką albo butelką. Nie rozumiałem, jak można tak marnować swoje życie. Przecież mamy tylko jedno, czyż nie? Dzieciństwo i młodość wspominam jako nieprzerwaną wędrówkę, nieskończony ciąg ścieżek, dróg, lasów, pól, autostrad, szum fal, bębnienie deszczu o namiot, warkot autobusów i stukot pociągów. Świat wydawał mi się tak cudowną konstrukcją, że niekiedy bałem się zasnąć lub choćby zamknąć oczy, by nie uronić ani jednego widoku, zapachu czy dźwięku. Byłem od nich uzależniony tak jak moja mama od wody. Na siedemnaste urodziny ojciec kupił mi aparat fotograficzny. Nie pytałem, skąd wziął pieniądze. Cieszyłem się, a on się cieszył, że ja się cieszę. To była radziecka Smiena 8M z obiektywem T-43 i migawką sektorową... – Jakub przerwał. – Zaschło mi w gardle – stwierdził. – Napijesz się herbaty?

Eliza kiwnęła głową. Jakub wyszedł z pokoju i chwilę krzątał się po kuchni. Wrócił z dwoma kubkami. Jeden podał Elizie, po czym usiadł, napił się i mówił dalej:

– Pokochałem go od pierwszego dotknięcia i nigdy się z nim nie rozstawałem. Podczas kąpieli, snu, kiedy siadałem na klozecie, zawsze stawałem go na widoku i pilnowałem. Lubilem terkot naciągania kurka i cykanie spustu migawki. Bezkrwawe polowanie, a jako trofeum obrazy, które mogłem wieszać na ścianie, zamiast upychać w zagraconej pamięci. Żdźbła pszenicy złamane przez huragan. Nietoperz polujący na muchę pod lasem tuż po zachodzie słońca. Ropucha kucająca na liściu. Błyszcząca, czarnozielony żuk toczący kulę gnoju. Puszczyk o śmiertelnie poważnym spojrzeniu. Żmija pełną parą po piasku. Drzewo uderzone piorunem – ciągnął rozmarzonym głosem Jakub. – Jedyna ciemnia w okolicy znajdowała się w miejskim ośrodku kultury. Mogłem z niej korzystać w zamian za drobne prace konserwatorskie i sprzątanie w budynku. Pewnego dnia natknąłem się tam na magistra Gołębiowskiego. Zdjęcia suszyły się akurat na żyłkach rozwieszonych nad kuwetami. Zapytał, czy to ja je zrobiłem. Zaprzeczyłem. Kilka tygodni później przyszedł znowu, kiedy pracowałem nad odbitkami. Zapytał, czy te również nie są moje. Tym razem nie odważyłem się na żaden kłamliwy unik. Stwierdził, że mam dobre oko, i zapytał, czy chcę trochę zarobić. Szukał fotografa, który miał dokumentować próby i spektakle młodzieżowej grupy teatralnej. Następnego dnia o dziesiątej rano czekałem pod dużą salą. Dłonie pociły mi się z nerwów. Przez uchylone drzwi patrzyłem na moich rówieśników poprzebieranych w greckie tuniki. Byli zbyt głośni i zbyt weseli. Zdecydowanie był to obcy mi świat, ale zacisnąłem zęby i wszedłem do niego. Niby od niechcenia zrobiłem zdjęcie dwóm chłopakom

niosącym tekturowy front świątyni. Nawet się nie zatrzymali. Wnieśli świątynię na scenę i zabrali się za kolumny. Przechadzałem się od grupki do grupki i robiłem zdjęcia. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Byłem niewidzialny, tak jak wychowała mnie mama. Okazało się jednak, że nie dla wszystkich. Przestraszyłem się, kiedy do mnie podeszła. Moja niewidzialność straciła moc. Wyciągnęła do mnie rękę i przywitała się jak z innymi. Nikt tego wcześniej nie robił. Kiedy uściśnięciem jej dłoń, poczułem, jak miękka i ciepła ma skórę. „Jestem Helena”. Ukłoniła się, po czym podskoczyła i uderzyła piętą o piętę jak w góralskim tańcu. Nieskrepowaną żywotność. Nieokiełznana, zaraźliwa energia. Pokochałem ją.

Zamilkł na dłuższą chwilę, jakby niepewny, czy może mówić dalej.

– Nie znałem tego uczucia, dopóki nie przedstawiła się z tą błazeńską wesołością, z tym ujmującym drzeniem w głosie. Byłem tak podekscytowany, że po powrocie do domu na powitanie odruchowo pocałowałem Olgę w czoło. Mówię do niej Olga, bo nie pozwala mi nazywać się mamą. Machnęła na mnie ręką, trochę przestraszona, jakbym był rybą rzucającą się na patelni. Do zmroku leżałem na dachu, patrząc w niebo i próbując odtworzyć w pamięci głos, ruchy i twarz dziewczyny, która zobaczyła niewidzialnego chłopca i podała mu rękę. Wiedziałem, że jutro znowu ją spotkam, i czas do wschodu słońca wydawał mi się wiecznością. Myślałem więc o niej aż zasnąłem, a potem także we śnie. – To mówiąc, Jakub leciutko się uśmiechnął. – Kilka dni później pokazałem jej zdjęcia, które zrobiłem na próbie. Zawołała resztę. Byli pod wrażeniem. Marian szturchnął mnie poufale w ramię i powiedział: „Masz oko, Błady”. Wtedy dowiedziałem się, że tak na mnie mówią. Błady. Miałem chorobliwie jasną cerę, to był po prostu fakt, więc nie uznałem tego za zniewagę. Tego dnia była piękna pogoda i próba miała odbyć się na łące nad rzeką. Ja również zostałem zaproszony. Poszliśmy całą grupą: Maria, Helena, Wiktor, Monika, Laura, Marian i ja. Siedziałem na pniu przerzuconym nad wodą i robiłem zdjęcia, a z każdym cyknięciem spustu migawki, z każdym żartem, piruetem, przytoczoną historią i cytowanym wersem kochałem ich coraz mocniej. Gdzieś w koronie wierzby zastukał dzięcioł. Helena przestała tańczyć i postawiła na trawie butelkę wina. „Kuba!”, zawołała do mnie. Jako jedyna nie mówiła do mnie Błady. Była czerwona na twarzy od alkoholu i tańca. „Zrobisz dla mnie zdjęcie dzięcioła?” Ptak był za daleko, żeby smiena mogła uchwycić go w dobrej jakości. Zarzuciłem więc aparat na ramię i zacząłem wspinać się na drzewo. Nie powstrzymywała mnie. Inni prosili, żebym zszedł, ale ona milczała. Wspinałem się. Osoby na dole były coraz mniejsze. Co chwila ktoś przywoływał mnie na dół. Gałęzie stawały się coraz rzadsze i cieńsze. Co jakiś czas któraś pękała pod moim ciężarem. Zobaczyłem jaskraworude podogonie i beżową pierś. To był dorosły dzięcioł duży. Nie bał się mnie. Wczepiony w korę przyglądał się mojej wspinaczce. Zatrzymałem się, stanąłem niepewnie i wycelowałem. Wtedy odleciał. Wspinałem się do miejsca, z którego uciekł, wygrzebałem z torby okruszki chleba, położyłem na gałęzi, zszedłem niżej, znalazłem w miarę wygodną pozycję i czekałem. Z dołu co jakiś czas ktoś mnie wołał, ale już coraz rzadziej. W końcu upili się i zaczęły się poważne rozmowy – wspominał. – Laura płakała. To było niedługo po tym, jak spłonęła stodoła z Marcinem Kanią w środku. Laura miała się nim opiekować. Wychowywała się w patologicznej rodzinie i od zawsze dużo piła, ale po incydencie z Kanią już rzadko zdarzało jej się trzeźwieć. Helena ją pocieszała. Zapomnieli o mnie. Zbliżał się wieczór, a ja wciąż siedziałem na gałęzi, trzymając w rękach aparat i nie myślałem o niczym. Czekałem. Gdy czasem jakiś inny ptak chciał zabrać moją przynętę, odganiałem go, machając rękami. Aktorzy zaczęli rozchodzić się do domów. Wiktor Sasnał przypomniał sobie o mnie i kazał mi natychmiast schodzić. Milczałem. Zawołał jeszcze dwa razy i ruszył w stronę miasta, przytrzymując Laurę, która ledwo stała na nogach. Maria Konopka powiedziała: „Ten chłopak jest jednak strasznie dziwny”. Może myślała, że nie słyszę. A może miała to gdzieś. W końcu ona też

poszła, trzymając się za rękę z Heleną. Zostałem sam. W nocy zrobiło się zimno. Przemarzęłem, ścierpły mi nogi i pośladki. Bolało mnie całe ciało. Rano, kiedy któryś raz z rzędu zimno i niewygodna wyrwały mnie ze snu, zobaczyłem wreszcie czerwony lebek tuż przede mną. Podniosłem aparat i zrobiłem mu zdjęcie. Schodząc z drzewa, pośliznąłem się i spadłem na płataninę korzeni. Następnego dnia przyszedłem do MOK-u z nogą w gipsie i o kuli. Helena nie zwracała na mnie uwagi, zajęta próbą. Kiedy wychodziła, zatrzymałem ją na korytarzu i wręczyłem jej wywołane zdjęcie dziecięcia z moimi inicjałami. Patrzyła na niego długo, ale jej mina nie była tak zachwycona, jak tego oczekiwałem. „Długo siedziałeś na tym drzewie?“, zapytała. „Do rana“, odpowiedziałem. W jej oczach pojawiło się niedowierzanie, a potem, kiedy zrozumiała, że nie kłamię, jakaś wątpliwość. A może to był strach? „Zrobisz dla mnie wszystko, co?“, „Tak“, odparłem bez wahania. Wtedy schowała zdjęcie do torebki, uśmiechnęła się niewyraźnie i odeszła. – Jakub zapalił papierosa i mówił dalej: – Mijały tygodnie i miesiące. Nadal robiłem zdjęcia moim przyjaciółom, ale czułem, że oddalamy się od siebie. Nasza znajomość zatrzymała się na etapie uprzejmości. Obwiniąłem się za to. Zdawałem sobie sprawę, że jestem dla nich niewystarczająco atrakcyjnym kompanem. Chciałem spędzać z nimi więcej czasu, ale to wymagało dyskusowania, otwierania się i żartowania, a ja nie byłem w tym dobry. Aż jednego dnia znalazłem sposób, jak ominąć tę przeszkodę. Była niedziela. Siedziałem na ławce w parku, jak zwykle z aparatem, i wypatrywałem ptaków. Aleją szła Maria Konopka. Chciałem się przywitać, ale w mojej głowie zakiełkowało zwątpienie. Przywitam się i co dalej? O czym będziemy rozmawiać? Poza tym Maria powiedziała przecież, że jestem „strasznie dziwny“. Zawstydzilem się i zrezygnowałem. I wtedy wpadłem na pomysł, że przecież mogę spędzić z nią czas, nie rozmawiając z nią, a wyłącznie na nią patrząc. Odczekałem chwilę i poszedłem jej śladem. Szła do kościoła. Widziałem, jak mija główną bramę i skręca na plebanię. Noga jeszcze trochę mnie bolała, ale była już prawie całkowicie sprawna. Obok muru, który otaczał kościół, rósł rozłożysty orzech. Wspiąłem się na niego i przez obiektyw spojrzałem w okno. Była z wikarym. Nigdy wcześniej nie widziałem ludzi uprawiających miłość. Poczuliśmy, że palę się ze wstydu, a równocześnie nie mogłem oderwać oczu. Młody ksiądz podciągnął jej sukienkę, obrócił tyłem do siebie i rzucił ją na łóżko. Kochali się na wprost wiszącego na ścianie obrazu Trójcy Świętej. Zrobiłem kilka zdjęć. Teraz mogłem być z moimi przyjaciółmi na własnych zasadach. To było dla mnie nowe piękno. Ludzie, którzy nie widzą, że są obserwowani. Najprawdziwsi w swojej niedoskonłości...

Jakub mówił aż do nastania świtu. Kiedy skończył, zgasił w kubku z herbatą ostatniego papierosa i zaczął się ubierać.

– Co teraz zrobisz? – zapytała Eliza, przecierając oczy nad monitorem.

– Muszę załatwić jeszcze dwie sprawy – wyjął z kieszeni zapalniczkę bez klapki. – Odświeżę pamięć braciom Kania i poproszę Marcina, żeby w razie czego wziął na siebie zabójstwo Heleny.

– Myślisz, że się zgodzi?

– Helena zeznała, że Wielowiejski był u niej, kiedy spłonęła stodoła. Myślę, że biedak pragnie zemsty każdym milimetrem swojego stopionego ciała. Będzie chciał dopaść Wielowiejskiego osobiście. Nie będę mu w tym przeszkadzał. Niech stado samo się pozagryza. W zamian poproszę go tylko, żeby przyznał się do zabójstwa Heleny. Chcę opóźnić moje pojawienie się na szachownicy najbardziej jak to możliwe.

– Co ty wymyśliłeś, Jakub?

– Coś pięknego. Ale nie mogę teraz ci powiedzieć.

– Rozumiem. A druga sprawa? O niej mi powiesz?

– Założyłem się kiedyś o coś z Heleną. Chodzi o jej syna, Kacpra. Muszę się przekonać, kto miał rację.

– Tak naprawdę niczego mi nie powiedziałeś.

– Lubię tajemnice. Ty też je polub, póki jest czas.

– Idź. My wszystkiego tu przypilnujemy.

– Pamiętaj – powiedział do niej, wychodząc. – To, co teraz zrobimy, jest w gruncie rzeczy aktem dobroci. Więc spróbuj nie myśleć o sobie źle.

Kocioł grzewczy wciąż szumiał. Królik czytała dalej:

[...] Marian siedział na pniu, palił fajkę i rozmawiał z małym Marcinem. Potem wziął go za rękę i weszli do stodoły. Nie wiedziałem po co. Stanąłem przy pniu i myślałem. Co miałem zrobić? Poszedłem na polanę za lasem. Na skraju rosły maki. Kręciłem się tam dłuższą chwilę, bez specjalnego zaangażowania naciskałem spust migawki. Nagle zobaczyłem nad drzewami kłęby dymu. Biegiem wróciłem do stodoły. Wszędzie było pełno ognia. Palila się stodoła, otaczające ją krzaki i młode drzewka. Między gałęziami mignęła mi koszula Mariana. Zdjąłem bluzę i obwiązałem nią twarz, żeby się nie udusić. Wszedłem do środka. Pod stogiem siana leżał nieprzytomny Marcin. Wyglądał potwornie. Jakby nie miał skóry. Wyciągnąłem go za nogi na zewnątrz i przyłożyłem ucho do pokrytych bąblami ust. Oddychał. Usłyszałem syrenę i szczekanie psów. Bałem się, że jeśli zostanę, pomyślą, że ja to zrobiłem. Wszedłem między drzewa i pobiegłem w stronę domu. [...]

Myślałem, że Wiktor chce wykąpać szczeniaka w rzece. Piesek zaczął się szamotać. Wiktor trzymał go pod wodą tak długo, aż zwierzak przestał się ruszać. [...]

Monika dostawała pieniądze za opiekę nad starszą panią. Patrzyłem przez obiektyw, jak wypycha jej twarz do nocnika. Podczas każdej wizyty zabierała jeden pierścionek z gąbłoty. [...]

Skulony pod oknem słyszałem, jak Maria rozmawia z wikarym. Groziła, że jeśli z nią zerwie, zgłosi policji, że ją zgwałcił. [...] Był deszczowy dzień. Znowu wspiąłem się na drzewo, ale tym razem wikary był sam. Rozebrany do naga wisiał pod sufitem. Jego ciało obracało się powoli na tle obrazu Trójcy Świętej. [...]

Nocami wywoływałem upiorne zdjęcia i wkładałem do czarnego albumu, z którym się nie rozstawałem. Mogłem w każdej chwili pójść na policję, ale powstrzymywała mnie wstydliva prawda. Nie miałem na świecie nikogo poza nimi. Matka nie chciała mnie znać, nachalność ojca mnie odrzucała. Bałem się wrócić do samotności. Helena poznała Michała Frydrycha i nie miałem wątpliwości, że zostaną parą. Mimo to wciąż się przyjaźniliśmy. Spędzałem z nią długie godziny po drugiej stronie obiektywu. Coraz lepiej ją poznawałem. Wiedziałem, że najczęściej sypia na boku, skulona i z otwartymi ustami, że nie lubi zupy grzybowej i wylewa ją do toalety, kiedy jej matka nie widzi, że lubi się masturbować podczas samotnych spacerów. Że często chodzi na twierdzą i włóczy się po niej godzinami. Nie znałem dokładnej trasy tych wędrówek, bo zawsze w końcu gdzieś ją gubiłem. Znałem za to prawie na pamięć jej ciało, każdy pieprzyk, przebarwienie i fałdkę skóry, każdy nowy pryszcz i świeżą bliznę po zdartym strupie. Wiedziałem, jaką ma minę, kiedy się wypróżnia, a jaką, kiedy dochodzi z Michałem. Wiedziałem też, że nikomu nie robi krzywdy i nie jest taka jak reszta grupy. I nadal ją kochałem.

31 stycznia 1978

Był wieczór sylwestrowy siedemdziesiątego ósmego roku. Po przyjęciu na dużej sali w MOK-u wszyscy poszli na rynek puszczać fajerwerki. Nie lubiłem tłumów i hałasu, więc zostałem i trochę posprzątałem, a potem chciałem pójść do domu. Dostrzegłem wtedy coś przygnębiającego w opustoszałej sali, w stołach z niedojedzonymi potrawami, w przewróconych kieliszkach i w pustej scenie, na którą padało okrągłe światło reflektora. Wziąłem aparat i zacząłem fotografować krzesła z wiszącymi kurtkami, których pijani ludzie zapomnieli wziąć ze sobą, nadgryzione ogórki i serwetki poznaczone tłustymi śladami palców. Miejsce, które przed chwilą żyło, a teraz stało się składowiskiem porzuconych rzeczy. Wtedy ją dostrzegłem. Stała w drzwiach, miała na sobie czarną sukienkę i trzęsa się z zimna. Chyba płakała. Zapytała, czy chcę pójść z nią w miejsce, w które jeszcze nigdy nikogo nie zaprowadziła. Nazywała je „świątynią dumania”. Oddałbym wtedy wszystko za samo jej spojrzenie. Wspólny spacer był czymś więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Wyszliśmy z MOK-u, miniliśmy rynek i doszliśmy pod mury twierdzy. W jej północnej części przeszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu i trawiastym zboczem weszliśmy jeszcze wyżej, aż do małego okienka w murze. Weszliśmy przez nie do komnaty, skąd kręconymi schodami idzie się na basztę, z której widać całą Białą. W dole śpiewali pijani ludzie. Zegar na wieży ratusza wskazywał za dwadzieścia dwunasta. Ktoś niecierpliwie odpalił pierwsze fajerwerki. Małe plamy kolorowych iskier rozkwiły i gasły nad dachami domów. Helena pociągnęła mnie za rękę. Wspięliśmy się na mur nad basztą i szliśmy nim długo, ostrożnie, uważając, by nie stracić równowagi. Po obu stronach do ziemi było ładnych parę metrów. Można było się zabić albo przynajmniej solidnie połamać. Doszliśmy do dziedzińca. Tutaj mur był dużo niższy. Zeszliśmy po nim na zarośnięty plac. W górze świecił księżyc. Zdjąłem torbę i aparat, a ona złapała mnie za szyję i pocałowała. Oderwaliśmy się od siebie i patrzyliśmy sobie w oczy.

– Zobacz. – Pokazała ręką.

W wąskim, strzelistym okienku zburzonej do połowy ściany siedziała sowa. Jej wielkie żółte oczy świeciły jak złote monety. Podniosłem aparat i wycelowałem. Przemieszczałem się po cichu, żeby złapać najkorzystniejszy kadr. Kiedy uzyskałem dobrą kompozycję, nacisnąłem spust. Obróciłem się zadowolony. Helena kuciała przy mojej torbie. W rękach trzymała czarny album.

– O Jezu – wyszeptala. – Dobry Boże...

– Nie patrz. – Wyjąłem album z jej dłoni i włożyłem do torby. Objąłem ją. Okrzyki w dole wzmagały się. Zegar na wieży ratusza wybił północ. Zaczął się rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty. Niebo zapłonęło, wybuchając nad naszymi głowami na czerwono. Wtedy Helena tak jakoś dziwnie się uśmiechnęła. Położyła mi ręce na piersi i lekko popchnęła...

Studnia na małym dziedzińcu w północnej części twierdzy ma dwadzieścia sześć metrów głębokości i została wykopana jeszcze w średniowieczu. Pod koniec osiemnastego wieku na skutek ruchów tektonicznych podziemne źródło uległo zasypaniu i studnia stała się bezużyteczna. Dwadzieścia sześć metrów to kawał drogi, a ja, choć byłem pewny, że to koniec, przeżyłem upadek. Złamałem nogę, odbiłem sobie płuca, zwichnąłem kilka palców i chyba dostałem wstrząsu mózgu, bo bez przerwy wymiotowałem. Zostałem więźniem na dni kamiennej rury o średnicy dwóch metrów, bez dostępu do światła, wody i jedzenia. W niedługim czasie do Heleny dołączyli Wiktor, Marian, Laura, Maria i Monika. Zasłonili wlot do studni ciężką, mosiężną płytą. Kiedy okazało się, że żyję, pojawił się problem. Nie mieli jak się do mnie dostać, postanowili więc poczekać, aż umrę z głodu.

I tak zostałem sam w absolutnej ciemności.

Człowiek przeżyje nawet pięćdziesiąt dni bez jedzenia, ale bez wody umrze po czterech. Na szczęście dno studni było mokre. Długo czołgałem się, macałem ściany i kamienie, zanim poczułem pod palcami delikatny, ledwo wyczuwalny ruch wody. Trzęsienie ziemi zasypało źródło, jednak cienka strużka znalazła drogę między kamieniami gruzowiska i kropla po kropli dostawała się do mojego grobu. Kiedy przywykłem do ciemności na tyle, że mogłem z łatwością poruszać się po studni, nie uderzając się o ściany i nie przewracając o kamienie, przystąpiłem do wykonania naczynia, do którego zamierzałem zbierać wodę. To było ważne doświadczenie. Na dnie studni nie istniał czas. Znalazienie dwóch kamieni, jednego szerokiego i grubego, a drugiego wąskiego i ostrego, i wytluczenie jednym w drugim wgłębienia było kwestią czucia ich wagi i faktury w palcach i powtarzania tych samych ruchów. Było oderwane od zdarzeń, które doprowadziły do potrzeby stworzenia miski i oczekiwań związanych z czasem i sukcesem lub porażką jej powstania. Przez pewien nieokreślony zadną jednostką czas moje życie, pragnienia, marzenia i wspomnienia zostały skompresowane do uderzenia kamieniem o kamień. Pewnego dnia albo nocy (zapewne poza studnią był jakiś dzień albo noc) obróbka dobiegła końca i tak powstała miska, do której mogłem zbierać wodę. Nigdy później przez całe moje życie nie zniecierpliwilem się ani nie poddałem.

Wtedy postanowiłem, że tam nie umrę.

Życie w studni polegało na leżeniu i czekaniu, aż napelni się miska, picie i dalszym leżeniu. Na początku zajmowałem sobie czas wspomnianiem. Odtwarzałem w głowie miejsca, do których podróżowałem, starałem się wyciszyć i skupić na ich pięknie, ale zawsze w końcu docierałem do wspomnień o teatrze, Helenie i reszcie moich przyjaciół, a wtedy popadałem w złość lub przygnębienie. Przeżywanie tych emocji było zbyt wyczerpujące, musiałem więc zrezygnować z myślenia. Ograniczyłem się zatem tylko do trzech działań: leżałem, piłem i oddawałem mocz (rzadziej kał, ponieważ nie przyjmowałem pokarmów). Pewnego razu, kiedy spałem pogrążony w całkowitej pustce, odsunęła się mosiężna płyta i coś spadło na gliniane podłoże obok moich nóg. Wymacałem to i po krótkim rozpoznaniu w palcach zrozumiałem, że moi przyjaciele rzucili mi brzytwę.

Ten niewielki przedmiot zniszczył spokój, który z takim trudem wypracowałem. Stanowił pokusę. Lekkie pieczenie w nadgarstkach, powolna utrata świadomości i odpłynięcie w wieczny sen. Brzytwa wkraadała się do mojej głowy, nawiedzała mnie w snach, rozpraszała. Przez nią znowu zacząłem myśleć, a wraz z myślami przyszły wycieńczenie i niepokój. Kiedy po raz kolejny zabiłem się we śnie i poczułem się z tego powodu szczęśliwy, obudziłem się, usiadłem na środku studni i zacząłem obracać brzytwę w palcach. Nie musiałem jej widzieć, żeby dokładnie wiedzieć, jak wygląda. Z wyjątkiem koloru rękojeści miałem w głowie jej kompletny obraz, znałem dobrze drobne wyszczerbienie psujące idealnie prostą linię ostrza, plamki rdzy na śrubce z krzyżowym rowkiem, odprysk na lakierze w połowie rączki. Ścisnąłem ją w dłoni i próbowałem sprawić, by jakimś cudownym sposobem zniknęła z mojego małego podziemnego świata. Znowu usłyszałem zgrzyt odsuwanej płyty. W lustrzanej powierzchni stalowej klingi zobaczyłem wylot studni, fragment nieba pokrytego gwiazdami i blond loki Heleny.

– Nie myśl, tylko to zrób – powiedziała, a echo powtórzyło jej słowa jeszcze wiele razy.

Milczałem. Patrzyliśmy na siebie w odbiciu klingi. Nie widzieliśmy swoich twarzy, ale nie miało to znaczenia. Było to równie intensywne jak patrzenie sobie w oczy. W końcu Helena wstała i zasunęła płytę. Szło jej opornie, robiła to sama, a płyta była ciężka. Słyszałem, jak dziewczyna dyszy. Płyta wróciła na swoje miejsce, znów zapanowała ciemność, a ja pierwszy raz od wielu lat zacząłem płakać. Płakałem z dwóch powodów. Po pierwsze wciąż ją kochałem. Po drugie wiedziałem, że nie dam rady dłużej opierać się wołaniu przedmiotu, który trzymałem w dłoni.

Minęły trzy tysiące kapnieć wody, a ja nie mogłem zasnąć. Nie piłem już z miski, nie piłem w ogóle. Woda rozlewała się po kamieniach i wsiąkała w glinę. Ścisnąłem brzytwę i oddychałem głęboko, bo dla mojego wyczerpanego organizmu był to wielki wysiłek. Skoro nie umiałem zasnąć, wiza mnie podcinającego sobie żyły przeniosła się do jawy i już mnie nie odstępowała. Zrozumiałem, że wszystkie inne drogi dawno się zamknęły, a sprzeciw wobec śmierci i wegetacja o samej wodzie były jedynie dumną, choć żalosną próbą odsunięcia w czasie tego, co nieuniknione.

– Dosyć – powiedziałem na głos i ten głos, brzmiały zupełnie jak nie mój, kazał mi usiąść i zrobić to, co trzeba.

Przyłożyłem ostrze do przegubu i przeciągnąłem odrobinę, żeby mieć przedsmak tego, co nastąpi. Zimny dotyk był jak sople lodu. Poczulem kroplę krwi, która wypłynęła spod skóry i spłynęła w dół przedramienia. Wtedy oślepiło mnie światło dnia. Ktoś przesunął płytę. Następnie zobaczyłem człowieka opuszczającego się wzdłuż kamiennych ścian po linie. W pierwszym odruchu wziąłem go za halucynację, które miewałem często z głodu i niewyspania. Nie zauważył mnie od razu. Siedziałem w bezruchu z brzytwą przytkniętą do nadgarstka. Gdy stanął na dnie, zobaczył mnie w świetle latarki. Krzyknął, zrobił krok w tył, potknął się o kamień i upadł. Miał na sobie koszulę, uprząż wspinaczkową, latarkę czołową i plecak. Brakowało mu tylko kasku. Upadając, uderzył potylicą o kamień i już się nie poruszył. Groteskowe wybawienie. Gdybym nie był skrajnie wyczerpany, pewnie śmiałybym się do rozpuku. Ten mężczyzna w plecaku miał wodę, kanapki i czekoladę. Rzuciłem się na nie bez opamiętania i na dłuższy czas zasnąłem na skutek szoku związanego z dostarczeniem ciała za dużej ilości cukru w zbyt krótkim czasie. Kiedy się obudziłem, był wieczór. Rozebrałem mojego wybawcę i założyłem jego rzeczy, a na niego wciągnąłem swoje. Podciąłem mu nadgarstki i ułożyłem twarzą do ziemi, po czym wspiąłem się po linie ze studni. Z góry wyglądał zupełnie tak jak ja. I nie było to wyłącznie złudzenie. Jakaś część mnie została tam razem z nim.

Wojna na przeczekanie, którą prowadziłem ze śmiercią na dnie studni, nauczyła mnie cierpliwości. Z zemstą czekałem długo. Chciałem, żeby była wielka, wielowymiarowa i szalona, jak w greckich tragediach. Żeby miała wielu bohaterów. Dla siebie zachowałem rolę scenarzysty. Czekam, aż moi oprawcy o mnie zapomną. Śledzę ich historie. Obserwuję z bezpiecznej odległości: kto zdołał ukryć swoje bestialstwo i został cenionym, lubianym obywatelem, kto się ożenił, a kto rozwiódł, komu urodziły się dzieci, kto odebrał sobie życie. Obserwuję, czy nadal znajdują przyjemność w zabijaniu, dręczeniu i upokarzaniu innych, czy ich dzieci wykazują podobne tendencje. Czekam, aż poczują się swobodnie w swoich nowych rolach policjantów, weterynarzy, nauczycieli, mężów, żon, ojców i matek. Aż zazną wygodnego, przyjemnego życia. Aż to nowe życie stanie się im bliskie i drogie.

ROZDZIAŁ XVI

7 lipca 1997

Helena wypila butelkę szampana, wzięła trzy tabletki Noxizolu i weszła pod kołdrę. Wcześniej długo stała w oknie, patrząc na podnoszący się poziom wody i słuchając syreny. Powódź. Przeczuciwała, że wydarzy się jakaś katastrofa, ale nie spodziewała się czegoś tak dosłownego. Mimo to była całkiem zadowolona. Dobrze odegrała radość z okazji przyjęcia Kacpra do szkoły teatralnej. Przesyłka od Jakuba przeraziła ją, ale szybko sobie poradziła. Alkohol i zolpidem zostały wymyślone po to, żeby ludzie się nie bali. Jakub żył. A przecież widziała jego ciało leżące na dnie studni i czarne plamy otaczające rozcięte nadgarstki. Jutro rano wyjadą. Mogliby zrobić to dzisiaj, ale nie chciała wystraszyć chłopców. Jutro powie im to na spokojnie i z uśmiechem, tak przekonująco, jak tylko ona potrafi. Że jadą na wycieczkę albo coś w tym stylu. Wyjadą z samego rana. Jeśli tylko woda nie sięgnie drogi wyjazdowej, ale pewnie nie. Jakie to szczęście, że mieszkają tak wysoko. Zostawi Michałowi kartkę z informacją, dokąd się udali. Jutro... Powieki zaczynały jej ciężać. Nadchodził długo wyczekiwany sen.

Obudziła się w środku nocy. Jakub siedział na krawędzi łóżka i patrzył na jej gołe nogi. Miał zaczesane do tyłu włosy i bardzo chudą twarz. Poznała go od razu, chociaż minęło osiemnaście lat. W dłoni trzymał pistolet.

– Nie w domu – poprosiła szeptem. – Nie chcę, żeby dzieci mnie znalazły.

Jakub przeczesał włosy i spojrział na swoje żylaste ręce. Pokręcił głową.

– Przepraszam cię, Kuba.

Na dźwięk imienia z dzieciństwa mężczyzna zmarszczył brwi.

– Masz pełne prawo mnie zabić za to, co ci zrobiłam.

– Wszystko w swoim czasie. Masz jeszcze pokutę do wypełnienia. Kocham cię, pamiętasz? Czeka nas wspólne życie.

Podyktował jej list do męża i dzieci.

...Zaczynjcie od nowa.

Helena

Położyła go na nocnym stoliku i zaczęła się pakować. Wiatr zrzucił kartkę na podłogę, więc Jakub położył ją z powrotem na miejsce. Wziął z półki pierwszą z brzegu książkę i odtworzył na przypadkowej stronie. Przeczytał w myślach kilka zdań: „Sprawiedliwość boska i ludzka pozostają tutaj w ściślejszej zależności. Obie opierają się na wierze w ład, który może zapanować tylko poprzez cierpienie”¹⁴. Położył książkę na liście.

– Gotowa? – zwrócił się do Heleny.

Myślała, że śni, kiedy przez następne dwadzieścia lat mieszkali razem w domu z widokiem na morze. Kiedy przywiązywał ją pasami do łóżka albo krzesła, by nie uciekła albo się nie zabiła. Kiedy codziennie dawał jej do picia roztwór, po którym popadała w błąd otepienie i było jej wszystko jedno.

6 lutego 2017, wieczór

Królik odłożyła zadrukowane kartki.

– Co teraz będzie? – wymamrotał Kacper, czując, że odpływa w sen.

Eliza wzięła ze stołu brzytwę, złapała Królik za włosy i zatopiła ostrze w jej szyi. Struga krwi buchnęła na białą suknię. Dziewczyna zacisnęła wargi i pięści. Eliza ciągnęła ostrze od lewego do prawego ucha. Puściła. Patrzyła, jak Królik blednie, a tryskająca falami krew oblewa jej sukienkę i tapczan. Kacper spróbował się poruszyć, ale zastrzyk paraliżował mu mięśnie. Eliza zbliżyła się do niego na wózk z ręką czerwoną od krwi córki. Poczuł, jak zimne ostrze zanurza się w jego gardle. Charczał, kiedy metal sunął gładko przez mięśnie w szyi. Eliza patrzyła na niego z czułością. Rozmytym wzrokiem, między jednym a drugim opadnięciem powieki, widział jeszcze, jak kobieta przecina swoje gardło i w konwulsjach podryguje na wózk z głową opadającą na bok, wciąż się uśmiechając. Po raz pierwszy uśmiechała się bez rezerwy, jasnym, pięknym uśmiechem. Wyglądała na naprawdę szczęśliwą.

8 stycznia 2017

Jakub rozwiązał pasy i podał Helenie brzytwę, tę samą, którą wrzuciła mu do studni.

– Jesteś wolna.

Wodnistym od narkotyków wzrokiem oglądała swoje oswobodzone, jeszcze czerwone od pasów nadgarstki. Jakub wyszedł z pokoju, wyjął ze schowka odkurzacz i podłączył do prądu. Rozległo się przyjemne buczenie. Kiedy skończył odkurzać, umył starannie okna, wytarł białe i półki, a na koniec wyniósł duży wór śmieci do kontenera na parking. Po powrocie umył ręce samą wodą, wytarł je w ubranie, przecesał włosy i poszedł do Heleny. Przyglądał się, jak umiera, oparty o framugę. Kałuża krwi na podłodze rozrastała się już coraz wolniej. Helena była biała jak płótno, miała czarne obwódki wokół oczu i wyschnięte wargi. Traciła przytomność, wracała na chwilę i znowu odpływała. Jakub chciał już wyjść, kiedy zatrzymał go jej słaby głos:

– On tego nie zrobi.

– Zrobi, bo jest twoim dzieckiem. Nasz zakład wciąż jest aktualny. Szkoda, że nie poznasz wyniku.

9 stycznia 2017

Pociąg dotarł do stacji przed wschodem słońca. Jakub spojrział na zegarek. Czwarta rano. Kiedy doszedł do chatki, było już jasno. Przepchnął łóżko pod okno, zdjął z półek książki, włożył je do kominka i podpalił. Potarł ręce nad ogniem. Oddał kał i mocz w rogu pokoju. Wyszedł na molo i siedział na nim do późna. Guz w prawej skroni pobolewał go lekko, mimo to czerpał głęboką radość z widoku

zachodzącego słońca kładącego się na srebrnej tafli jeziora. Zszedł z pomostu i wytarzał się w przybrzeżnym błocie. Wrócił do chaty, zasłonił okna leżącym na podłodze materiałem i wszedł do łóżka. Nie lubił tracić czasu na domysły, ale doszedł do wniosku, że skoro nie zostało mu już wiele życia, może sobie na to pozwolić. Zastanawiał się, co by teraz robił, gdyby trzydzieści dziewięć lat temu magister Gołębiowski nie zobaczył jego zdjęć suszących się w ciemni. Wyobraził sobie siebie, jak opalony, w rozpiętej koszuli i z papierosem w zębach rzeźbi nagrobek w zakładzie kamieniarskim na małej greckiej wyspie. Roześmiał się wobec tej absurdalnej myśli, po czym wyjął z kurtki pistolet i strzelił sobie w nogę. W środku nocy odzyskał przytomność, zabandażował ranę i popatrzył na księżyc przez dziurę w dachu.

Kiedy się obudził, powiódł wzrokiem po pokoju. Zobaczył stojącego przy łóżku Kacpra. W jego dłoni błyszczał uniesiony pistolet. Jakub uśmiechnął się do siebie w myślach. Stało się tak, jak przewidział. Syn Heleny zabija bezbronnego człowieka dla walizki pieniędzy, która być może zapewni mu przetrwanie. Dzieci ludzi, którzy zamknęli go w studni są jak odrastające głowy hydry. To zło, które będzie odradzać się wciąż na nowo. Szkoda, że Helena nie może tego zobaczyć.

– Nie boję się – powiedział łagodnie, zanim rozległ się strzał.

7 lutego 2017

Późnym popołudniem na parking Centrum Terapii Protonowej Rineckera wjechał czarny mercedes S 320. Z auta wysiadł mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Założył na ramię torbę, wyjął z bagażnika żółtą walizkę, a następnie pomógł wysiąść pasażerowi. Szyja tego drugiego była owinięta bandażem. Kowboj wprowadził mężczyznę do poczekalni, posadził go na krześle z walizką przy boku i położył mu torbę na kolanach. Chwilę rozmawiali. Mężczyzna z zabandażowanym gardłem wyszeptał:

– Już drugi raz ratujesz mi życie. Dziękuję, że przyjechałeś.

– Myślałem, że już po tobie. Że zszedłeś jak te dwie wiedźmy w białych sukienkach. Kurwa, wszystko było we krwi.

– Jestem twoim dłużnikiem, Jerry.

Potem kowboj wsiadł do mercedesa i odjechał.

Trzeci podpunkt w szóstym punkcie Inwentarza Depresji Becka głosi: „mam poczucie, że nieuchronnie spotka mnie kara”. Aniela Sasnal, choć była córką sadysty, nie przejawiała podobnych skłonności. Dręczyło ją za to coś innego – nigdy nieodchodzące poczucie, że chociaż nie zrobiła nic złego, jest winna jakiejś okrutnej zbrodni i w każdej sekundzie może zostać za nią ukarana. Związany z tym przeświadczeniem niepokój o własne życie nigdy od niej nie odstępował. Nocami kazał jej śnić koszmary bądź brutalnie wrywał ją ze snu, a za dnia wzmacniał w niej poczucie wyobcowania i odmienności. Próbowwała odganiać złe myśli, zatrudniając się jako wolontariuszka w schronisku czy organizując zbiórki pieniędzy na chore i bezdomne zwierzęta. To jej pomagało. Jednak zawsze po krótkiej chwili ulgi przyniesionej przez dobry uczynek ciemność powracała i atakowała ją ze zdwojoną siłą.

Aniela stała na płycie dworca w Białej, czekając na pociąg do Warszawy i myślała o ojcu, jego odgryzionej dłoni i zwierzętach, które z przyjemnością pozbawiał życia. Nowy, błyszczący skład

Intercity wjeżdżał właśnie na peron, kiedy w głowie dziewczyny zaświtała krótka, prosta i miła myśl. Pierwszy raz w życiu niczego nie analizowała. Nie przesiadała tego, co właśnie pojawiło się w jej głowie, przez gęste sito racjonalizacji. Gdy lokomotywa zbliżyła się na wyciągnięcie ręki, zrobiła krok do przodu i zniknęła pod krawędzią peronu.

Stara kobieta krzyknęła i zakryła ręką usta. Po chwili wzdłuż torów zebrał się tłum gapiów.

31 stycznia 1978 – po raz drugi

Nad rynkiem przetoczył się grzmot i na niebie rozbłysły sztuczne ognie. Wzniosły się wiwaty i okrzyki. Ludzie składali sobie życzenia i wznosili toasty. Jakiś chłopak złapał swoją dziewczynę w pasie i zaczęli się całować. Dziecko ubrane w kombinezon zamknęło oczy i poruszało ustami, szepcząc życzenie.

Michał Frydrych stał przed restauracją, otoczony grupką mężczyzn. Pili wódkę z butelki, ściskali się i zanosili śmiechem. W ich stronę szła Helena. Miała na sobie czarną sukienkę i bluzkę z głębokim dekoltem, mocno pomalowane usta i oczy szkliste od alkoholu. Podeszła do Michała, chwyciła go za szyję i pocałowała z jęczyzkiem, przytrzymując od tyłu za głowę. Koledzy zaczęli gwizdać.

– Kocham cię... – wyszeptęła, patrząc mu w oczy.

– Też cię kocham, mała – odparł. Był zawstydzony.

– Chodźmy do ciebie. Chcę się z tobą kochać.

– Nie teraz. Zobacz, ile tu ludzi. Dawno ich nie widziałem. Daj mi się pobawić.

– A pieprzenie mnie to nie zabawa? Chodź ze mną. Chodź na chwilę.

Uciekał od jej spojrzenia. W końcu przeprosił kolegów i przeszli na drugą stronę ulicy.

– Mała, chyba traktujesz to zbyt poważnie.

– Co takiego?

– Nas. Ja nie chcę się wiązać. Lubię spędzać z tobą czas, ale nie szukam żony. Chciałbym, żeby tak zostało.

– Ja cię kocham.

– Wydaje ci się. Jesteśmy za młodzi na miłość.

– Chcę spędzić z tobą resztę życia. Chcę być twoją żoną.

– To się nie stanie. – Nabrał powietrza w płuca i powiedział to, czego od tak dawna nie potrafił z siebie wykrztusić: – Nie kocham cię.

– Przed chwilą powiedziałeś co innego. Przed sekundą.

– Chyba jestem jeszcze zbyt niedojrzały. Kłapię jęzorem szybciej, niż myślę.

– Będę twoją żoną. Urodzę ci dziecko.

– Nie, Heleno. Przykro mi. Muszę wracać do znajomych. Czekają na mnie.

Wiedział, że ją rani, lecz musiał to zakończyć. Im dalej by w to brnął, tym trudniej byłoby się wycofać. Nie kłamał. Nie kochał jej i nie był gotowy na związek. Ani z nią, ani z żadną inną. Jeszcze nie teraz.

Helena patrzyła na niego w wyrzucie wzrokiem tak magnetycznym, że jego szyja sama skręcała, by się do niej obrócić. Wiedział jednak, że jeśli się obejrzy, to nie będzie w stanie tego zakończyć. Zaciśnął zęby i zawołał coś do kolegów. Weszli do restauracji. Została sama.

Szła, mijając grupki pijaków. Zostawiła kurtkę w MOK-u, gdzie nadal trwało przyjęcie dla grupy teatralnej, więc teraz trzęsła się z zimna i płakała. Makijaż spływał wraz ze łzami po policzkach. Weszła do budynku i poszła na piętro, do sali, w której jeszcze do niedawna odbywał się bal. Ujrzała porzucane kostiumy, kieliszki po wódce i talerzyki z niedojedzonym poczęstunkiem. Siadła przy pustym stoliku, wypila wódkę z pierwszego lepszego kieliszka i zakąsiła ogórkiem. Na zapleczu sceny paliło się światło. Poszła tam, chwając się na nogach. Pusto. Weszła na dużą salę. Szeregi krzesełek tkwiły spowite w półmroku. Reflektor rzucał światło na kurtynę nad sceną. Wisały tam wykonane przez grupę plastyczną litery, układające się w napis „SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU”. Helena oparła się o ścianę i pozwoliła sobie się rozkleić. Trzęsła się, połykając łyżę. Nagle oślepiło ją silne światło flesza. Pod sceną stał Blady. Garbił się, trzymając w rękach swój sowiecki aparat.

– Hej! – zawołała, wycierając oczy wierzchem dłoni. Chrypiała.

Blady wyprostował się i przez chwilę szukał jej wzrokiem w ciemnościach. Szła po schodkach, wykręcając nogi w niewygodnych szpilkach. W połowie drogi zdjęła je i dalej zeszła boso. Spotkali się pod sceną. Oczu, którymi patrzyła na niego teraz, nie pamiętał z żadnych zdjęć, które zrobił jej z ukrycia.

– Co robisz? – zapytała.

– Nic. Zdjęcia.

– Pustej sali?

Blady spuścił głowę. Dekolt, sukienka, rozmyty makijaż. Jej widok go podniecał. Marzył o tym, by widzieć ją taką w swoim łóżku, ale teraz, kiedy przed nim stała, nie miał odwagi na nią popatrzeć.

– Czemu nic nie mówisz?

– Co mam powiedzieć?

Zaśmiała się chrypliwie.

– Czemu robisz zdjęcia pustej sali, głuptasie? – Popchnęła go zaczepnie.

Wzruszył ramionami i zaczerwienił się, a w jej sercu zadrżała jakaś nieznana wcześniej struna. Pojedyncza nuta przecucia. Helena położyła dłoń na jego nadgarstku.

– Jakub, kochasz mnie?

– Wiesz, że tak.

– Zrobisz coś dla mnie?

Kiwnął głową. Ona podeszła tak blisko, że jej wilgotne od roztopionego śniegu, sterczące piersi dotknęły jego koszuli. Ujęła dłonią klamerkę jego paska.

– Chcę mieć dziecko.

Kłęknęła i wzięła go do ust. Jakub stał w bezruchu, poruszając wargami. Jęknął. Helena wstała, złapała go za ramię i pociągnęła na ziemię. Położył się. Zdjęła majtki i usiadła na nim. Poruszała się w górę i w dół, pojękując. Rozpięła guziki bluzki.

– Dotknij mnie.

Blady położył ręce na jej biodrach, a potem na piersiach. Czowała, jak wije się pod nią, a potem napina jeszcze mocniej, przechodzi przez niego prąd, czowała, jak ciepłe nasienie rozlewa się po jej kroczu. Opadła na niego. Dyszeli ciężko. Po chwili Helena wstała i zaczęła się ubierać.

– Chcesz zobaczyć moją świątynię dumania?

– Co to takiego?

– Miejsce, gdzie chodzę rozmyślać, kiedy jestem smutna. Jeszcze nigdy nikogo tam nie zabrałam. – Zerknęła na swoje białe stopy i uśmiechnęła się. – Znajdę tylko jakieś lepsze buty.

12 stycznia 2017

Jerry oparł się o dach mercedesa i czekał z telefonem przy uchu. Uśmiechnął się do Kacpra siedzącego na tarasie zajazdu. Czekaając, pomyślał o zdjęciu tego zabitego faceta. Gdyby nie broda i brud, byłby nawet podobny do zleceniodawcy. Dziwny to był człowiek. Tak bardzo upierał się, żeby zlecenie wykonał właśnie Kacper, nawet kiedy Jerry cierpliwie tłumaczył, że Kacper już tego nie robi i że nawet nie wiadomo, gdzie się podziewa i czy w ogóle żyje. Mężczyzna odparł, że poczeka.

– Ale to może się nigdy nie wydarzyć – ostrzegł go wtedy Jerry. – On naprawdę wypisał się z tej branży. Może pan czekać w nieskończoność. Mam innych dobrych ludzi do tej roboty.

Tamten odpowiadał tylko:

– Poczeka.

Kilka dni później na konto Jerry'ego wpłynęła duża zaliczka. O wiele większa, niż się umawiali. Zadzwoił do faceta jeszcze raz.

– Od dzisiaj czekamy na Kacpra – powiedział tamten. – I proszę nikomu nie mówić, że nalegałem, żeby to był on. Wiem, że słynie pan z dyskrecji.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

– Już po wszystkim – poinformował Jerry, tak jak poinstruował go zleceniodawca.

– Dziękuję – odparła Eliza.

Królik podeszła i ucałowała ją w policzek, po czym wyszła na ogród, wzięła ze stolika tomik wierszy i przycupnęła pod jabłką, czytając w skupieniu.

Livadia, 14 października 2020

– *Échete árista apotelésmata. Synechíste na paírnete fármaka. Se vlépo se misó chróno*¹⁵ – powiedział doktor o płamistej skórze i siwych włosach.

Uścisnęli sobie dłonie.

– *Sas efcharistó, giatró. Antío*¹⁶.

Kacper wyszedł ze szpitala na zalany słońcem, pusty parking. Jechał skalistym nabrzeżem, od czasu do czasu zerkając na falujące w dole morze.

Po południu stał na patio, opierając się o barierkę, a silny wiatr łopotał jego koszulą i szortami. Trzymając ręce w kieszeniach, patrzył, jak na horyzoncie formuje się burza. Minęło już półtora roku, od kiedy zakończył leczenie w Monachium. Na razie było dobrze.

Teraz wszystkie burze są zawsze prawdziwe.

Wszedł do domu. Nie zapalając światła, rozejrzał się po białych meblach, zaschniętych kwiatach i brudnych naczyniach w zlewie. Jego wzrok zatrzymał się na dłużej na spodku, w którym leżał pierścionek z ametystem. Już kiedy witała go w porcie, wiedział, że coś zostało bezpowrotnie utracone. Kiedy chciała go pocałować, niespodziewanie się cofnął. Obrócili to w żart. W nocy nie miał erekcji. Dotyk jej skóry stał się nieprzyjemny. Jej obecność drażniła go, a opowieści nudziły.

– Musimy to przeczekać – powiedział.

I czekali. Po pracy chodził do knajpy albo nad morze i wracał, kiedy już spała. Kładł się na wersalce w salonie i słuchał morza. Czekala jeszcze rok. Potem odeszła. On nadal pracował do późna, pił do nocy na plaży i spał na wersalce.

Włożył sandały i poszedł parującą z gorącą drogą do sklepu. Kupił jajka, mleko i kozi ser, dwie paczki papierosów, gazetę, oliwki, wino i sałatę. Spakował wszystko do plecaka i wrócił do domu. Przygotował sobie sałatkę i wstawił ją do lodówki. Przejrzał program telewizyjny. Zaznaczył film, który go zainteresował. Przeszedł się po pokojach i patio, zbierając puste naczynia. Wrzucił wszystkie do zlewu, umył je, wytarł i wstawił do szafki. Odkurzył podłogę, umył okna, powycierał kurze. Kiedy uznał, że jest wystarczająco czysto, usiadł na kanapie i czytał książkę. Burza wciąż nie przyszła jeszcze nad Tilos. Nadal mógł patrzeć przez okno, jak zuchwale rozpycha się daleko na morzu. Słońce zniżało się na niebie. Do filmu została jeszcze godzina. Zdąży popływać przed kolacją. Postawił sałatkę na stole, nalał sobie do kieliszka białego wina, nastawił cyfrowy ekspres na małą kawę latte. Do jego powrotu wystygnie i będzie mógł je wypić zimne, co jest przyjemne w takie upały. Wyszedł na patio i przyglądał się burzy. W kącie, między ścianą a barierkami, pojawiła się biała mysz. Zastrzygła uszami, popatrzyła ufnie i podeszła bliżej. Zgarnął okruchy ze stolika i rzucił na kamienie. Kiedy mysz jadła, podniósł stopę, zawiesił ją tuż nad jej głową i trzymał tak przez dłuższy czas. Postawił stopę obok i patrzył, jak mysz kończy posiłek, a potem znika za rogiem domu. Jeszcze długo stał nieruchomo, przyglądając się miejscu, w którym siedziała. Pomacał bliznę na szyi. Wziął ręcznik i zszedł na plażę, słuchając, jak kamienie trzeszczą pod stopami. Burza wciąż nie nadchodziła, ale czuł jej zapowiedź – silny, gorący wiatr, który burzył mu włosy i wyginał szczuple tuje rosnące wzdłuż drogi. Dotarł do morza, rozebrał się i położył ubrania na płaskiej skale. Wskoczył do wody i przepłynął dwadzieścia metrów. Była ciepła i słona. Spoglądał na swój dom, rażąco biały w zachodzącym słońcu. Przewrócił się na brzuch i zaczął pływać. Płynął w stronę burzy, która malowała nad horyzontem czerwone zygzaki. Czerwień błyskawic pulsowała pod czarno-szarym poszyciem chmur. Dom za jego plecami stawał się coraz mniejszy, aż w końcu był już tylko białą kropką, która po jakimś czasie także znikła, rozmywając się na tle skał.

1961

Czasem łapaliśmy się na tym, że oboje patrzymy przez okno w kierunku dwóch splecionych wierzb, pod którymi ziemia była trochę inna niż na reszcie podwórza. Nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy. Bałem się, że w jeziorze ciało napuchnie i wypłynie, nawet jakby nawkladać kamieni w ubrania, to i tak ryby zeżrą i trup Pięknego wypłynie na powierzchnię. Nie wiem. Po prostu się bałem i uznałem, że najlepiej będzie zakopać. Z czasem na tym kawału ziemi wyrosła tarnina. Myśmy jej oczywiście nie jedli, mdliło mnie na samą myśl, ale ptaki się do niej zlatywały i hałasowały. Jednego popołudnia wziętem kosę i wyciąłem tarninę w cholere, ale rano pojawiła się znowu. Skosiłem ją więc jeszcze raz, a ona znowu odrosła, gęstsza i wyższa. Zostawiłem ją w końcu w spokoju. Tak ma widocznie być, pomyślałem. Przez długi czas nie znośm śpiewu ptaków, ale jakoś przywykłem. Zapomniałem. Kiedy Jakub przyszedł na świat, woda sprzed moich oczu zniknęła, skończyły się bezsenne noce i strach. Długo nie umiałem zrozumieć, dobry Boże, że całe to szaleństwo, które na mnie zesłałeś, było właśnie po to, żeby urodził się Kuba. Że człowiek po to jest stworzony, żeby mnożyć się i zaludniać ziemię. Nowe życie jest cudem. Patrzą, jak ten mały macha rączkami i serce mi puchnie z miłości. Nie wiedziałem, że

człowiek może tak kochać. Szkoda tylko, że Olga się nie cieszy. Kiedy do mnie przyszła tej dziwnej nocy przed dwoma laty, odepchnęła flaszkę, jakby to była żmija, a teraz sama nic innego nie robi, tylko pije. Na dziecko nawet nie spojrzy. Pytam ją, czy to przez to, co zrobiłem dzieciom Pięknego. Mówi, że nie, że przecież sama mnie prosiła, że to nic. Ale widzę, jak gaśnie. Pamiętam noc, kiedy rodziła, była wtedy burza, ona w podciągniętej spódnicy, krew na podłodze, na jej nogach, na moich rękach. Niedawno czytałem w gazecie, że w Kaliszu kobieta urodziła piątkę dzieci i że to się zdarza raz na pięćdziesiąt pięć milionów. Olga tej nocy urodziła szóstkę. Cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Kiedy wyszło z niej ostatnie dziecko, jakby zemdląła, chociaż nie zamknęła oczu. Całe dni milczała i patrzyła gdzieś za okno. Sam je trzymałem przy jej piersi, bo nie chciała nawet ich dotknąć. Kiedy ssąły, odwracała wzrok. „Zabierz je wreszcie”, mówi w końcu. „Co mam z nimi zrobić?”, pytam. „To, co mi obiecałeś”. Ułożyłem je jedno obok drugiego z tyłu w samochodzie i pojechałem. Długo patrzyłem na rzekę. Na tę czarną, zimną wodę, w której życie odradza się dopiero wiosną. W końcu wróciłem do auta, popatrzyłem jeszcze raz. Co takie maluchy komu winne? Na wyjeździe z miasta stoi stary klasztor, gdzie siostry karmelitanek prowadzą sierociniec. Poczekalem, aż się ściemni. Wiedziałem, że to ostatni raz, kiedy je widzę, i poczułem, że nie chcę zostawiać ich losowi bez żadnego znaku, że są czyimiś dziećmi. Imiona, które nadałem im w myślach, bo Olga nie chciała tego słuchać, napisałem na karteczkach i schowałem każdemu maluchowi w kocyk, w który był zawinięty. Maria. Laura. Helena. Marian. Wiktor. Monika. Zostawiłem je na progu i odjechałem. Oldze powiedziałem, że je utopiłem. Po kilku dniach przyjechała moje oświadczyni. „Następne dziecko będzie naprawdę nasze”, powiedziała mi.

Jezu, taki grzech, ta historia z dziećmi. Czasem myślę, że nigdy sobie tego nie wybaczę. Patrzę sobie na naszego Kubę, Boże, patrzę, jak się uśmiecha. Słucham, jak śmiesznie gaworzy. Myślę sobie wtedy o tamtej szóstce.

Czy są szczęśliwe? Dobry Boże, żeby tylko były szczęśliwe.

¹⁴ de Romilly, *Tragedia grecka*, przeł. I. Sławińska, Warszawa: WN PWN 1994.

¹⁵ Ma pan doskonale wyniki. Proszę nadal brać leki. Do zobaczenia za pół roku (gr.).

¹⁶ Dziękuję, doktorze. Do widzenia (gr.).

SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Jan Godlewski, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Korionov / shutterstock.com

ISBN 978-83-65891-00-6



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek